

## ROZDZIAŁ I

Manhattan, New York City, USA.

Listopad 1965

"Drań! drań! drań!" - pieniała się w duchu Dorota Kiergarten, duszkiem wychylając kieliszek doskonałego burgunda. Zadurzyć się w tej kurewce, w tej szansonistce o chrapliwym głosie, z mózdzkiem jak skorupka po jajku, z nogami krzywymi jak sinusy. Drań, a do tego jeszcze dureń! Cóż znowu takiego może mu dać ta dziwka? Zwyczajna intrygantka, która otwiera uda, żeby sobie otworzyć drogę do sukcesu - to wszystko. A ten idiota Fred jej wierzy. Jacyż ci mężczyźni głupi! Wystarczy zatrzepotać rzęsami, zakołysać sterczącymi cyckami, pokręcić parą pośladków i facet jest już tak podniecony, że seks mu się podnosi aż do pępka. Ta zdzira we Fredzie widzi nie mężczyznę, ale po prostu sławnego disc-jockeya, w ten czy inny sposób imponującego debutantce, którą zamierza wylansować.

Ameryka liczy dwieście milionów idiotów o mózgach ogłupiałych od reklamy, można więc stawiać dziesięć do jednego, że ta flądra wejdzie niebawem na afisz, jeżeli ten drań zechce tylko trochę się koło tego zakrzętnąć. Ten łajdak rzucił ją, Dorotę, która legitymuje się dyplomem uczelni w Vassar, jedną z najbłyskotliwszych dziennikarek generacji współczesnej, piękną dziewczynę, za którą uganiają się roje mężczyzn. Mężczyzn dużo ciekawszych od tego parszywego Freda, gościa bez szerszych ostatecznie horyzontów, który wszystko zawdzięcza jedynie plecom, od tego tumana, który spławił ją po chamsku jednym zwyczajnym telefonem. Przecież to znowu nie takie trudne. Nakręca się po prostu numer i oświadcza bez wstępów:

- Dorota? Słuchaj, fajno nam było ze sobą, prawda? Ale mówiłem ci od początku, że to tylko mało ważny epizodzik. Taka sobie zwyczajna przygoda, jakich ma się w życiu wiele. A więc zamknijmy ten rozdział, zgoda? Zostaniemy dobrymi przyjaciółmi, to jasne...

Rzuciła słuchawkę, wściekła. Najpierw wściekła, potem - nieszczęśliwa. Taka nieszczęśliwa...

Kelner przerwał tok jej myśli i nagle znowu znalazła się w sali restauracyjnej.

- Deser, proszę pani? Mamy doskonałą szarlotkę w czekoladzie.

Słowo "deser" powiedział po francusku. Chcąc sobie dodać rezonu, kazała mu wyjaśnić kompozycję ciastka. W końcu uległa jego sugestiom, po czym zmieszana zwróciła się do sąsiada (jakże to on się nazywa? Larry? Murray?).

- Pan na pewno uważa, że jestem ogromnie nieuprzejma. Mówiła tonem wytwornym, bardzo światowym. W stosunkach z ludźmi Dorota posługiwała się językiem gładkim, zgodnie z wychowaniem, jakie odebrała. Za to kiedy prowadziła dialog sama z sobą, z prawdziwą rozkoszą używała wyrażen ordynarnych, żargonowych, znanych z redakcji; w takich wyrażeniach się lubowała, choć nigdy nie ośmieliłaby się wypowiedzieć ich w towarzystwie.

Murray (nie, chyba to jednak Larry) uśmiechnął się dobrotliwie, z wyrozumiałością.

- Niech pani się nie przejmuje. Ja wszystko doskonale rozumiem. To najgorszy moment kryzysu. Trzeba czegoś się napić. Zobacz pani, że wtedy nie będzie to takie przykre. I już napelniał jej kieliszek tym wyśmienitym winem. Jedzenie było doskonałe. Nie знаła tej francuskiej restauracji na Pięćdziesiątej Szóstej Ulicy Zachodniej. Czy to rzeczywiście ulica Pięćdziesiąta Szósta? O której to godzinie zaczęła pić? Najpierw u siebie w domu, zaraz po telefonie od Freda. Potem w barze

hotelu "Pierre". Tak, przypomina sobie - przeszła przez park i znalazła przytulne schronienie w barze hotelowym. Tam właśnie spotkała Larry'ego.

Kelner przyniósł szarlotkę w czekoladzie. Postanowiła zapomnieć o wszystkich kłopotach i zająć się swoim towarzyszem. Ostatecznie był przecież uroczy, uprzedząco grzeczny, słuchał jej cierpliwie i zaprosił na kolację. Czuli się więc w obowiązku okazać mu przynajmniej odrobinę zainteresowania.

Posłała mu promienny uśmiech.

- Ma pan doskonały gust. Ta restauracja jest po prostu fantastyczna. Jakże się ona nazywa?

— "Chez Raymond". Czy pani lubi kuchnię francuską?

— Uwielbiam.

— Zna pani Francję?

- Nie, i bardzo tego żałuję.

- Szczerze mówiąc, mimo że lokale francuskie w Nowym Jorku prowadzą autentyczni Francuzi, którzy z pewnością podają potrawy francuskie - komuś, kto zna głośne restauracje, jakich pełno we Francji na każdym kroku, te tutaj przypominają tylko w przybliżeniu kuchnię oryginalną.

- Naprawdę? Lubi pan Francję?

Wdał się w długi monolog o urokach francuskiego życia, co zwolniło Dorotę z obowiązku konwersacji.

Szarlotka była wyśmienita, ale wino zdradzieckie, i Dorocie zaczynało już niezłe szumieć w głowie. Dobre maniery kazały jej wpatrywać się w Larry'ego i dopiero teraz dostrzegła, że to bardzo przystojny mężczyzna. Czarujący. Włosy jasnobłond, oczy ogromne, o głębokim zielonym odcieniu, twarz opalona, bardzo męska. Może w jego ramionach potrafiłaby zapomnieć o Fredzie? Nie, to chyba nie najlepsze rozwiązanie. W każdym razie nie teraz. W jego towarzystwie czuli się dobrze. Budził zaufanie.

Słuchała go jednym uchem, ale śledziła ruchy ust. Ust pełnych, zmysłowych. Po kolacji zaproponuje mu, żeby wstąpił do niej napić się czegoś, posłuchać jakiejś dobrej muzyki.

Pozwoli się pocałować, ale nic poza tym. Kiedyś, innym razem, dojdzie

może do czegoś więcej - jeżeli go w ogóle jeszcze w życiu zobaczy. Bowiem zniechęcony obojętnością, z jaką traktowała go przez cały wieczór, prawdopodobnie nie zaproponuje jej drugiego spotkania.

Tymczasem u drzwi wejściowych kelnerzy zabierali płaszcze od dwóch spóźnionych par, które przyszły na kolację. Godzina była późna, pewnie towarzystwo wracało z teatru. Kiedy przechodzili między stolikami, Dorocie wydało się, że w jednym z mężczyzn poznaje Freda. Zatrzepotała powiekami, żeby rozproszyć mgiełkę, która przesłoniła jej wzrok. Dojmujący ból przeszył serce.

Kiedy parki mijały ich stolik, dostrzegła pomyłkę. Łzy potoczyły się po policzkach. Poczuli gorące i delikatne ręce Larry'ego, które ujęły jej dłonie. Szepnął ze współczuciem:

- Kawa dobrze pani robi.

Uśmiechnęła się doń z wdzięcznością, ale ten wysiłek rozpiął nowy potok łez. Pomyślała jak typowa kobieta: "Będę wyglądała okropnie". Zauważyła ciekawy wzrok kelnera i poprzysięgła sobie, że jej noga nigdy więcej nie stanie w tej restauracji.

Wypiła dwie kawy, jedną po drugiej, poczuła się zdecydowanie lepiej, choć lekki szum w głowie nie zniknął.

Z nutką pobłażliwości Murray, nie, Larry, odezwał się:

- Moja droga Doroto, czas do domu. Odprowadzę panią. Rachunek był już zapłacony. Pomógł jej wstać. Wkładając płaszcz, pomyślała sobie: "Stało się, zniechęciłam go kompletnie, wysadzi mnie przed domem i urznie się w sztok, żeby zapomnieć o tym żalnym wieczorze".

Ale myliła się. Zatrzymawszy wóz przed bramą jej kamienicy, wziął ją bardzo delikatnie w ramiona, a kiedy zaczął całować, w całym ciele poczuła słodkie ciepło. Patrzył na nią, zdawał się o coś pytać wzrokiem.

Opuściła oczy na znak zgody.

Był to stary czteropiętrowy dom na Barrow Street w dzielnicy Village. Wejście wąskie, zgrzybiałe mury. Nazwiska na skrzynkach na listy były wypisane ręcznie. Windy ani śladu. Budynek wyglądał raczej nędznie, ale dla Doroty był o tyle interesujący, że nic musiała płacić komornego, a zajmowała dwa piętra, połączone wewnętrznymi schodkami.

Larry zachwycał się tymi schodami w stylu "Early American" oraz gustownie zaprojektowanym living-roomem.

— Brawo, Doroto, to fantastyczne, urządzone z ogromnym gustem.

— Dziękuję. Dom należy do drugiej żony mojego ojca. Zawsze świetnieśmy się ze sobą rozumieli i ona sama odstąpiła mi dwa ostatnie piętra, nie żądając komornego. Po rozwodzie...

- To ojciec pani rozwiódł się ze swoją drugą żoną? Dorota zaniósła się śmiechem. Teraz ma już piątą. Nie wiem, jak długo to potrwa. Krótko mówiąc, już po rozwodzie ojciec, żeby nie zostać w tyle ostatecznie przecież to mój ojciec, nie? - dał mi w podarunku kilka tysięcy dolarów na urządzenie z obu pięter jednego apartamentu i na zagospodarowanie. Larry obszedł całe mieszkanie.

— Przypuszczam, że pokoje są na górze? Oczywiście. A w moim pokoju jest duża oszklona wnęka. I urządziła pani wszystko według własnego pomysłu? Oczywiście. Ale właściwą robotę wykonał Bronstein. Lew Bronstein z Madison Avenue?

— Tak jest.

Larry zagwizdał z podziwem.

— Musiało to panią porządnie kosztować?

— Dosyć.

Dorota podała mu szklankę jakiejś mieszanki, którą trudno było zidentyfikować, następnie pchnęła go na fotel. Sama pociągnęła porządny łyk ze szklanki i lekko chwiejąc się na nogach uruchomiła elektrofon. Pokój zalała muzyka pulsująca rytmem. Dorota nie mogła powstrzymać się od myśli, że ta muzyka zupełnie nie nadaje się do tego, by tworzyć sentymentalny nastrój, ale zbyt była oszołomiona, żeby ze stosu płyt wybrać odpowiedniejszą.

I dopiero znacznie później, kiedy już była gotowa zdać się na łaskę i niełaskę Larry'ego, przyszedł drugi atak płaczu. Wspomnienie Freda było jeszcze zbyt silne. Co chwila stawał między nią a Larrym. Larry z ogromną czułością pogładził ją po głowie, zasunął zamek błyskawiczny od sukienki i podniósł się z miejsca.

— Pan ucieka - szlochała Dorota. - Nie dziwię się panu, jestem okropna.

— Nie, po prostu pani jest zakochana. Na to nic nie można poradzić.

Nalał dwa kieliszki koniaku, jeden podał Dorocie.

— Pani by chciała, żeby do pani wrócił, prawda?

— Oczywiście.

- Zrozumiałem to. Pani go namiętnie kocha. To rzadka rzecz w naszych czasach.

Palcem pokazał mebel, na którym stało zdjęcie w srebrnej ramce.

- To on?

Skinęła głową twierdząco.

— Zdaje mi się, że gdzieś już go widziałem.

— To Fred Norton. Występuje w radio i w telewizji.

- Ach tak! Teraz sobie przypominam. Nagle nastroszyła się.

- Wy, mężczyźni, zawsze nabijacie się z kobiet. Kobiety dobre są tylko do łóżka - rzuciła pociągając nosem.

Larry uśmiechnął się.

- Nie myli się pani. Ale i my, mężczyźni, też potrafimy być czasem sentymentalni.

Przypominam sobie właśnie taki przypadek. Pewna dziewczyna z Minneapolis, podobnie jak pani zakochana do szaleństwa, i ja, zachowujący się mniej więcej tak jak Fred Norton...

— Co pan zrobił?

— Ja, nic. To ona.

— No więc, co ona zrobiła?

— Była bardzo sprytna. Wprawdzie sama metoda jest dość naiwna, ale człowiek zawsze daje się na nią nabrać. Przecież mogłaby to być prawda.

Larry! Umieram z ciekawości.

- Och, klasyczna historia! Wysłała do mnie list, że popełniła samobójstwo, a ja popędziłem do niej jak wariat.

- Nie żyła?

- Jasne, że żyła. Niemniej jednak wzięła silną dawkę środków nasennych. Po prawdzie, to nie dowiedziałem się nigdy, czy istotnie miała zamiar umrzeć i tylko nie wiedziała, jaką dawkę zażyć, czy też symulowała samobójstwo.

- A pan, co pan zrobił?

- Ja? Zwymyślałem siebie od ostatnich i wróciłem do niej. - I jak się wszystko skończyło?

Larry wybuchnął śmiechem.

- W rok później wyszła za męża za innego. Za lekarza, który płukał jej żołądek.

I oto Dorota, dobrze już podochocona, nagle dostrzegła wyjście. Słabą nadzieję, której można się ucześcić. Gotowa była zrobić wszystko, żeby tylko odzyskać Freda. Za wszelką cenę, nawet postępując jak dziecko albo raczej jak idiotka o ptasim mózdzku, ekspedientka od "Woolwortha".

- To nawet niegłupie - szepnęła. - Może i ja mogłabym posłużyć się tą samą metodą?

Muzyka już dawno zamilkła. Larry odwrócił płytę na drugą stronę, nacisnął guzik i podszedł do niej.

- No, no, Doroto, niechże pani będzie rozsądna. Jest pani dziewczyną inteligentną, która dobrze zna życie. Historia, którą pani opowiedziałem, rozegrała się w pewnym miasteczku na Midwest piętnaście lat temu, między dwojgiem ludzi młodych, naiwnych, którzy nie znali życia. Tymczasem Fred Norton żyje w New York City. Obraca się w środowisku zblazowanym, gdzie rzeczy tego rodzaju wywołują najwyżej wybuchy gromkiego śmiechu na cocktail party.

Ale nie omylił się. Dorota była uparta. Skoczyła na równe nogi.

- Doroto, gdzie pani idzie?

- Zaraz napiszę ten cholerny list. Z miejsca, póki jeszcze jestem przytomna.

Chwiała się lekko na nogach. Przytrzymał ją za ramię.

- Doroto, list to dopiero pierwsza część planu. Pani nie popelni chyba szaleństwa i nie zażyje prosków nasennych. Ja na to nie pozwolę. Zaczynam już żałować, że pani w ogóle o tym opowiadałem...

- Niech pan będzie spokojny. Wiem, jaką dawkę zażyć. Wyrwała mu się gwałtownie.

- Larry, niech pan mi odda jedną jedyną przysługę. Jak pan stąd wyjdzie, niech pan wrzuci list na Poczcie Głównej. Stamtąd listy doręczają najszybciej.

- Doroto...

- Bardzo pana proszę, Larry. Niech pan się nie upiera. Powiedziałam już, że wiem dobrze, jaką dawkę zażyć. Gdzie tu ryzyko? Najwyżej trochę pochoruję. Co do Freda, wróci albo nie wróci, to wszystko. A więc nie ma powodu do obaw. Larry, wrzuci pan list, dobrze?

Wpatrywała się weń błagalnym wzrokiem. Skinął głową.

- Jak pani sobie życzy, Doroto. Ale czy jest pani pewna, że jakiś wypadek... O wypadek przecież tak łatwo...

Wzruszyła ramionami. Chwyciła już papier, pióro i kopertę.

- Doskonale, Doroto, do pani należy decyzja. Dobrze. Niech pani pisze ten list. Wypijemy strzemiennego i ja uciekam. Robi się późno.

Zaczęła pisać, on zaś wziął dwa kieliszki i przeszedł za mały bar. Z kieszeni wyciągnął dwie maleńkie pigułki zawinięte w celofan. Rozwinął paperek delikatnie, bez szelestu i wrzucił pigułki do kieliszka Doroty. Celowo trącił butelką o kieliszki; nalał trochę koniaku.

Wolnym krokiem odszedł od barku, nie spiesząc się obszedł naokoło pokój i trzymając kieliszki w obu rękach obserwował spod oka Dorotę piszącą list. Nad kufrem w stylu angielskim wisiał w ramach dyplom stwierdzający, że Dorota Kiergarten ukończyła celująco studia w Vassar College. U dołu miejsce i data Poughkeepsie, stan Nowy Jork, 20 czerwca 1960 roku. Po obu stronach dyplomu były zawieszony dwa szytchy angielskie, przedstawiające sceny z polowania na lisy. Nieco dalej na ścianach cała seria reprodukcji sławnych obrazów współczesnych - "Odaliska" Matisse'a, "Dom wisielca" Cezanne'a, "Lolu" Renoira, "Czerwony pies" Gauguina, "Martwa natura z głową antyczną" Picassa, "Olympia" Maneta. - "Gdyby to były autentyki! - pomyślał. - Co za fortuna w jednym pokoju!"

Teraz stał parę kroków od Doroty. Patrzył, jak bierze kopertę, adresuje, wsuwa napisany przed chwilą list, zakleja. Potem od-wraca głowę w jego stronę. Wtedy podszedł do niej i podał kieliszek.

— Myślę, że pani zasłużyła na to odwalisz taką pańszczyznę. - Czego pan tu mi dosypał? Zesztywniał.

— Środka odurzającego, żeby mnie zgwałcić? Wybuchnęła śmiechem.

— Niech pan nie robi takiej miny. Żartowałam. Uspokoił się.

- Jeżeli już mowa o środkach odurzających, to podkreślam jeszcze raz, że trochę się boję, czy pani nie zażyje ich za dużo.

Przyglądał się, jak Dorota pije koniak. Duszką wychyliła dwie trzecie kieliszka, wzdrygnęła się.

- Brr! Po wszystkim, co wlałam w siebie po południu, wieczorem i w nocy, nie jestem już pewna, czy muszę brać środki nasenne. Może taki sam efekt dadzą te litry alkoholu, które teraz krążą w moich żyłach.

Postawiła kieliszek, wzięła ze stolika list i podała mu.

- Larry, niech pan będzie taki uprzejmy. Proszę mnie teraz zostawić samą i nie zapomnieć o swoim przyrzeczeniu. Niech pan wrzuci list do skrzynki. Przysięga pan?

- Przysięgam.

Podniósł dwa palce do góry.

— Niech mi pani jeszcze da pięć minut, chciałbym skończyć koniak.

— Pozwolenia udzielam. - Po chwili dorzuciła nieśmiało: - Mógłby pan zostawić mi swój numer telefonu? Zadzwoń do pana za parę dni.

Skinął głową i na bloku listowym nabazgrał numer. Następnie wziął kieliszek do ręki, umoczył usta w koniaku. Obserwował ją z uwagą. Żrenice jej oczu rozszerzyły się, po twarzy spływał pot. Drżała lekko i chwiała się na nogach. Mówiła z trudem.

- Larry... zdaje się, że za dużo wypiałam... Nie czuję się dobrze.

— Pozwoli pani, Doroto, że pani pomogę. Delikatnie pociągnął ją w stronę fotela i posadził. - Proszę, Doroto, niech pani o niczym nie myśli.

— Larry...

Zamknęła oczy, szeptała jakieś niezrozumiałe słowa i po chwili zaczęła oddychać regularnie. Stał bez ruchu jakieś dziesięć minut i przyglądał się jej twarzy, na której powoli zaczęły obsychać kropelki potu. Następnie uniósł powiekę Doroty i palcem wskazującym mocno nacisnął tęczówkę. Nie było żadnej reakcji. Z zadowoleniem zatarł ręce.

W kuchni na elektrycznej maszynie nastawił garnek wody, a kiedy zaczęła wrzeć, nad parą przytrzymał kopertę, którą wręczyła mu Dorota. Po paru minutach położył kopertę na stoliku i bardzo ostrożnie odkleił. Wyciągnął list, przeczytał, żeby upewnić się, czy treść odpowiada jego intencjom, i włożył na powrót do koperty.

W sekretarzyku w salonie znalazł tubkę kleju. Bardzo starannie zakleił kopertę i wsunął do wewnętrznej kieszeni marynarki wraz z blokiem, na którym zapisał telefon.

Dorota wciąż była pogrążona w głębokim śnie. Rozebrał ją kompletnie, każdą część garderoby starannie złożył i umieścił na sąsiednim fotelu. Z westchnieniem żalu przyglądał się przez chwilę klasycznym liniom ciała, drobnym piersiom regularnie unoszącym się w rytm oddechu, delikatnie sklepionemu brzuchowi smukłym rozchylonym udom odsłaniającym kępkę ciemnych włosów. Przez ułamek sekundy zapragnął ją posiąść. Była niezwykle pociągająca, a dramatyczność sytuacji podniecała go w najwyższym stopniu. Ale się z tego otrząsnął. Było wykluczone, by autopsja nie wykryła, że bezpośrednio przed śmiercią miała stosunek.

Odwrócił wzrok od ciała Doroty, z kieszeni spodni wyjął parę bardzo cienkich rękawiczek, nałożył na ręce i zaczął przeszukiwać pokój sypialny. Panował w nim wzorowy ład. Dorota była dziewczyną przesadnie niemal dbającą o porządek. Jakie byłoby jej zaihowanie przed samą śmiercią? Rozbierając się najprawdopodobniej nie rozrzuciłaby po pokoju części garderoby, przeciwnie, ułożyłaby je porządnie, jak to robiła zazwyczaj.

Wrócił więc do salonu, zebrał odzież Doroty, sukienkę powiesił w szafie na wieszaku, bieliznę ułożył na krześle, buty ustawił pośród dziesięciu innych par. Następnie wziął ranne pantofle i nocną koszulę z przezroczystego materiału i wyszedł z pokoju.

Tym razem skierował kroki do łazienki. Na wieszaku za drzwiami powiesił nocną koszulę, pantofle ustawił tuż obok wanny. W apteczce znalazł fiolkę ze środkami nasennymi. Całą jej zawartość wsypał do jednej kieszeni marynarki, fiolkę wsunął do drugiej. Z półeczki nad umywalką, gdzie sąsiadowały ze sobą słoiki z kremem, tubki, buteleczki z płynami, serwetki do zmywania makijażu, wziął maszynkę do golenia i położył na brzegu umywalki. Następnie zatkał wannę i otworzył kurek z gorącą wodą.

W living-roomie Dorota leżała wciąż w tej samej pozycji, w jakiej ją zostawił. Zarzucił ją sobie na ramię i zaniósł do wanny, tak manewrując, by nie zamoczyła rąk. Oczekując, by woda przykryła ciało Doroty, wypalił spokojnie papierosa, po czym zamknął kurek.

Z living-roomu usunął wszelkie ślady swojej bytności, wytarł odciski palców, jakie mogłyby pozostać, w kuchni umył i starannie wytarł kieliszek, z którego pił, oraz butelki, których dotykał.

Wrócił do łazienki, przyłożył odciski palców Doroty na jej kieliszek, na butelki i fiolkę po środkach nasennych. Fiolkę rzucił na ziemię obok wanny, kieliszek i butelkę odstawił na miejsce.

Dokonał szczegółowego przeglądu wszystkich pomieszczeń, aby sprawdzić, czy o czymś nie zapomniał, i zabrał się do wykonania dzieła śmierci.

Z maszynki do golenia wyjął żyletkę i maszynkę wrzucił do wanny. Chwycił Dorotę za przegub lewej dłoni, zanurzył w wodzie, a następnie jednym ruchem, zdecydowanym i precyzyjnym, przeciął żyłę. Dorota lekko drgnęła, to była cała reakcja. W przezroczystej wodzie zaczęła się tworzyć czerwona nieprzezroczysta smuga. Prawa ręka Doroty zwisała na zewnątrz wanny. Przycisnął żyletkę do kciuka oraz palca wskazującego jej dłoni i rzucił na podłogę. Teraz palce miała poplamione krwią. Zdjął z dłoni mokre i pobrudzone rękawiczki,

zwinął i wsunął do kieszeni. Mógł teraz przyjrzeć się rezultatom swojej roboty. Z wolna woda zabarwiała się na czerwono. Z ciała uchodziła krew, ale oddech wciąż jeszcze był regularny. Zafascynowany tym widokiem, utkwiał wzrok w ciele dziewczyny i obserwował, jak dokonuje się nieodwracalne.

Nagle w czasie tej kontemplacji drgnął: omal nie popełnił błędu. Rozważmy dobrze z punktu widzenia psychologicznego, czy Dorota wyszłaby z domu o tej porze, by wrzucić list.

Mogłaby to zrobić wcześniej, wieczorem, po ostatnim opróżnieniu skrzynki. Ponieważ jednak widziano ją następnie w restauracji, mogła ten list napisać dopiero dość późno w nocy i w tym przypadku prawdopodobnie zostawiłaby go na stoliku, na miejscu widocznym. Uśmiechnął się zadowolony ze swojego rozumowania, wrócił do pokoju i owinąwszy rękę chusteczką położył list na stoliku, tak by od razu rzucił się w oczy.

W wannie teraz woda była zupełnie czerwona; przez kontrast twarz i ramiona Doroty uderzały kredową białością.

Z kieszeni wyjął małe lusterko, przystawił do ust Doroty, następnie przyjrzał się mu z bliska. Stwierdził, że lśni pełnym blaskiem.

- Doroto, bardzo mi przykro - szepnął czule, wychodząc z łazienki.

neta wieczność od czasu, jak umilkła muzyka, ale małeńka czerwona lampka wskazywała, że elektrofon wciąż nie jest wyłączony. Nie tknął go. Zostawił również zapalone wszystkie światła.

Zatrzymał się przy drzwiach wyjściowych i przyjrzał z namysłem łańcuchowi. Rozumując logicznie, Dorota powinna go była złożyć. Ostatecznie jest to przecież New York City, jedno z miast najbardziej niebezpiecznych na świecie. Powinna działać odruchowo - założyć łańcuch zaraz po powrocie do domu. Pomyślał jednak, że na to już nic nie poradzi, i wyszedł z mieszkania.

Znalazłszy się na ulicy, wsiadł do samochodu i ruszył w kierunku północnym. Dopiero na wysokości Trzydziestej Czwartej Ulicy Harry Shulz odetchnął z ulgą. Na Pięćdziesiątej Drugiej Zachodniej, tuż koło rzeki Hudson, było zupełnie pusto, wrzucił więc rękawiczki, środki nasenne i podarty na strzępy blok listowy do pojemnika na śmieci.

Kiedy znalazł się na powrót w samochodzie, pomyślał sobie, że kłós w stanie Luizjana będzie piekielnie zadowolony, kiedy Harry Shulz jutro rano przekaże mu nowinę.

## ROZDZIAŁ II

Dallas, Teksas, USA. Grudzień 1965

Tego niedzielnego popołudnia Sam Hendrix jak co dzień zebrał w parku. Łaskawa pogoda zachęcała liczne rodziny do przyścia tutaj z dziećmi na spacer. Ludzie ci byli skromnego stanu i prawdopodobnie Sam nie nazbiera wiele w porównaniu z tym, co mógłby zebrać u burżujów, chodząc od drzwi do drzwi. Ale w niedzielę burżujów nie ma w domu, i, być może, tutaj uda mu się uskładać sumę, która wystarczy na niezłą kolację i butelkę whisky.

Proteza, zastępująca prawą nogę, sprawiała mu ból, ale o przerwaniu roboty nie było mowy.

Dochodziło już pół do piątej, a zebrał zaledwie trzy dolary i sześćdziesiąt pięć centów.

Jeszcze godzina i wszyscy ci ludzie ulotnią się z parku. Nie wolno się ociągać.

Uniół nogawkę spodni, palcem pokazując protezę, i od małej dziewczynki z jasnymi włosami otrzymał ćwierć dolara. Trzy dolary dziewięćdziesiąt. Zaczął w myśli obliczać. W parku spacerowało co najmniej dwa tysiące ludzi. Gdyby każdy dał tylko pięć centów, miałyby sto dolarów. Tak, ale to marzenie ściętej głowy. Rzeczywistość zaś to trzy dolary dziewięćdziesiąt, do których wypadałoby jeszcze zbierać trochę ich koleżków. Ojciec rodziny o wydatnym brzuszku powiększył kapitał Hendrixa o dziesiątaka i zaraz po nim drugi, tym razem chudy jak tyka, ustalił wysokość łupu na cztery dolary dwadzieścia. O piątej wysokość sumy nie uległa zmianie. Tłum zaczął się przersedzać. Sam czuł się zmordowany nie wiadomo dlaczego. Zazwyczaj lepiej się trzymał. Pięć lat minęło od tego idiotycznego wypadku przy pracy. Ubezpieczalnie "Blue Cross", "Medica-ic", "Blue Shield" wypłaciły mu odszkodowanie, do jakiego w każdej miał prawo. Odszkodowania poważne, nie było bowiem mowy, by monter rusztowań metalowych bez nogi dostał robotę w swojej specjalności. Na nieszczęście, wysokie sumy, jakie otrzymał, przyprawiły go o zawrót głowy; wierzył naiwnie, że w sakiewce nigdy nie zobaczy dna.

Ale dno pojawiło się wcześniej, niż można było przypuszczać - po długich nocach pijaństwa i orgii z dziwkami najpodlejszego gatunku, których nie odstraszała proteza. I od tej pory, skazany na żebraninę, mieszkając w jakiejś potwornej norze, wegetował dzięki tym paru dolarom skąpej jałmużny. Całe szczęście, że był starym kawalerem i nie miał na karku rodziny.

Cztery dolary dwadzieścia, z taką sumą daleko nie zajędzie. Miał już tylko pół godziny na powiększenie kapitału, ale był tak zmordowany, że postanowił odpocząć chociaż dziesięć minut na którejś z parkowych ławeczek. Wybrał taką, która stała na uboczu, z daleka od większego tłumu.

Na ławeczce siedział człowiek, którego wygląd i obecność w tym miejscu wprost go zdziwiły. Ubrany wyszukanie, z troską o najmniejszy szczegół, nie pasował do tych ludzi w dżinsach i w koszulkach T-shirts. Na razie obserwował z zainteresowaniem, jak Sam Hendrix zbliża się do ławeczki. Hendrix jednym rzutem

oka ocenił dobrze skrojone ubranie, buty nie z konfekcji, ale od najmodniejszego szewca, i natychmiast zwąchał dobrą okazję.

Bezczelnie rozsiadł się tuż obok mężczyzny i zaatakował z miejsca w obawie, że ofiara może mu się wymknąć.

- Czy nie znalazłby się maleńki banknocik dla biednego kaleki?

Jednocześnie wypróbowanym ruchem uniół nogawkę spodni, odsłaniając protezę, jak robił to dziesiątki razy tego nawet popołudnia.

Wzrok mężczyzny spoczął na metalowym aparacie i nie mógł się od niego oderwać.

Sam zrazu chrząknął, potem jeszcze raz powoli swoją prośbę.

Mężczyzna poruszył się, powoli skinął głową, wydobyl portfel, wyciągnął pięciodolarowy banknot i podał Samowi.

- Niech no pan jeszcze nie opuszcza nogawki spodni - rzekł po prostu.

Sam osłupiał, posłusznie przytrzymał nogawkę i szybko chwycił banknot. "Jakiś wariat - powiedział do siebie - ale co mi to szkodzi, mam już dziewięć dolarów dwadzieścia. Dobry dzionek!" Trochę zażenowany przyglądał się mężczyźnie, który wciąż intensywnie wpatrywał się w protezę. "Gdyby mi zaferował rentę dziesięć dolarów dziennie, mógłbym mu ją pokazywać cały dzień bez przerwy, kiedy by mu tylko przyszła ochota" - pomyślał Sam, zadowolony z siebie.

Ale nagle zachowanie mężczyzny uległo zmianie. Szeroki uśmiech rozjaśnił mu twarz. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął złotą papierośnicę, otworzył i częstując Sama papierosem, powiedział:

- Pan posiada prawdziwy skarb. Drugą ręką pokazał na protezę.

Sam wziął papierosa i roześmiał się szyderczo.

- Za dużo pan sobie pozwala. Gdyby pan był na moim miejscu...

Mężczyzna przypalił papierosa.

— Pan posiada prawdziwy skarb i nie potrafi go wykorzystać.

— Ach tak? - Sam był raczej sceptyczny. - Chce pan go kupić? - dorzucił z ironią.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

— Pana chcę kupić.

— Wolne żarty - zachichotał Sam.

— Pięćset dolarów, interesuje to pana?

Sam natychmiast stał się nieufny. Przygodny nieznajomy na ławeczce proponuje ci prosto z mostu pięćset dolarów nie dla

twoich pięknych oczu albo dla protezy, W zamian za to trzeba mu coś dać, a w dwudziestym wieku i do tego w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej takie coś podpada pod kodeks karny jak dwa razy dwa. Mężczyzna z lekko ironicznym uśmiechem na ustach czytał z wyrazu oczu Sama jego myśli.

- Niech pan posłucha - rzekł bez ogródek - będę z panem brutalnie szczery. Jest pan włóczęgą bez przyszłości, skazanym na żebranię. Nie ma co się stawiać. W pańskiej obecnej sytuacji to, co oferuję, jest dla pana prawdziwą fortuną. Pięćset dolarów tygodniowo... Sama zatkało.

— Tygodniowo?

— Tygodniowo!

— A... co trzeba zrobić?

- Robi się późno. Mam wóz zaparkowany tuż koło wyjścia z parku od strony północnej. Tam będziemy mogli swobodniej pogadać.

Sam nagle odgadł wszystko, tak mu się przynajmniej zdawało.

— Hejże! Czy pan czasem nie jest pedałem? Mężczyzna uśmiechnął się życzliwie.

— Pan się myli. Nie o to chodzi. Idziemy.

W rzeczywistości w sprawach miłosnych wykazywał zainteresowanie przedstawicielami obu płci, ale jego ukryte słabości nie mogły mieć nic wspólnego z tym brudnym i zawszawionym włóczęgą.

Mężczyzna miał samochód marki chrysler, model sprzed dwóch t, jak oceniał Sam, mimo że siłą rzeczy nie miał teraz do czy-nienia z samochodami. Samochód zupełnie banalny, który jednak jakoś pasował do jego stylu ubierania.

Hendrix, zanim się usadowił w wozie, przystanął przed kioskiem przy bramie parku i kazał sobie zapakować w papier dwa hot-dogsy ociekające musztardą, torebkę frytek i dwa kartoniki zimnego piwa. "Coś do przegryzienia - powiedział sobie - na wypadek gdyby rozmowa miała się przedłużyć".

Wracając do wozu, rzucił okiem na numer rejestracyjny. Pochodził ze stanu Teksas. Ciekawe, mężczyzna nie miał akcentu z Teksasu, raczej z Nowego Jorku. W każdym razie z północnego wschodu.

W samochodzie rozwinął wiktuały, zjadał i popijał z apetytem. Piwo było chłodne, takie właśnie lubił. Zauważył, że mężczyzna spojrzał na niego parę razy z wyrazem obrzydzenia, ale Sam się tym nie przejmował, obserwował ulicę zjadając i popijając.

Zbliżało się Boże Narodzenie. W zapadającym zmroku sklepy jarzyły się tysiącem świateł. Od fasady do fasady biegły wstęgi z chorągiewkami i rzędy lampionów. Wzrok jego przykuł magazyn krawiecki. Jak tylko okaże się, że cała ta historia nie jest snem, zafunduje sobie natychmiast garnitur, nawet kilka garniturów. Do tego koszule i bieliznę. A potem zmieni chatę. Nie. Najpierw dobra kąpiel, popijawa, a następnie dobra dupa, najlepsza byłaby Meksykanka...

Ruch był ożywiony. Ludzie wracali do domów. Mężczyzna prowadził wóz z ręcznie. Byli już kilka mil za miastem, kiedy zatrzymał samochód koło jakiegoś motelu.

Sam opuścił szybę i wyrzucił papierowe torebki.

- No więc, cóż to za sekrety? - zapytał.

Mężczyzna zgasił reflektory i palił papierosa z absolutnym spokojem. Odwrócił się do Sama i popatrzył mu prosto w oczy.

- Nie sądzi pan chyba, że jeżeli płacę pięćset dolarów tygodniowo, chcę zaproponować coś, co, powiedzmy, jest legalne w stu procentach.

Sam przytaknął.

- Świetnie. Będzie pan transportował narkotyki. To wszystko. Przerwał, żeby zobaczyć, jakie wywarł wrażenie.

Sam ani drgnął. Mężczyzna uśmiechnął się.

- Doskonale. Spróbujemy wykorzystać pańską protezę. Aparat wewnątrz jest pusty. Wypełni się go narkotykami. Rzecz jasna, będzie to sporo ważyć i może sprawiać trochę kłopotów, ale ostatecznie nie musi pan dużo się ruszać. Co więcej, oczywiście nigdy nie będzie pan sam. Mówiąc, że nie musi się pan dużo ruszać, mam na myśli chodzenie, bo wyjazdy będą i to na dalekie trasy. W większości wypadków będą to podróże samolotem. Czasami samochodem. Pięćset dolarów - oto pańska pensja. Zobowiązuje to pana do podróży raz na tydzień. Aby pana uspokoić, dodam, że ryzyko jest minimalne. Pan jest w branży osobą nową, podobnie zresztą jak rodzaj skrytki, którą chcemy wykorzystać, nie ma więc żadnej obawy o wyspę. Sam miał trochę pietra.

- Tak, ale co potem?

- Każde przedsięwzięcie ma swoje ryzyko. Musi pan wybierać: włóczęgostwo do samej śmierci albo też słodkie życie przez kilka lat i to - czemuż by nie - w absolutnej bezkarności. Sam powiedział sobie, że facet ma rację. To jasne, na początku ryzyko jest minimalne. Później oczywiście będzie gorzej. Ale póki co, Sam ma czas zastanowić się, co dalej. Sęk w tym, żeby z interesu wyciągnąć jak najwięcej na lewo, a potem próbować ulotnić się po angielsku. To, rzecz jasna, nie będzie łatwe, bo ci faceci nie wypadli sroce spod ogona. Ale Sam uważał się za szczerwanego lisa. Wierzył w siebie, w swoją dobrą gwiazdę. Postanowił poprobać szczęścia.

- Zgoda, proszę pana.

- Z prawdziwą przyjemnością stwierdzam, że jest pan człowiekiem inteligentnym - brzmiała odpowiedź.

Nieznajomy zamyślił się na chwilę.

- Przejdźmy teraz do szczegółów. Przypuszczam, że tam gdzie pan mieszka, nie ma nic takiego, co przedstawiałoby jakąś wartość albo do czego byłby pan szczególnie przywiązany. Sam potrząsnął głową przecząco.

- Dobrze, nie wróci więc pan tam już nigdy. Zresztą będzie an rezydował nie w tym mieście, ale na wybrzeżu zachodnim.

Przez szybę pokazał palcem na motel.

- Wynająłem bungalow w tym motelu. Pan się tu zainstaluje, ja się ulokuję gdzie indziej. Dziś wieczorem przywiozę panu trochę prowiantu, jutro zaś ubranie; postaram się dobrać odpowiedni rozmiar. W nim pójdzie pan do sklepu i ubierze się od stóp do głów. Myślę, że pierwsza podróż wypadnie w połowie tygodnia.

Sam odniósł nagle wrażenie, jak gdyby tracił całą swobodę, jakby został przykuty do niewidzialnego łańcucha. Ten mężczyzna za niego zdecydował. Podświadomie czuł, że przyjmując tę propozycję, popełnia błąd.

Od momentu kiedy wyraził zgodę na ofertę, która została mu tak nieoczekiwanie przedstawiona, głos mężczyzny, do tej pory życzliwy, stał się zimny, ostry, niemal bezduszny. Nieznajomy mówił tonem człowieka przyzwyczajonego do rozkazywania. Kim

był? Tego Sam na pewno nigdy się nie dowie. Stały mu przed oczami filmy oglądane w telewizji o ludziach wyjętych spod prawa, trupy ścielące się gęsto, strzelaniny, którymi te obrazy były naszpikowane. Korciło go, żeby powiedzieć, iż się wycofuje, już otwierał prawie usta, kiedy przypomniał sobie zdanie mężczyzny: "Włóczegostwo do samej śmierci..." Taka jest właśnie prawda. Jakież bowiem ma przed sobą widoki? Żadnych. Stały mu przed oczami te żalosne noce ostatniej zimy. Goły jak mysz kościelna, koczował w piwnicy na węgiel, szczęśliwy, że czuje na zziębniętym ciele cudowne ciepło bijące od kotła, który znajdował się w pobliżu. Nigdy nie chce już zaznać czegoś podobnego. Za nic w świecie. Nie, wszystko, tylko nie to.

Wnętrze motelu urządzone było nieco pretensjonalnie. Sam Hendrix spędził tu trzy cudowne dni. Obficie zaopatrywany w prowiant wszelkiego rodzaju, w alkohol i papierosy, całe dnie i wieczory siedział przed telewizorem. Harry (mężczyzna tak się przedstawił) zjawiał się zwykle w porze obiadowej z ogromną torbą wiktuałów.

Pierwszego dnia przyniósł pełny asortyment odzieży i od tego momentu Sam poczuł, że zaczyna odżywać. Miał wrażenie, że znowu stał się człowiekiem. Whisky, z którą się nie rozstawał, z pewnością miała swój wpływ na ten stan upojenia.

Harry nigdy nie przychodził na długo. Wypytywał Sama o jego ewentualne potrzeby i życzenia, zawsze też przykazywał, by pod żadnym pozorem nie wychodził z bungalowu, po czym znikał.

W czwartek wieczorem Harry złożył mu zwykłą wizytę. Rzucił na stolik plik pięciodolarowych banknotów. - Dwieście pięćdziesiąt dolarów - oświadczył krótko. - Połowa gaży tygodniowej. Pierwsza podróż wyznaczona na jutro tano.

Sam nagle poczuł, że w gardle mu zaschło. Harry rozejrzał się po pokoju. Butelka whisky, do połowy jeszcze pełna, stała na telewizorze. Chwycił ją, zaniósł do łazienki i wylał do umywalki, następnie sprawdził, czy w bungalowie nie ma innego alkoholu, i dopiero wtedy zasiadł naprzeciw Sama. Uśmiechnął się do niego szeroko.

- Musi pan być trzeźwy i w pełnej formie, aby dobrze wykonać zadanie.

Sam mruknął pod nosem:

- Dobra, dobra!

Harry, wciąż szeroko uśmiechnięty, ciągnął dalej:

- Przywiozłem trochę wiktuałów. Po kolacji niech pan idzie wcześniej spać. Jutro z samego rana przyjadę z towarem. Ulokujemy go tam, gdzie należy, i w drogę. Pierwszy etap - Paryż.

Sam uderzył pięścią w zdrowe udo.

— O, to klasa! Paryż, babki, Folies Bergeres, Moulin Rouge, wieża Eiffla... - wyliczał Sam straszliwie kalecząc francuszczyznę.

— Niestety, Sam - przerwał Harry - nie o tym Paryżu mowa, chodzi o miejscowość położoną w północnej części naszego stanu.

I nie przejmując się rozczarowaną miną Sama, wyjaśniał:

- Dojedzie pan tam taksówką. Miejscowość leży mniej więcej sto mil stąd, w pobliżu granicy z Oklahomą. Nie dojeżdżając do miasta, po prawej stronie znajdzie pan motel "Cattle

Lodge". Pokój na pana nazwisko już zarezerwowany. Zatrzyma się pan tam, odprawi taksówkę i poczeka na kontakt. Jasne? Sam skinął głową.

- Taksówką ja się zajmę - dorzucił Harry. - Jeszcze jedno, pod żadnym pozorem nie wolno rozmawiać o naszych sprawach z kierowcą taksówki.

Zadowolony z siebie, wstał i uściśnął dłoń Sama.

- Do zobaczenia jutro, powiedzmy, koło siódmej.

Sam spędził niespokojną noc i czuł się jak wypluty, kiedy Harry zjawił się nazajutrz rano. Sama jego widok przyprawił o mdłości. Śniadanie, które przed chwilą przełknął, pogorszyło tylko samopoczucie. Harry poklepał go poufale po ramieniu, pokazując sporą torbę z ciemnego papieru, którą położył na łóżku.

- No, do roboty.

- Co mam robić?

- Niech pan podniesie nogawkę i wyciągnie się na łóżku. Harry wyjął z torby przezroczyste plastikowe woreczki z białą masą, potem plaster i nożyczki.

Przez dobre dwadzieścia minut zwijał się jak w ukropie, wsuwał woreczki i umocowywał wewnątrz sztucznej nogi Sama. Woreczki solidnie przytrzymały szerokie taśmy plastra. Podczas tej całej operacji nie zamienili ze sobą ani słowa. Wreszcie Harry wyprostował się, krytycznym okiem przyjrzał się dziełu, które wykonał, i opuścił nogawkę spodni Hendrixa.

- Niech pan wstanie - rzucił rozkazująco. Sam podniósł się i zawołał:

— O Boże! Pan chyba w te worki napakował ołowiu! To piekielnie ciężkie. Padnę na pysk!

— Niech się pan nie martwi. Zawsze znajdzie się pod ręką ktoś, kto panu pomoże.

Sam spróbował zrobić parę kroków.

— Ależ ja ledwo mogę się poruszać!

— Nie będzie pan musiał chodzić. Tak czy owak, jest pan przecież inwalidą. I nikomu nie wyda się podejrzanym, jeżeli będzie pan miał trudności z chodzeniem. Teraz niech pan spróbuje przejść parę kroków, a ja tymczasem zajmę się pakowaniem.

Szybko zebrał rozrzucone po całym pokoju części garderoby, upchnął w walizce, wrzucił przybory toaletowe, które znalazł w łazience. Raz jeszcze sprawdził w pośpiechu, czy nic nie zostało, i zwrócił się do Sama.

- No, Sam, zjeżdżamy.

- Nie można powiedzieć, że ma pan talenty pokojówki - mruczał Sam. - Po wpychał pan te rzeczy do walizki na siłę... Wszystko będzie okropnie wymięte.

Harry wzruszył ramionami i wziął walizkę do ręki. Uchylił lekko drzwi i rozejrzał się podejrzliwie na wszystkie strony.

- Niech się pan ulokuje na przednim siedzeniu w samochodzie. Ja zaraz idę.

Sam, kuśtykając, podszedł do samochodu i usadowił się w środku. Harry zbliżył się szybkim krokiem i rzucił walizkę na tylne siedzenie. W pół godziny później parkował samochód przy chodniku jednej z głównych ulic miasta. Postój w tym miejscu był zabroniony, ale on zdawał się tym nie przejmować. Zgasił motor i oparł się wygodnie na siedzeniu. Pałac papierosa, z uwagą wyglądał przez szybę. Po dziesięciu minutach oczekiwania Sam zakasłał.

- Co robimy? Czekamy na kogoś?

— Ani słowa! - odparł Harry sucho. - Proszę nie zapominać, że pan wykonuje rozkazy i nie wysiła się, aby je rozumieć.

— W porządku! - mruknął Sam. - A kiedy dostanę te drugie dwieście pięćdziesiąt dolarów?

— Na miejscu przeznaczenia, kiedy odda pan woreczki we właściwe ręce. Tam zajmie się panem niejaki Dave Hodges. Przez pewien czas nie będzie się pan ze mną kontaktować. Musi pan słuchać jego tak samo jak mnie.

— Dobrze, dobrze. Pan jest szefem. Harry zacisnął ręce na kierownicy.

— Proszę chwilę na mnie poczekać - rzucił krótko. Wyszedł z samochodu, wszedł na chodnik i Sam patrzył, jak

znika w tłumie, kierując się w stronę postoju taksówek, odległego o kilkadziesiąt metrów. William Woolen siedział rozparty za kierownicą i czytał wiadomości z ostatniej chwili. Kiedy Harry pochylił się nad drzwiczkami jego samochodu marki oldsmobile, z westchnieniem żalu i z błyskiem wyrzutu w oczach złożył gazetę we czworo i rzucił ją na siedzenie obok.

- Ładny dzień - zaczął. -. Dokąd pan chce jechać?

- To nie ja. Zaraz wszystko wyjaśnię. W samochodzie, parę metrów stąd, siedzi mój przyjaciel. To inwalida, ma sztuczną nogę. Chce jechać do Paryża. Rzecz jasna, w jego przypadku nie ma mowy o podróży pociągiem albo autobusem, musi jechać samochodem. Niestety, ja sam nie mogę go zawieźć. Pomyślałem sobie...

— Do Paryża, powiada pan?

— Tak.

- To diabelny kawał drogi. Sto mil. Będzie drogo kosztować. Trzeba opłacić kurs powrotny.

W przeciwieństwie do Sama, kierowca taksówki nie miał żadnych wątpliwości, o jaki Paryż chodzi. Mógł to być tylko Paryż w stanie Teksas. Harry posłał w jego stronę uśmiech i wydobyl portfel.

- Powiem panu coś: trochę mi głupio, że nie mogę odwieźć go osobiście. Żona nie dalej jak dziś rano robiła mi z tego powodu wymówki. To stary przyjaciel i nie bardzo zamożny. Może pan sobie wyobrazić, po takim wypadku... Wydaje mi się, że powinienem coś dla niego zrobić. A cóż innego mógłbym dla niego zrobić, jeśli nie pokryć koszty podróży do Paryża? William Woolen westchnął.

— Ma szczęście ten pański kumpel. Czy pan jest właścicielem kopalń nafty?

— Nie, nie pracuję w nafcie, ale ostatecznie interesy idą nieźle.

William Woolen rzucił okiem na świetnie skrojony garnitur

Harry'ego i pokiwał głową.

- A poza tym, gdybym się nim nie zajął, dostałbym od żony za swoje... De będzie ten kurs kosztował, w obie strony oczywiście?

Dobili targu, a Harry dorzucił jeszcze królewski napiwek do sumy, jakiej zażądał Woolen.

- A przede wszystkim - dodał - niech pan mu nic nie wspomina o naszej umowie, zanim nie znajdziecie się w Paryżu.

William Woolen mrugnął filuternie.

- Niech pan się o to nie martwi, proszę pana.

- Zobaczy pan, to swój chłop, sypie kawały jak z rękawa. Niech pan mu się nie da nabrać.

Woolen wybuchnął gromkim śmiechem.

— Nie ze mną takie numery! W moim fachu blagierów spotyka się na pęczki, a ja już jeżdżę na taksówce dobre piętnaście lat. No, dobra. Jeśli to inwalida, nie ma sensu, żeby się męczył. Gdzież ten pański wóz?

— Jakies trzydzieści metrów stąd, tam, w tyle za panem. Szary chrysler, model 1963, z niebieskim dachem.

— W porządku! Objadę dom naokoło i stanę obok pana. Przeładujemy go do taksówki.

- Doskonale. Będę czekał na chodniku.

Szybkim krokiem Harry wrócił do swojego samochodu.

— Za minutę będzie taksówka - poinformował Sama i dodał tonem poważnym i surowym:

— Uwaga! Szofer jest tylko pośrednikiem, więc im mniej pan będzie gadać, tym lepiej. On wie tylko tyle, że jesteśmy starymi znajomymi. Niech pan się zachowuje tak, jakbyśmy nimi rzeczywiście byli.

Postawa Harry'ego, zimna i odpychająca, nie podobała się Samowi w najwyższym stopniu. Sam bał się trochę Harry'ego.

- Rozumiem. Niech pan się nie martwi. Wszystko pójdzie dobrze.

— Aha, jeszcze jedno, Sam. Ton był beznamiętny.

— Tak, proszę pana?

Mimo że Harry pozwolił mu mówić do siebie po imieniu, Sam nie mógł się na to zdobyć.

- Niech pan obstaje przy tym, aby wszystkie okna w samochodzie były przez cały czas zamknięte. Ostatecznie jest już dość chłodno, wyda się to zatem logiczne.

Sam uznał, że Harry Shulz ma bardzo dziwne wymagania. Miał ochotę zapytać o przyczynę tego żądania, ale obawa przed reakcją Harry'ego sprawiła, że zrezygnował.

Samochód Williama Woolena stał już koło nich i kierowca dał krótki sygnał klaksonem.

Harry dorzucił szybko przyciszonym głosem:

- Niech pan się ściśle stosuje do moich instrukcji, a wszystko pójdzie dobrze. Proszę pamiętać, że na miejscu czeka na pana dwieście pięćdziesiąt dolarów.

Uśmiechnął się zachęcająco i poklepał Sama poufale po ramieniu - wszystko na intencję Williama Woolena.

- W porządku! Sam, w drogę.

Walizka została przeniesiona do bagażnika taksówki i Sam zainstalował się na przednim siedzeniu obok Williama Woolena. Harry pomachał serdecznie ręką na pożegnanie.

- Dobrej drogi, Sam, i do rychłego zobaczenia. Taksówka odjechała i zniknęła wśród innych pojazdów, Harry

wsiadł do swojego samochodu i wrócił do motelu.

Była godzina dziewiąta. Słońce z ogromnym trudem usiłowało przebić się przez chmury.

Ruch był ogromny i William Woolen stracił dobrą godzinę, nim dotarł na peryferie miasta i wyjechał na autostradę.

Posłuszny poleceniu Harry'ego, Sam z miejsca zażądał, żeby zamknąć okna, utrzymując, że jest wrażliwy na przeciągi. Żądanie to sprawiło Woolena w zły humor. Miał już niemal na końcu języka pytanie, czy dym też pasażerowi przeszkadza, ale się rozmyślił. Ostatecznie przecież to kaleka. Zresztą, żeby nie kępować Sama, starał się nie patrzeć na jego nogi. Pomruczał więc tylko pod nosem, ale zrobił to, o co Sam prosił. A Sam pograżył się w myślach.

Jakieś nie dające się wytłumaczyć, niemiłe uczucie ogarnęło go już rano, jak tylko się obudził, i nie mógł się go ani na chwilę pozbyć. Nieokreślony lęk skręcał mu wprost trzewia. Od początku znajomości z Harrym, Samem miały sprzeczne uczucia: to wznosił się na wyżyny entuzjazmu, to znowu wpadał w pesymizm. Ale entuzjazm brał górę nad ponurymi nastrojami. Teraz jednak poczuł, że tkwi w bagnie po same uszy. Nie pora już się cofać. Wpadł jak śliwka w kompot. Lecz w końcu po gorzkich rozmyślaniach zwyciężył wrodzony beztroski optymizm. Taśma autostrady rozwijała się szybko przed ich oczyma. Po trzy pasy jezdni biegły obok siebie w obu kierunkach. W kierunku miasta ruch był znaczny. Natomiast droga, którą jechali, nie była wcale zatłoczona. William Woolen prowadził z dozwoloną maksymalną szybkością dziewięćdziesięciu mil na godzinę. Od czasu jak wyjechali z miasta, zamienili ze sobą zaledwie kilka słów. Woolen palił bez przerwy, ale nie częstował Sama. Wóz pełen był dymu i kierowca w duchu przeklinał pasażera. Denerwowała go nawet jego wypoczęta mina.

A Sam, który uważał, że powietrze w taksówce jest nie do zniesienia, bez przerwy myślał o dziwnych wymaganiach Harry'ego, który obstawał przy tym, żeby okna były zamknięte. Zdawał sobie sprawę, że Harry miał jakiś powód, ale nie potrafił go zrozumieć. Wreszcie pomyślał, że trochę świeżego powietrza im nie zaszkodzi. Harry nie musi przecież wiedzieć o tym. Przez dziesięć minut wywietrzy się, a potem znowu zamkną okna.

Już miał to Woolenowi zaproponować, gdy nagle straszny ucisk w płucach sprawił, że nie mógł wydać z siebie głosu. Usta otworzyły się rozpaczliwie, jak gdyby chciały złapać powietrze. Na próżno. Silny zawrót głowy porwał go w jakiś upiorny wir, w którym mieszało

się wszystko - pojazdy, Woolen, Harry, woreczki z plastyku i zielone banknoty. Banknoty studolarowe. Całe garście. Tysiące. Walizy, naładowane zielonymi banknotami i woreczkami z plastyku. Stracił przytomność.

William Woolen odczuwał te same objawy co Sam. Ale - krzepki z natury - nie stracił przytomności i oczy miał otwarte.

Stopą usiłował nacisnąć pedał hamulca, ale noga była jakby sparaliżowana, podobnie jak całe jego ciało. Wyglądało to tak, jakby jakiś magik przemienił go w kamienny posąg.

Samochód pędził wciąż z szybkością dziewięćdziesięciu mil na godzinę. Jechał ostatnim pasem z lewej strony. William Woolen, z wytrzeszczonymi, nabiegłymi krwią oczyma, widział - jak w koszmarnym śnie - linię autostrady, która gdzieś daleko skręcała w prawo. Nadludzkim wysiłkiem, w który włożył całą wolę, próbował skrócić na prawo: na próżno. Muskulary odmawiały posłuszeństwa. A wiraż zbliżał się, zbliżał nieuchronnie...

Samochód minął trawnik przedzielający autostradę i wpadł pod maskę olbrzymiej ciężarówki, która wynurzyła się zza zakrętu. Zderzenie było straszliwe. Ze wszystkich stron prysnęły potężne odłamki metalu. Ciężarówka jechała jeszcze kilkadziesiąt metrów, zgarniając szczątki żelastwa. Maskę samochodu osobowego zamieniła się w ogromną płonącą pochodnię. Potworne płomienie, skręcające się w esy-floresy pośrodku wiru czarnego dymu, trawiły ciało Williama Woolena.

Po zboczu drogi toczyła się głowa Sama, odcięta od ciała, zbryzgując krwią aksamitną zielen trawnika. Nieco dalej leżały poszarpane zwłoki, a tuż obok nich sztuczna noga, zupełnie nietknięta.

Wiadomość o wypadku została podana w dzienniku w miejscowej stacji telewizyjnej w samo południe.

Wyciągnięty wygodnie w fotelu pośrodku pokoju w swoim bungalowie, Harry Shulz wpatrywał się w ekran. Twarz komentatora upstrzona była krostami. Widać było wyraźnie, że stara się upodobnić do Johna Wayne'a. Spiker mówił: "...straszliwy wypadek wydarzył się dziś rano na autostradzie, mniej więcej czterdzieści mil od Dallas. Taksówka marki oldsmobile, model 1963, prowadzona przez Williama Woolena, lat 38, z Dallas, z nie wyjaśnionych dotychczas powodów zjechała z lewego pasa jezdni, przecięła trawnik dzielący dwie jezdnie autostrady i roztrzaskała

się o ciężarówkę przewożącą artykuły żywnościowe, która nadjeżdżała z przeciwnego kierunku. Samochód osobowy, który jechał, jak się wydaje, z szybkością dziewięćdziesięciu mil na godzinę, został kompletnie rozbity. Zbiornik z benzyną eksplodował, samochód został strawiony przez ogień. Ze zgliszcz wydobyto zwęglone ciało Williama Woolena. Woolen wiozł pasażera, który także poniósł śmierć. Dotychczas nie udało się go zidentyfikować. Nie będzie to jednak trudne, gdyż był to inwalida, jedną nogę miał sztuczną. Szofer ciężarówki, John Holland, lat 32, z San Antonio, doznał poważnego wstrząsu, ale nie odniósł większych obrażeń. Przewieziono go do jednego z miejskich szpitali. Miejscowy szeryf prowadzi dochodzenie w sprawie wypadku, który mimo że tak potworny, byłby zwykłym wypadkiem drogowym, jakich, niestety, wiele w naszym stanie, gdyby współpracownicy szeryfa nie odkryli przy ciele pasażera, do tej pory jeszcze nie zidentyfikowanego, woreczków plastycznych, zawierających laktozę. Łączna waga proszku - parę kilogramów. Woreczki były ukryte w sztucznej nodze inwalidy. Szeryf Stanley Milton był uprzejmy udzielić naszemu specjalnemu wysłannikowi wywiadu na temat wstępnych rezultatów śledztwa. Nie wypowiadając się kategorycznie, skłania się on do przypuszczenia, że pasażer taksówki przewoził narkotyki. Ponieważ nasi telewidzowie nie mają do czynienia z narkotykami,

musimy wyjaśnić, że laktoza ma taki sam wygląd i konsystencję jak heroina. Szeryf Milton dodał, że gdyby jego przypuszczenia się potwierdziły, można przyjąć hipotezę, iż pośrednika transportującego towar wprowadzono w błąd co do natury ładunku, jaki przewoził, i zamiast heroiny podstawiono laktozę. Śledztwo powinno wyjaśnić, z jakich uczyniono to powodów; prawdopodobnie chciano go zgładzić. Za tą hipotezą przemawia fakt, że między woreczkami znaleziono butelkę, mniej więcej wielkości butelki coca-coli, w którą był wmontowany mechanizm zegarowy.

Kiedy ją odnaleziono, butelka była pusta, ale na dnie pozostał jakiś szary osad. Znalezione przedmioty przesłano do analizy w laboratorium policyjnym. Dalsze śledztwo, prowadzone tak su-

miennie przez szeryfa Milтона i jego pomocników, dostarczy, być może, dowodów, że ten wypadek jest wynikiem porachunków między handlarzami narkotyków. Szczegóły podamy w naszym dzienniku wieczornym..."

Harry Shulz wyłączył kontakt. Był z siebie bardzo zadowolony. Druga już z kolei robota wykonana w terminie i z taką łatwością. Najważniejsza rzecz to wyobraźnia. Spojrzał na zegarek. Za trzy godziny popołudniowym samolotem odleci do Nowego Jorku.

Telefonicznie zamówił obiad do pokoju i poprosił o połączenie z pewnym numerem w Nowym Orleanie. Tam w stanie Lui-zjana ktoś będzie dziś bardzo zadowolony.

By skrócić oczekiwanie na obiad, zaczął pakować walizki.

### ROZDZIAŁ III

Manhattan, New York City, USA.

Październik 1966

Mary Jane Montey weszła do sklepiku, by kupić papierosy.

Był to lokalik wąziutki, w przejściu mogła tu zmieścić się tylko jedna osoba. Gruba kolorowa kobieta kupowała papierosy i cukierki. Tuż przed Mary Jane stał niski staruszek, którego czuć było starością i brudem. Rękę trzymał w kieszeni i pobrzękiwał monetami. Choć jego marynarka była brudna i niechlujna, musiała się do niego przysunąć, gdyż sklepik był tak ciasny, że inaczej jedną nogą stałaby na chodniku. Staruszek odwrócił się do niej i wymamrotał parę słów, których dobrze nie zrozumiała. Wzruszyła ramionami. "Bierze mnie pewnie za kieszonkowca" - pomyślała ubawiona. Jednocześnie wyjęła ze swojej torebki dwa banknoty jednodolarowe.

Gruba kobieta załatwiła zakupy. Aby mogła opuścić sklep - staruszek i Mary Jane musieli wyjść na chodnik. Żeby nie kręcić się tam i z powrotem, Mary Jane ze stoickim spokojem czekała na zewnątrz, aż staruszek opuści sklepik. Mżył drobny deszczyk, więc podniosła kołnierz płaszcza i poprawiła szalik. Staruszek przeszedł obok, robiąc do niej oko.

Roześmiała się ironicznie, potem weszła do sklepiku.

Kontuar był po prawej stronie. Za nim rozpierał się dobry kwintal tłustego cielska płci żeńskiej.

- Poproszę dwie paczki chesterfield king size - powiedziała Mary Jane.

Śmiała się jeszcze ze zmieszania staruszka. Mężczyzna w podeszłym wieku o pogodnej twarzy profesora podał papierosy. "Mąż kwintala, z całą pewnością" - pomyślała Mary Jane. Dwa banknoty zniknęły już w ogromnej dłoni mastodonta.

— Jeden dolar i cztery centy. Nie ma pani czterech centów? Mary Jane zaczęła szukać w torebce.

— Nie. Bardzo żałuję.

— Trudno, niech i tak będzie.

Mary Jane włożyła dwie paczki papierosów do kieszeni płaszcza i podniosła oczy na kobietę. Ta nie robiła żadnego gestu.

— A reszta?

— Jaka reszta?

— Dałam pani dwa dolary.

- Moja kochana, pani mi dała jednego dolara. Brakowało czterech centów i poprosiłam o nie. Pani nie miała, trudno, dobrze wiem, co to znaczy być splukanym.

Mary Jane była wściekła.

— Coś podobnego! I pani myśli, że uda się pani mi to wmówić? Kto w Nowym Jorku robi prezent z czterech centów?

— Popatrzcie ją! Zrób tu komuś grzeczność, to ci się tak odplaci !

— Nie ruszę się stąd, póki mi pani nie wyda reszty.

— Proszę bardzo! Niech się pani nie rusza, jak pani nie chce!

— Pani jest pewna, że ten banknot nie zawieruszył się gdzieś w torebce albo w kieszeni? - zapytał mężczyzna za kontuarem.

— Oczywiście, że nie! Jestem absolutnie pewna, że dałam jej dwa banknoty jednodolarowe - słyszy pan?

Pokazała oczami górę tłuszcza.

W czasie dyskusji nadeszli dalsi klienci. Czują, jak niecierpliwia się za jej plecami.

- Proszę pani, niechże pani załatwi tę panienkę. Ja nie mam czasu. Proszę paczkę lucky. Inny chropawy głos huknął za jej plecami:

- A ja dwie paczki winstonów.

Klienci zostali obsłużeni. Mary Jane nie ustępowała:

- Oddaje pani resztę? Kobieta podniosła oczy do góry.

— Moja mała, ten numer u mnie nie przejdzie.

— Doskonale, idę po glinę.

- Właśnie, niech pani idzie po glinę. Joe i ja widzieliśmy już mnóstwo takich dziewcząt, które próbowały odstawić ten numer. Proszę bardzo! Niech pani leci po glinę, glina ma to gdzieś!

Nie posiadając się ze wściekłości, Mary Jane wypadła na ulicę. Siódma Avenue była tuż obok. Tam z pewnością kręci się jakiś policjant. Drobny i przenikający do szpiku kości deszczyk siąpił bez przerwy. Drżąc z przejmującego wilgotnego zimna, szybko dobiegła do głównej arterii.

Musiała minąć dwa bloki, nim dostrzegła czarnego policjanta, który schronił się przed deszczem pod markizą sklepu z damską odzieżą. W witrynie widniał napis: "Wyprzedaż! Wchodźcie i przetrząsajcie". Glina był zafascynowany tłumem, który kłębił się wewnątrz sklepu. Dotknęła jego ramienia, a kiedy się odwrócił, wyjaśniła, co ją spotkało. Nieszczęsny glina od razu zrozumiał, że wali się nań katastrofa. Ostrożnie próbował się wykręcić.

— To daleko? - spytał z nadzieją w oczach.

— Ależ nie. Dwa bloki stąd, na Czterdziestej Trzeciej ulicy.

— Dobrze. Chodźmy - powiedział zrezygnowany.

Szedł przodem szybkimi krokami, jak gdyby chciał jak najprędzej odwalić pańszczyznę. Idąc tuż za nim widziała, że nogawki jego spodni kończą się dobre piętnaście centymetrów powyżej butów. Jego mundur był zaniedbany. Gdyby nie czapka, pałka i rewolwer, można by go wziąć za urzędniczyne.

Na rogu Czterdziestej Trzeciej ulicy odwrócił się w jej stronę.

- Gdzie to jest?

Pokazała mu oświetlony sklepik dwadzieścia metrów dalej.

Kwintal tłuszczu wydawał właśnie resztę wysokiemu chudemu facetowi. "Ten ma szczęście"

- pomyślała Mary Jane.

Glina wszedł do środka. Wskazując palcem na Mary Jane, oświadczył:

- Ta dama utrzymuje, że wręczyła pani dwa banknoty jednodolarowe kupując dwie paczki papierosów za łączną sumę dolara i cztery centy, a pani...

Wtedy dopiero wybuchła awantura. Mastodont zamienił się w furię. Podniósłszy pięść, opasała kobieta próbowała uderzyć Mary Jane i przechyliła się niebezpiecznie nad kontuarem. Z pianą na ustach wyrzucała z siebie potok przekleństw. Policjant z błagalną miną usiłował ją uspokoić. Bez powodzenia. Przez chwilę Mary Jane miała wrażenie, że glina zaraz zacznie prosić właścicielkę sklepiku, żeby mu wybaczyła tę interwencję... - To nie moja wina - mówił - to ta dama... Pełna obrzydzenia, Mary Jane wyszła ze sklepiku. Ogarnęła ją wściekłość.

Znowu skierowała się w stronę Siódmej Avenue. Kurewskie miasto. I ci łajdacy nowojorczy z mordami metysów. I ten brudny czarny glina. Mary Jane, jak każdy prawdziwy obywatel Teksasu, nienawidziła czarnych. Nade wszystko jednak nienawidziła Nowego Jorku - tego miasta, w którym niewskazane są samotne spacerki po ósmej wieczorem - nawet w dzielnicach bogaczy - jeżeli człowiek nie chce się narażać na napad, gwałt, a może i śmierć; miasta, gdzie w każdym sklepie mogą cię bezkarnie obrać z forsy; miasta, w którym mówić o ochronie policji to to samo, co pluć do rzeki Hudson. Zresztą, bądźmy szczerzy, cóż mogą poradzić nieszczęsne siły policji, tych dwadzieścia pięć tysięcy glin w mieście liczącym dziesięć milionów mieszkańców. I to w mieście, które szczyli się smutną sławą miasta o największym w świecie procencie przestępczości. A zresztą glina na swoim stanowisku znaczy tyle co pionek na szachownicy. Nic dziwnego, że policja nowojorska nie może znaleźć białych do pełnienia tego brudnego rzemiosła, niesławnego i niebezpiecznego. Rekrutuje się zatem niemal wyłącznie z czarnych i Portorykańczyków. A przy tym wszystkim jakież to miasto obrzydliwe! Brudne, wstrętne. Na każdym kroku śmieci. Wyboiste chodniki. I ta mgła, parna i wilgotna, spiralami unosząca się znad ziemi. Oni nazywają to ogrzewaniem miejskim. Poczekaj, Mary Jane, to jeszcze nie wszystko. Zobaczysz, co będzie w zimie, tej pory roku jeszcze tu nie przeżywałaś. Mrozy polarne. I śnieg, śnieg, który szybko przemienia się w błoto, płynne, szare, brudne, lepkie jak smar. Biedaczko, po coś przyjechała do Nowego Jorku? Nie mogłaś pozostać w Teksasie? Ach nie, prawda, tam nie mogłaś pozostać... Niech to wszystko diabli! Jakież to życie obrzydliwe. I ta mała, która nabrała cię na dziewięćdziesiąt sześć centów. A tak bardzo potrzebny ci każdy cent. Jesteś już splukana kompletnie. I co teraz poczniesz? No, Mary Jane, długo tak będziesz włączyć się po deszczu? Czy przypadkiem nie zwariowałaś? Masz ochotę kipnąć? Chcesz się rozchorować? A wiesz, ile lekarz bierze za wizytę? Zafunduj sobie lepiej metro. Co? Metro? Te ponure tunele i perony! Te zmęczone twarze! Tak, ale co robić?

Nagle olśniła ją pewna myśl. Odwiedzi Eileen, ona ją pocieszy. Eileen, jej jedyna przyjaciółka w Nowym Jorku, też pochodzi z Teksasu. Na nieszczęście, Eileen nie zawsze ma czas, w przeciwnym razie spotykałyby się częściej, i życie w Nowym Jorku stałoby się dla Mary Jane znacznie znośniejsze. Ale dziś jest czwartek. Eileen funduje sobie raz w tygodniu - właśnie we czwartek - spokojny wieczór w domu, by wypocząć po licznych nocnych wypadach w pozostałe dni tygodnia.

Pogrążona w myślach, Mary Jane nie zwracała uwagi na drogę, jaką miała przebyć. Dotarła do Broadwayu, poszła pod górę, a teraz znajdowała się na rogu Pięćdziesiątej Pierwszej ulicy, niemalże naprzeciwko baru Jacka Dempseya. Rzecz jasna, mistrz świata wagi ciężkiej z lat dwudziestych rzadko bywał w swoim barze, ale ci, którzy z żalem wspominali dobre czasy boksu, wpadali tu na kieliszek w nadziei, że zobaczą znakomitego mistrza.

Zawróciła i doszła do metra przy Czterdziestej Dziewiątej Ulicy Wschodniej. Kupiła bilet w okienku. Wywieszka informowała, że nie przyjmuje się banknotów powyżej pięciu dolarów. Z obawy przed napadem z bronią w rękę kasjerzy trzymali w kasie tylko niewielkie sumy i mieli wyraźne zalecenie oddawać je bez dyskusji w razie napadu. Nie ma sensu bawić się w bohaterów. W Nowym Jorku spust naciska się bardzo łatwo.

Szcześnie uśmiechnęło się do niej. Właśnie wchodziła na peron, kiedy nadjechał ekspres. Niebawem wysiadła na stacji przy Trzydziestej Czwartej ulicy. Stąd już miała bardzo blisko do budynku, w którym mieszkała przyjaciółka.

Eileen stanęła w drzwiach we wspianym kimonie. Twarz zasłaniały jej długie kosmyki mokrych włosów.

To ty, kochanie? Wchodź szybko i zamykaj drzwi. Straszny przeciąg, a ja umyłam włosy i nie chcę nabawić się grypy.

Schroniła się szybko pod suszarkę.

— Zostaniesz na kolacji?

— Jeżeli ci to nie sprawi kłopotu.

- Wiesz dobrze, że nie, kochana. Możesz mi trochę pomóc? W kuchni znajdziesz coś do jedzenia. Wybierz, co chcesz, i przygotuj kolację na trzy osoby, dobrze?

- Na trzy?

- Tak, Ken ma wpaść wprowadzić tylko na kieliszek, ale on zna twoje talenty kulinarne i jak się dowie, że to ty robiłaś kolację, zostanie, jestem pewna.

Mary Jane wybuchnęła śmiechem.

— Talenty kulinarne, żartujesz chyba!

— Ależ tak, tak.

— Powiedz mi szczerze, Eileen, czy na pewno nie będę wam przeszkadzać?

— Śmieszna jesteś! Zresztą chyba nie będziesz siedzieć całą noc!

Mary Jane zrozumiała aluzję. Zaczęła przekomarzać się z Eileen:

- Krótko mówiąc, chcesz wykorzystać moje rzekome talenty kulinarne i zmusić Kena, żeby został u ciebie na noc.

- Moja kochana, w Nowym Jorku trzeba dobrze natężyć szare komórki, żeby utrzymać przy sobie mężczyznę.

Ken nadszedł niebawem. Był to wysoki młody człowiek, sympatyczny i pełen humoru.

Pracował w jakiejś agencji reklamowej koło Madison Avenue. Mary Jane spotkała go trzy czy cztery razy u Eileen i bardzo przypadł jej do gustu. Uważała to zresztą za komplement dla Kena, gdyż jeśli chodzi o mężczyzn, była raczej wymagająca. Z zapałem pomagał jej w szykowaniu kolacji. Kiedy skończyli, z entuzjazmem uszczypnął ją w udo.

- Co za skarb! Z ciebie byłaby doskonała gospodyni domu. Takiej właśnie żony mi potrzeba.

— Ależ ja nienawidzę dzieci!

— Och, są przecież pigułki antykoncepcyjne!

- Zajmij się raczej Eileen. Ona za tobą szaleje i uwielbia brzdąków. Zafundujesz jej cały tuzin. Będzie skakać z radości.

Ken zmienił ton na ironiczny.

- Nie wiedziałem, że masz talenty stręczycielki. Z drugiego pokoju dobiegł głos Eileen:

- Co wy tam majstrujecie we dwójkę? Przyprawiacie mi rogi? A ja umieram z głodu.

Kolacja była wyśmienita. Komplementy wywołały na twarzy Mary Jane rumieńce. Czuli się szczęśliwi. Opowiedziała swoją pechową przygodę i przez dobrą godzinę rozmowa toczyła się na temat niebezpieczeństw, jakie w Nowym Jorku czyhają na człowieka na każdym kroku. Po kolacji Eileen wyszła do kuchni zaparzyć kawę, a Ken zabrał się do przyrządzania cocktailu - dwie trzecie rumu, jedna trzecia ginu, do tego parę kawałków lodu.

- Słuchaj, Mary Jane - zaczął z innej beczki - mówiłaś niedawno, że szukasz roboty.

— Tak, Ken.

— Czy to wciąż aktualne?

— Zdarłam już buty, szukając pracy z ogłoszeń w gazetach.

- Jason Klansky w tej chwili przygotowuje rewię. Szepnąłem mu słówko w twojej sprawie. Jason to mój stary kumpel. Oddaję mu czasem drobne przysługi, a on nie jest z tych, co zapominają. Wpadnij do niego i powołaj się na mnie, najlepiej jutro, jeżeli to możliwe.

Podał mi twoje nazwisko.

- To wspaniale, Ken, jestem ci szalenie wdzięczna.

- Chociaż w taki sposób chciałbym ci się zrewanżować za wspaniałą kolację.

Zerwała się z miejsca, podbiegła ku niemu i ucałowała go w oba policzki.

- Pierwszorządny z ciebie facet, Ken. Eileen wygrała, los na loterii.

Wybuchnął gromkim śmiechem, by ukryć zażenowanie.

— Gdybyś mogła ją o tym przekonać! Kiedy widzę te dziewczyny, które kręcą się koło mnie w reklamie, zastanawiam się, czy nie powinienem pójść do psychiatry i poradzić się, dlaczego właściwie mam słabość do Eileen.

— Odpowiedziałby ci, że jesteś absolutnie zdrow na umyśle.

- Ja raczej myślę, że poradziłby mi bez skrępowań zrywać te wszystkie kwiatuszki, które same pchają się pod rękę.

O godzinie jedenastej Mary Jane uznała, że wypada się rozstać z Eileen i Kenem. Pożegnała się więc z Kenem, nim jednak wyszła, wciągnęła przyjaciółkę do kuchni.

- Czy możesz mi pożyczyć dwadzieścia dolarów?

— Kochanie, nie mam, ale zaraz poproszę Kena. Mary Jane zarumieniła się.

— Nie. Nie trzeba. Dam sobie radę.

— Nie bądź głupia. Ken to przecież przyjaciel. On...

- Tak, ale on już i tak był nadzwyczajny. Znalazł mi robotę u Jasona Klansky'ego, który wystawia nową rewię. Co on sobie o mnie pomyśli?

Eileen dała jej sówkę w bok.

- Mężczyźni są po to, żeby płacić. Zaczekaj chwileczkę.

W dwie minuty później wręczyła jej dwa banknoty dziesięcio-dolarowe.

— I nie daj się drugi raz ograbić w sklepie z papierosami. Ucałowały się.

— Powodzenia jutro u Klansky'ego. Daj mi znać, jak poszło. Na dworze deszcz ustał. Zimny i mokry wiatr wymiatał ulice.

Wzdrygnęła się i naraz zapragnęła znaleźć się już w domu. Ledwie uszła kilka kroków, zaczepił ją jakiś mężczyzna.

- No jak, ślicznotko, wracamy samotnie do domu? To nierozsądne. Dotrzymam ci towarzystwa, to ci oszczędzi kłopotów.

Przypieszyła kroku. Mężczyzna przez chwilę szedł za nią, potem zdecydował się rozejrzeć za inną zwierzyną.

Była już przy stacji metra, kiedy uświadomiła sobie, że o tak późnej godzinie pociągi nie kursują. Lecz ostatecznie do Canal Street nie jest tak daleko. Taksówka byłaby za droga, ale może przecież pójść na piechotę. Policja patroluje ulice przez całą noc. Oczywiście bandyta zawsze znajdzie sposobny moment, by dokonać przestępstwa. Mimo wszystko jednak widok gliny w samochodzie odstrasza takiego faceta. Dochodziła północ, kiedy, dotarła do ulicy, przy której mieszkała.

Funkcjonariusz policji Pablo Rodriguez, który patrolował ten sektor, zauważył nadchodzącą Mary Jane. Stał ukryty w bramie budynku po przeciwnej stronie ulicy. Niewidoczny dla zbłąkanego przechodnia, palił papierosa za papierosem. Na widok Mary Jane rzucił niedopałek na ziemię, rozduśił obcasem, ostrożnie wysunął rewolwer ze skórzanej kabury. Uchylił bramę i czekał. Najwyższy czas, powiedział do siebie. Jego służba kończyła się za pięć minut i właściwie cała historia wzięłaby tego wieczora w łeb, gdyby dziewczyna się nie zjawiała.

Wychyliwszy się nieco, mógł widzieć samochód - czarnego forda - w którym zaczął się szef. Tymczasem szef, jak go w myśli nazywał Rodriguez, również zauważył Mary Jane.

Uruchomił silnik i zostawił na wolnych obrotach. Czubkiem buta włączył reflektory. Trzy krótkie sygnały świetlne. Mary Jane nie rozumiała, o co chodzi. Sądziła, że ma do czynienia z nocnym podrywaczem, i przyspieszyła kroku. Doszła wreszcie do domu, szybko wbiegła na schodki i pchnęła drzwi.

Korytarz był słabo oświetlony. Znalazłszy się wewnątrz, dostrzegła sylwetki dwóch mężczyzn, którzy nagle rzucili się na nią. Przeżrana próbowała krzyczeć, ale potężna ręka zmiażdżyła jej usta. Zaczęła się szamotać, rozdając na oślep kopniaki na prawo i lewo. Czubek pantofla trafił napastnika w samą piszczel i jęk bólu wyrwał się z jego ust. Teraz dobrze widziała obu. Dwóch łobuzów z oczyma błyszczącymi od narkotyków. Murzyn i biały. Murzyn z kędzierzawą głową i biały z długimi zwichrzonymi blond włosami spadającymi na twarz. Ją trzymał czarny. Popchnął ją brutalnie na ścianę.

- Pospiesz się, Mac! - zawołał gniewnie. Mac wyrwał torebkę z rąk Mary Jane, otworzył i zręcznie wyłuskał banknoty, które się tam znajdowały. Resztę drobiazgów wysypał na ziemię, cisnął też torebkę i jej zawartość kopniakiem rozrzucił po korytarzu.

Mary Jane rozpaczliwie próbowała uwolnić się z uścisku czarnego. Udało jej się ugryźć go w rękę, która miażdżyła jej usta. Wysiłki jej zostały uwieńczone sukcesem. Ręka odsunęła się od jej twarzy. I już Mary rozpędziła się, by wiać ku bramie, kiedy pięść, ciężka jak tona betonu, wylądowała na jej żołądku. Cała kolacja podeszła jej do gardła. Zwróciła wszystko na marynarkę napastnika.

- Zapraw ją, do diabła! - darł się, wściekły. - Zapraw tę dziwkę! Na co jeszcze czekasz, Mac? Załatw ją!

Nagle upadła jak długa wzdłuż ściany. "To jakiś koszmar - pomyślała. - To niemożliwe... To nie mnie to spotyka..." Wtem ogarnęło ją jeszcze większe przerażenie. Blondyn stał pochylony nad nią. Prawą rękę miał owiniętą czerwonym brudnym szalikiem, z którego wyglądało długie stalowe ostrze błyszczące w słabym świetle żarówki.

Podniosła ku niemu oczy, błagające o litość. Perliste łzy spływały jej po twarzy. Chciała krzyczeć, ale żaden dźwięk nie mógł jej przejść przez gardło. Widziała rozszerzone oczy narkomana, wpatrujące się w nią tępo.

— Nie mogę, Joe - jęknął.

— Co?! - zniecierpliwiał się czarny. - Dźgnij ją, mówię ci!

— Nie mogę - skamlał tamten.

Do diabła! Parszywy pederasta! Ostatni raz wzięłem cię na skok!

Ona ma otwarte oczy. Zamknij jej oczy. Wtedy ją dziabnę.

- Bałwan! Tchórz!

Ale reakcja Joego była piorunująca. Pięść jego trafiła Mary Jane w sam podbródek. Siła ciosu była straszliwa. Głowa gwałtownie uderzyła w ścianę i dziewczyna straciła przytomność. Nie czuła nawet, jak nóż raz po raz wbija się pod jej lewą pierś. Zmarła w parę sekund później.

Mac w pośpiechu otarł nóż, zamknął i wsunął do kieszeni. Rzucił szalik na bezwładne zwłoki Mary Jane i wyprzedziwszy Joego, otworzył idrzwi na ulicę. Obaj zbiegli szybko po schodach

i skoczyli na drugą stronę ulicy, gdzie stał zaparkowany czarny ford, którego silnik nagle zawył.

Pablo Rodriguez wypadł na chodnik.

- Stój! - krzyknął. - Ręce do góry! Policja!

Stanął w rozkroku, kurczowo ściskając w dłoni służbowy rewolwer wycelowany w kierunku dwóch mężczyzn, gotów do strzału.

Samochód zawrócił, reflektory oświetlały teraz obu bandytów, którzy stanęli niezdecydowani pośrodku jezdni podniósłszy ręce do góry, podobni do dwóch groteskowych motyli, przyszpilonych świetlnymi szczypcami reflektorów do niezmierzonej czerni nocy. Dwa snopy światła były wycelowane prosto w nich, niby wskazujące palce mściciela.

Mac pierwszy chciał wymknąć się z pułapki. Runął w stronę samochodu, który sunął powoli w jego kierunku.

Huknął strzał. Jak zestrzelona marionetka, Mac zwałił się na jezdnię. Pablo Rodriguez nie był strzelcem wyborowym. Jego wyczyny na strzelnicy policyjnej ledwie osiągały wymaganą przeciętną. Przy tym wszakże dystansie i dzięki korzystnej okoliczności, że tarcza była doskonale oświetlona reflektorami samochodu, absolutnie nie mógł chybić celu. Dla większej pewności mierzył prosto w pierś.

Ślizgając się po mokrej jezdni, Joe zawrócił w miejscu. Potężnym susem rzucił się poza oświetlone pole strzału i wtuliwszy głowę w ramiona, z furią skoczył z powrotem na chodnik. Kierowca samochodu lekko obrócił kierownicę. Światła dopadły Joego w jego szalonym biegu.

Pablo Rodriguez wbiegł na jezdnię w pościgu za przestępcą, uważając, by nie pośliznąć się na mokrym asfalcie. Cel był jak na dłoni, sylwetka wyraźnie rysowała się na tle murów.

Rewolwer dwa razy zaszczekał w jego rękę. Z gardła Joego wydarł się ryk. Upadł do przodu, jego ciało uderzyło o samochód, zaparkowany przy chodniku, odbiło się od wozu i runęło na bruk.

Mózg Paula Rodrigueza pracował intensywnie. Już parę okien otwierało się lekko. W Nowym Jorku ludzie są raczej ostrożni. Strzały na ulicy mogą jedynie narobić kłopotów, nawet można dostać zabłąkaną kulą. Tylko śmiałowicie ryzykowali uchylene okna. Ale na pewno w sąsiednich budynkach ludzie ożywieni dobrymi chęciami już gorączkowo nakręcili na tarczy telefonu numer pobliskiego komisariatu. Trzeba było działać bez chwili zwłoki. Ford dojechał do rogu ulicy i minawszy przecznicę, zwiększał szybkość.

Pablo zapalił kieszonkową latarkę.

Pierwszy bandyta nie żył. Pablo był z siebie dumny. Sam Cohen i Tomy Zuccaro, koledzy z komisariatu, którzy na strzelnicy śmieli się z dużego pola rozrzutu na jego tarczy, zżółkliby, gdyby zobaczyli ten strzał w dziesiątkę, i to za pierwszym razem. Facet istotnie nie żył.

Wielka ciemna plama widniała w miejscu, gdzie znajduje się serce. Brudna kurtka nasiąknięta była krwią. Otwarte szkliste oczy wpatrywały się w niebo.

Teraz Pablo Rodriguez skoczył do tamtego. Przebiegł na drugą stronę ulicy i zatrzymał się obok jego ciała. Ten jeszcze żył. gardła wydobywało się rżenie. Ludzie nie powinni zauważyć, co się tu dzieje. Nacisnął spust; tym razem celował w głowę.

Teraz już, pewien, że komisariat został zaalarmowany, spokojnie czekał, aż zjawi się patrol.

Harry Shulz kilka ulic dalej zaparkował samochód. Nie ma sensu jechać tym wozem, który ktoś mógłby rozpoznać. Wsunawszy ręce głęboko do kieszeni płaszcza, wolnym krokiem wrócił na miejsce strzelaniny. Z daleka słyszał syreny policyjne. Dotarłszy do rogu, w zamyśleniu przyglądał się tłumowi, który zebrał się na ulicy, nieczuły na zimno.

Reflektory migające na dachach samochodów policyjnych rzucały krwawe światło na ludzkie twarze, jak gdyby chciały uczynić widowisko jeszcze bardziej ponurym.

Ambulans był jedyną jasną plamą na tle pokrywającej wszystko czerni. Tu i ówdzie kieszonkowe latarki policjantów połyskiwały niby błędne ogniki.

Harry Schulz niepostrzeżenie wmieszał się w tłum i torując sobie drogę łokciami, zbliżył się do miejsca, gdzie zginęli bandyci. Wokół krzyżowały się okrzyki gapiów. W tłumie dojrzał wysokiego faceta w za dużym, fatalnie skrojonym płaszczu w szkocką kratę i w miękkim kapeluszu, opuszczonym głęboko na oczy.

— Co tu się dzieje? - zapytał grzecznie. Mężczyzna spojrzał na niego podejrzliwie.

— Zaciukano jakąś facetkę.

— Naprawdę?

— Tak. A faceci, którzy ją wypatroszyli, leżą tam.

— Nie żyją?

Mężczyzna zaśmiał się szyderczo.

— Jak rybki na patelni.

— Dziewczyna też nie żyje?

— Jako się rzekło. Nie rozumie pan po angielsku? - Wzruszył ramionami. - Zdaje się, że znaleziono ją, kiedy było już po wszystkim. Ale narzekać nie można. Na miejscu znalazł się jakiś glina. To naprawdę rzadka rzecz. Właśnie on ich załatwił, tych dwóch facetów. Glina zafasuje medal, ale pochwały zgarnie mer miasta. Jeszcze jeden plus na konto jego przyszłych wyborów.

Harry Schulz życzył mu dobrej nocy i wymknął się z tłumy. Pieszko dotarł do Ósmej Avenue i taksówką wrócił do domu.

Niezły wieczór; robota udała się na medal. Trochę się bał, że Pablo Rodriguez wszystko popsuje, ale Portorykańczyk doskonale wybrnął z sytuacji. Wyplaci mu dwa tysiące dolarów, trzeba jednak przyznać, że nie są to pieniądze wyrzucone w błoto. Rodriguez był wygrany na wszystkich frontach. Po pierwsze zainkasuje dwa tysiące dolarów, po drugie znajdzie się jutro rano na pierwszych stronach gazet. Bohater dnia. Zostanie przyjęty przez

mera, potem w sztabie głównym komendy policji. Powinszowania, gratulacje. W bardzo szybkim czasie szlify sierżanta i wówczas skończą się długie zimowe patrole po śniegu i mrozie.

Harry Schulz, rozbawiony, pomyślał, że jest dobroczyńcą. Oddał przysługę Rodriguezowi. Oddał też przysługę społeczeństwu, uwalniając je od dwóch bandytów za cenę jednego tylko życia ludzkiego. Żał mu było trochę Maka. Nie nacieszy się tą pięćsetką dolarów, ceną morderstwa, których zresztą nie zdążył nawet zainkasować. Mac to szmata, ale w łóżku był podniecający i pomysłowy. Poczul przyjemny dreszczyk, kiedy przypomniał sobie ostatnią noc, którą spędził z nim jakieś dziesięć dni temu. Owej nocy właśnie zaproponował mu tę robotę, wiedząc, że pogada o tym skoku z Joem, swoim stałym sutenerem, ten zaś był prawdziwym mordercą. Pięćset dolarów od łebka? To aż za dużo dla tych dwóch bandytów. Za tę sumę mogliby zaopatrzyć się w narkotyki na czas dłuższy. Ale niebezpieczeństwo trzeba zlikwidować w zarodku. Harry nie mógł zostawić przy życiu tych dwóch facetów, szczególnie zaś Maka, który znał jego adres. W perspektywie czekałby go nieustanny szantaż. Kiedy zabrakłoby narkotyków, obaj narkomani staliby się niebezpieczni. Ale największym sukcesem Harry'ego było przygotowanie drugiej fazy operacji, wynajęcie Rodrigueza. Ten nigdy nie puści pary z ust. Nie leży to w jego interesie. Ostatnie zatem ogniwo może pozostać przy życiu.

Właściwie ofiarą w całej tej historii była Mary Jane Montey, ale to stanowi osobny problem, do którego nie miał prawa się wtrącać. Płacono mu, i to płacono dobrze, żeby wykonywał rozkazy. To wszystko. Popatrzył na zegarek. Druga godzina. Ale w Nowym Orleanie jest dopiero północ. Zdaży więc, po powrocie do domu, zadzwonić pod pewien numer w wielkiej metropolii Południa.

Dixie jak zwykle będzie zadowolony, ale nie okaże tego; ich rozmowa będzie krótka i chłodna. Bardzo szybko odłoży słuchawkę, - życząc mu dobrej nocy. I jak zwykle okręła sumka nadejdzie za dwa dni.

## ROZDZIAŁ IV

Corpus Chłsti, Teksas, USA.

Październik 1967

Bill Hunting ustawił swój stary wóz marki Chevrolet na parkingu przed komendą główną policji. Noc była chłodna. Dochodziła godzina druga rano. Wsunął okulary do górnej kieszeni marynarki i szybko wbiegł po schodach do starego gmachu.

Widząc wchodzącego, sierżant Wiley odstawił kawę i głową pokazał schody wiodące na piętra.

Hunting uśmiechnął się do niego.

- Co słyhać? - zapytał, zatrzymując się przed sierżantem. Wiley odwrócił wzrok.

- Porucznik czeka na pana - ograniczył się do krótkiej odpowiedzi.

Hunting wzruszył ramionami i skierował kroki w stronę schodów. Dwie minuty później pukał do drzwi gabinetu porucznika Flattersa i nie czekając na odpowiedź wszedł do środka.

Przez chmurę dymu woniejącego dobrym kubańskim cygarem dotarł do biurka, na którym spoczywały ogromne stopy porucznika. Przez chwilę zastanawiał się, skąd Flatters ma pieniądze na tak luksusowe cygara.

Szeroki uśmiech rozlał się na czerwonym obliczu policjanta.

- Cześć, Hunting. Filiżaneczkę kawy?

Bill Hunting skinął głową i usiadł na wolnym krześle. Flatters podsunął mu pudełko cygar. Podniósł się, wziął z półeczki plastikowy kubek, nalał kawy i postawił przed Huntingiem, podsu-

wając równocześnie spodeczek z cukrem, po czym usiadł z powrotem.

Hunting, nim wziął do ręki kubek, zapytał:

— Co się stało, poruczniku?

— Norton zaczyna się łamać.

— Ach tak? Jak do tego doszło?

- Znalazłem brakujące ogniwo. Obrabialiśmy go przez cały wieczór, potem zostawiliśmy samego, aby się podusił we własnym sosie. Teraz idziemy na całego. Za godzinę wszystko będzie jasne.

- Jest pan pewny?

- Jak najbardziej. Może pan zamówić połączenie z Nowym Jorkiem i dyktować materiał do numeru.

Zadowolony z siebie, głęboko zaciągnął się cygarem.

Hunting zdecydował się w końcu osłodzić kawę i popijał ją niewielkimi łykami. Odstawił kubek, zapalił cygaro, którym poczęstował go Flatters, i zakasłał.

— Jedno pytanie, poruczniku.

— Tak?

— A prasa?

- Co prasa?

- Wygląda na to, że jestem jedynym przedstawicielem prasy. A gdzie inni, śpią?
- Śpią, chłają albo pieprzą. A co mnie to obchodzi, Hunting.
- Więc dlaczego ja?

Na twarzy Flattersa pojawił się pobłażliwy uśmiezek.

- Szczerze mówiąc, Hunting, nie cierpię dziennikarzy, to patentowani nudziarze. Dobrze mnie przerobili w swoich brudnych szmatławcach w związku z tą aferą Nortona. Pan jest wyjątkiem. Pan był w porządku. Pomyślałem więc sobie, że jestem coś panu winien. Czekałem do tak późnej godziny nocnej, żeby zakończyć sprawę Nortona. Wszyscy ci zarozumialcy od dawna uderzają w kimono, jestem pewien. Czy przypadkiem i pana nie wyciągnąłem z łóżka?

- Tak.

- Pan ma pierwszeństwo - zaśmiał się szyderczo. - Niech sobie wyobrazi ich parszywe gęby jutro rano, kiedy pański szmatławiec, jedyny w Stanach Zjednoczonych, opublikuje pełne znanie Nortona.

Hunting poczuł się nieswojo. Cała ta afera wydawała mu się niejasna i argumenty Flattersa były mało przekonujące. Hunting orientował się we wszystkich subtelnościach rzemiosła dziennikarza kryminalnego, a zatem znał sztuczki policji. Porucznik jest inteligentny. Czy naprawdę myśli, że uda mu się wyjść bezkarnie ze szponów prasy? I to prasy pozbawionej łupu, na który czyhała rzez długie dni? Według wszelkiego prawdopodobieństwa Norton naprawdę był winny. Obdarzony jednak rzadką siłą oporu, od wielu dni bez mrugnienia okiem znosił nieustający krzyżowy ogień pytań, jakimi bez wytchnienia zasypywali go ludzie z brygady kryminalnej. I może to zabrzmiało paradoksalnie, ale pierwszy poczuł się zmęczony nie Norton, lecz ekipa Flattersa. Miasto, stan, a nawet cały naród - od Południa do Północy, od wybrzeża wschodniego do zachodniego, śledził sprawę z zapartym tchem. Dziennikom o milionowych nakładach udało się fascynować tą aferą, zresztą dość banalną, całą opinię publiczną. Norton, który w innym okresie i w innych okolicznościach doczekałby się co najwyżej marginesowych wzmianek w prasie lokalnej, zdobył rozgłos w całym kraju dzięki dobrze zorganizowanej reklamie, a także z tej prostej przyczyny, że w październiku tego roku wiadomości budzące ogólne zainteresowanie należały do rzadkości.

- Skończył pan kawę? - zniecierpkiwnił się Flatters. Hunting wypił kawę do ostatniej kropli, zmiął kubek w rękę i wrzucił do kosza.

- W porządku! Idziemy, Hunting?

Sala, w której brygada kryminalna przesłuchiwała aresztowanych, położona była na końcu korytarza, który prowadził do biura Flattersa. Korzystano z tego pomieszczenia jedynie przy przesłuchaniach długich i skomplikowanych, kiedy podejrzany dłużej, niż przewidziano, nie przyznawał się do winy. Był to lokal dość obszerny, oszczędnie wyposażony w stół i kilka krzeseł. Ściany były nagie, szare, brudne.

W sali, do której weszli Flatters i Hunting, można było zawiesić siekiere. Powietrze tu stanowiło mieszankę dymu z papierosów, zapachu wystygłej kawy, ludzkiego potu i trwogi.

- Wywietrzyć tu, do diabła! - ryknął Flatters. Następnie odwrócił się w stronę Huntinga i ręką pokazał mężczyźnie w kapeluszu, który stał koło drzwi oparty o ścianę.

— Oto Tom Downey, a tam - wskazał funkcjonariusza, który otwierał okno - Barney Kalishek. Ten zaś - skierował palec w stronę Huntinga - to Bill Hunting, dziennikarz, ale nie taki jak te wszystkie łobuzy. Swój chłop. Dostanie wyłączność na opublikowanie zeznań tego skurwysyna. Było tam coś nowego, Tom?

— Nic, poruczniku. Zostawiliśmy go w spokoju, jak pan kazał.

— Nie puścił farby?

— Nie, poruczniku.

Norton siedział na krześle pośrodku sali. Ręce miał wykręcone do tyłu, skrępowane i skute kajdankami, nogi przykute drugą parą kajdanków do krzesła. Norton był wysokim i tęgim blondynem o włosach przystrzyżonych bardzo krótko, niemal do samej skóry. Oczy raczej inteligentne, o twardym spojrzeniu, spoza którego mimo wszystko przebierała trwoga. Podbródek kwadratowy, znamionujący silną wolę. Duże kępki mokrych włosów dobywały się spod rozchełstanej koszuli z brudnym kołnierzykiem i kołami potu pod pachami. Spodnie były wymięte i wybrudzone, usiane brązowymi plamami. Nie ogolony, wymizerowany, ze spuchniętym policzkiem, Norton przedstawiał żałosny widok. Jeżeli nie liczyć siniaka na policzku, Hunting nie zauważył żadnych innych śladów złego traktowania. Od czasu wydania dekretu o prawach obywatelskich za prezydentury Kennedy'ego policja nie mogła sobie za bardzo pozwalać na numery, jakie przez długi czas były w codziennej praktyce we wszystkich komisariatach.

- A jego adwokat? - zapytał Hunting.

Flatters wzruszył ramionami.

- Słyszał pan tę historię. Przyleciał tu Lewis Stelli z Los Angeles zając się obroną Nortona, ale przede wszystkim dla reklamy, bo Norton nie ma centa przy duszy, a Stelli bierze zwykle fantastyczne honoraria. Posiedział tu dwa dni, dał się obfotografować dziennikarzom, zorganizował konferencję prasową, na której złożył hałaśliwe i perfidne oświadczenia wymierzone przeciwko policji. Potem nawiał do Los Angeles, rzekomo pilnie wezwany w jednej ze spraw, jakie prowadzi w Kalifornii. Ale dla pana to przecież nie nowina, pan to wszystko zna. Ostatecznie jest pan dziennikarzem i posiadanie dobrych informacji to pański zawód.

- Nie, nie wiedziałem, że wyjechał do Los Angeles.

- Tracimy czas, Hunting. Za chwilę zaczynamy. Niech pan siada.

Kalishek podsunął krzesło i Hunting usiadł. Flatters rozwalił się na krześle, które stało za stołem. Był teraz zwrócony twarzą do Huntinga. Norton siedział nieco z boku. Downey stał wciąż oparty o drzwi. Kalishek przesunął się i zajął miejsce za Nortonem.

Na stole stała lampa biurowa z metalowym abażurem koloru zielonożółtego. Flatters nacisnął guzik i skierował strumień światła w oczy Nortona. Następnie wstał, zdjął marynarkę i rzucił Downeyowi, który powiesił ją na wieszaku obok drzwi. Downey przekreślił kontakt i jedynym źródłem światła w tym pomieszczeniu stała się ta lampa stojąca na stole.

Flatters przesunął kaburę na piersi i rozparł się na krześle.

- O key, Norton, zaczynamy. Tym razem nie wystrychniesz nas na dudka. Znamy, już twoją piosenkę, więc zmień płytę.

Norton nie odzywał się, Mrugał oczami w ostrym świetle.

- Norton, wiemy, że to ty. A ty wiesz, że nie popuścimy, a więc? To byłeś ty, co?

Norton roześmiał się szyderczo.

- Przyjdzie taki dzień, że będziecie musieli popuścić. Nie zapominajcie o tym, że prawo ustala, jak długo można zatrzymać podejrzanego.

Flatters wziął wszystkich obecnych na świadków.

- Oto nauki adwokata Stelli. Ten stary cwaniak poinstruował odpowiednio swojego klienta. - Zaczął małpować adwokata: - Trzymaj się, chłopcze. Nie daj się nabrać na ich sztuczki. Mów jak najmniej. Zaprzeczaj aż do końca. Kiedy minie dopuszczalny termin zatrzymania, będą musieli cię wypuścić. Twoje szczęście, że nie mają naocznych świadków. Nic ci nie mogą udowodnić.

Nagle rąbnął gwałtownie pięścią w stół. Lampa zadygotała.

- Głupi kutas! Wierzysz w te bujdy na resorach? Norton uśmiechnął się ironicznie.

- Pewnie, że wierzę. Głupi kutas w tej sprawie to pan, nie ja. Rano będzie pan musiał zwrócić mi moje manatki, zegarek, a może nawet mnie przeprosić. Chciałbym zobaczyć pańską facjatę w momencie, jak będą błyskać flesze reporterów.

Flatters zachował spokój.

- Wierzysz w to, durniu. Ale zapominasz o dwóch drobiazgach. Po pierwsze, od wielu dni wszyscy mają już dość naszych facjat w piśmidłach. Prasa, człowiek z ulicy, telewizja. To nam się nie podoba. Dostaliśmy po krzyżach i to nas wkurzyło. Nikt tego nie lubi. Zwłaszcza wtedy, gdy wie, że ma w ręku łajdaka, który zaciukał dwóch facetów. Dwóch porządnych facetów, którzy żyli spokojnie, harowali jak wszyscy uczciwi ludzie. A drugi drobiazg, jak powiedziałem, to fakt, że mamy absolutną pewność. Pewność, że ten łajdak to ty. A więc zastanów się, durniu. Pogadamy z tobą bez rękawiczek. Na chama trzeba chama do kwadratu. Nabrał tchu.

- Norton, ponieważ masz zakuty łeb, zdradzę ci, na czym rzecz polega. Szybko sam skapujesz. Z ciebie przecież fachowiec, Norton, i sam przyznasz, że nasz numer jest na sto dwa.

Norton odwrócił głowę, pogardliwie wydawszy usta.

- Dawno widziałeś się z siostrą, Norton? Norton drgnął, lecz nic nie powiedział.

- Zaraz odświeżę ci pamięć, bohaterze. Ostatni raz widziałeś ją jakieś sześć miesięcy temu. Wyrzuciła cię za drzwi, kiedy poszedłeś jej prawić morały. Nawiasem mówiąc, takie prawienie morałów to nawet do ciebie podobne. Od czasu, jak Sally opuściła dom rodzinny, rzuciła pisanie na maszynie. Stukanie przez cały dzień na maszynie daje grosze. Znacznie lepiej się opłaca stuknąć faceta w eleganckim barze. Norton wybuchnął:

- Podły glina!

Kalishek rąbnął go pięścią w kark. Niezbyt mocno.

- Bądź grzeczny, kutasie. Inaczej oberwiesz.

Flatters ciągnął dalej, jak gdyby nic nie zaszło. Zwracał się niby do Huntinga.

- Sally cieszy się doskonałą reputacją. Przede wszystkim reputacją doskonałej pod względem techniki. Zna świetnie wszystkie te numery, najbardziej fantastyczne pozycje, wariackie sposoby, które samego Łazarza podniosłyby z grobu. Wierzcie mi, chłopcy, francuski markiz Sade to szczeniak w porównaniu z Sally.

Norton pienił się z wściekłości.

- Ostatnio zabrała się do narkotyków. Muszę powiedzieć, że na ogół narkotyki kobietom nie idą na zdrowie. Tracą swoje talenty erotyczne i- zachowują się jak cieleta. Wszystkie, ale nie Sally. Po zażyciu prochów nabiera kondycji, wtedy dopiero rozpętuje się szaleństwo. Wulkan, nie babka." Przynajmniej jeżeli wierzyć zdjęciom... Powiedzcie no, Tom i Barney, chyba nie musieliście się nudzić z Sally? Ostatnie świntuchy! Na te wszystkie fantastyczne numery nie możecie sobie pozwolić ze swoimi ślubnymi...

Twarz Nortona zbieła jak kreda.

- Zdjęcia... - wyjąkał. - Jakie zdjęcia? Co pan chce powiedzieć ?

Flatters przeszedł na ton dobrotliwy.

- Uspokój się, chłopcze. Obiecałem, że wyjaśnię ci, na czym polega gra, prawda?

- No to dalej, wyjaśnij! - ryknął Norton. Hunting czuł, że go mdli.

Flatters, którego uważał za uczciwego policjanta, wyraźnie tracił jego uznanie. Hunting czuł jakieś zakłopotanie, niepokój. Co oznacza cała ta komedia? I jaka jest prawdziwa przyczyna jego obecności w tym miejscu i o tej godzinie? Tak, jaka jest prawdziwa przyczyna? Flatters nie zdradził mu prawdy. Coś przed nim ukrywał. Ale co? Lotny umysł Huntinga działał szybko i precyzyjnie. Trzeba odkryć prawdę, i to jak najszybciej. A prawda znajduje się tu, w tym pokoju. Z całą pewnością coś kryje się w pojedynku, jaki rozgrywa się między Flattersem a Nortonom. Jaki jest cel komedii zmontowanej przez Flattersa? Zmusić Nortona do przyznania się do winy? Nie, tu chodzi z pewnością o coś innego. Trzeba to wykryć.

Flatters postanowił zostawić Nortona w spokoju. Niech się podusi we własnym sosie, jak mówił. Podniósł się z krzesła i przeciągnął.

- Barney, może zrobiłbyś nam kawy. I zamknij to przeklęte okno. Dosyć tego wietrzenia. - Rzucił okiem na Nortona. - Jemu też daj kubek, temu idiocie. Musi się pokrzepić, zanim usłyszysz ciąg dalszy.

Odwrócił się w stronę Downeya, który wciąż stał oparty o drzwi.

- Tom, rozwiąż mu ręce. Niczego nie ryzykujemy, nogi ma związane. Downey wykonał polecenie, mrużąc coś pod nosem.

Hunting - mówił słodziutkim głosem Flatters - niech się pan nie denerwuje. Wszystko w swoim czasie. Gdzie pan ma notes i długopis? Połknął je pan?

Niech pan będzie spokojny, poruczniku, wszystko mam w głowie.

— Doskonale. Co z tą kawą, Barney?

— Chwileczkę, poruczniku.

Norton, ze złym błyskiem w oczach, masował zbolące przeguby rąk.

Kajdanki zostawiły na ciele niebieskawe znaki. Hunting pomyślał: "Kalishek albo Downey musiał przykręcić kajdanki do oporu".

Kalishek rozdał kartonowe kubki napełnione parującą kawą. Podał kolejno spodek, na którym leżało parę kawałków cukru.

Norton wypił kawę łączywie. Flatters zasiadł za stołem na dawnym miejscu, postawiwszy kubek przed sobą. Zapalił swoje kubańskie cygaro i zaciągnął się parę razy.

— Jesteś gotów, Barney?

— Tak jest, poruczniku.

— W porządku, Norton! Jedziemy dalej.

— Nie moglibyście zgasić tej obrzydliwej lampy? - warknął Norton.

— To należy do reguł gry, synu - odpowiedział Flatters słodkim głosem. - Może jeżeli będziesz grzeczny... i zrozumiesz naszą sytuację. Na czym to ja stanąłem? Aha. Sally! Rozumiesz sam, Norton, wpadłem na genialny pomysł. Przypomniałem sobie, że masz starą matkę...

- Łajdak! - ryknął Norton. - Ją zostawcie w spokoju! Kalishek znów interweniował. Tym razem jego tłusta łapa wylądowała na policzku Nortona.

- Mówiłem ci, żebyś był grzeczny. Źle z tobą będzie, jeżeli nie powstrzymasz języka.

- Idźcie do wszystkich diabłów! Jesteście bandą łotrów! Drugi policzek, równie gwałtowny jak pierwszy, odrzucił go do tyłu. Zacisnął pięści, zrobił minę, jakby chciał się rzucić do przodu. Kalishek przytrzymał go na krześle.

- Siedź spokojnie i słuchaj porucznika. Jeszcze nie skończył. Flatters, nieporuszony, pił kawę małymi łykami. Odstawił kubek.

- To obrzydliwe. Przyznaję ci rację. Ale przecież jak rozwaliłeś tych dwóch typów, nie pomyślałeś o ich starych matkach.

Po chwili podjął tonem żartobliwym:

- A zatem, jako się rzekło, przypomniałem sobie o twojej matce. Przeprowadziłem małe dochodzenie i odkryłem, że ona absolutnie nie orientuje się, jaki proceder uprawia Sally. Prostyucja, narkotyki et cetera. Wyobrażam sobie, że wiadomość o tym, co wyrabia jej ukochana córeczka, nie sprawi jej przyjemności. Jeżeli jeszcze, rzecz jasna, na poparcie tych słów pokaże jej się zdjęcia.

— Łotry! - zawył Norton. - Zgniłki! Zrobiliście zdjęcia Sally?!

— Nie denerwuj się, Norton. Raczej posłuchaj. Tom i Barney zdjęli twoją siostrzyczkę w barze, gdzie urzędowała, a potem zafundowali ją sobie za frajer. Ze wszystkimi szykanami. I kiedy jeden pracował, drugi robił zdjęcia i vice versa. Mamy bardzo ładny komplet odbitek. Chcesz zobaczyć?

Norton nie odpowiedział. Perlisty pot zrosił mu czoło. Hunting z ledwością wstrzymywał wymioty. Teraz już wiedział, do czego zmierza Flatters, wciąż jednak nie rozumiał powodu swojej obecności. Flatters z rozkoszą wciągnął dym z cygara.

- Ja wiem jeszcze jedno, Norton. Ty masz gdzieś swoją siostrzyczkę. To, że jest kurwą, że ją zzerają indyjskie konopie, nie podoba ci się oczywiście, ale i nie przejmujesz się tym za bardzo. Tylko że jest jeszcze matka. Do matki odczuwasz bezgraniczną miłość. To ci przynosi zaszczyt; gdybyś jednak taką samą miłością pałał do reszty rodzaju ludzkiego, nie byłoby cię tu dzisiaj. Krótko mówiąc, matkę uwielbiasz. Ona was wychowywała, Sally i ciebie, kiedy umarł ojciec, a więc gdy byliście jeszcze szczeniakami. A teraz wyobraź sobie, że ona otrzymuje w liście poleconym ten pakiecik pięknych fotosów. Już się zamartwia, bo wie, że jesteś aresztowany i oskarżony o morderstwa. Jak się jeszcze dowie, że jej druga pociecha to zwyczajna kurwa i narkomanka, gdy ona tymczasem wierzy, że Sally to dobra córeczka, która co dzień rano grzecznie biegnie do "biura i przez osiem godzin wygrywa gamy na maszynie do pisania, to ta nowina chyba ją zabije, biedaczkę...

Umilkł. Norton zaciskał pięści.

— Dobrze, zrozumiałem - oświadczył ochrypłym głosem. - Zrozumiałem waszą obrzydliwą kombinację. Ja puszczam farbę, a wy nie puścicie pary z gęby na temat Sally.

— Wiedziałem, że z ciebie chłopak rozgarnięty, Norton. Zgoda, twoja matka będzie się martwić z twojego powodu, ale przynajmniej się nie dowie, na jakie dno stoczyła się Sally. Zdjęcia zostaną zniszczone...

— Jeżeli już mowa o zdjęciach, bardzo chciałbym je widzieć... Bo ja nie uwierzę gładzeniu gliny, dopóki nie mam w ręku dowodów...

— Jasne, Norton. W porządku. Zobaczysz, że nikt tu nie kłamie. Tom, wyjmij no kopertę z zewnętrznej kieszeni mojej marynarki.

Downey położył kopertę na stole przed Flattersem. Ten odsunął pusty kubek i wysypał zdjęcia, potem nastawił lampę w ten sposób, że oświetlała stół. Twarz Nortona nagle pograżyła się w cieniu. Flatters rozrzucił po stole odbitki, po czym z powrotem opadł na krzesło.

- Schylże się, Norton, i delektuj do woli tym widokiem. Głowa Nortona na nowo pojawiła się w stożku światła. Ręce nerwowo przerzucały zdjęcia. Hunting, z miejsca, w którym siedział, mógł czytać wściekłość w oczach Nortona. Metody Flattersa były niezbyt godziwe, ale bez wątpienia straszliwie skuteczne. Huntinga ogarnęło obrzydzenie, ale i coś w rodzaju podziwu. Wiedział, że Norton za chwilę się załamie. W pokoju panowało napięcie niemal nie do zniesienia. Kalishek i Downey stali jak kamienne posągi. Flatters z zasną miną wlepił wzrok w żarzący się koniec cygara. Ale czuło się, że pod koszulą drgały muskuły. Słysząc było tylko sapanie Nortona. Kiedy rzucił na stół ostatnie zdjęcie, ręce mu drżały.

Flatters zaśmiał się szyderczo:

- Napatrzyłeś się do woli, Norton? Nie krępuj się, jeżeli masz ochotę, zacznij jeszcze raz od początku. W korytarzu śmierci nie będziesz mógł oglądać takich zdjęć. Możesz podziękować Tomowi i Barneyowi. To mistrzowie fotografii. Nawet Tony Armstrong umarłby z zazdrości. Założę się, że nigdy nie widziałeś swojej siostruni na golasa, tak jak tutaj.

"Sadysta!" - buntował się w duchu Hunting.

- Widziałeś tę technikę? - ciągnął dalej Flatters. - Barney i Tom opowiadali mi wszystko z detalami. Zresztą wystarczyło popatrzeć na nich na drugi dzień. Wypompowani kompletnie.

Słuchaj, Norton, gdyby twoja matka zobaczyła te zdjęcia, może byłoby jej żal, że i ona sama za młodu nie poszła pod latarnię ?

Ręka Nortona wystrzeliła z cienia jak rakietą, a za nią jego tors. Pięść wylądowała na szczęce Flattersa z głuchym trzaskiem. Gwałtowny ruch ramienia strącił lampę, która spadła na ziemię. Norton obiema rękami usiłował chwycić Flattersa za gardło, ale porucznik wyrwał się gwałtownym ruchem i rzucił do tyłu. Chwycił za rewolwer i wyciągnął go z kabury.

Pierwsza kula przeznaczona była dla Huntinga. Druga również. Lata treningu zrobiły z Flattersa wyborowego strzelca. Jeszcze trzy lata temu zajął drugie miejsce w konkursie strzeleckim stanu Teksas. Obie kule zostały ulokowane w rejonie serca. Hunting przechylił się do tyłu i zwałił na ziemię bez życia.

Trzecia kula, oddana z bliska, roztrzaskała czaszkę Nortona. Odłamki kości i szczątki mózgu rozprysły się po twarzy Kalisheka, który rzucił się naprzód i unieruchomił ciało Nortona, przycisnąwszy je do stołu. Downey ani drgnął.

- Cholera jasna - jęczał Kalishek wymiotując na ciało Nortona, które zsunęło się na ziemię.

Flatters zerwał się na równe nogi.

- Tom! - wrzasnął. - Wał do mojego gabinetu i wezwij kapitana. Niech przyjeżdża natychmiast.

Tom zniknął. Flatters podszedł do ściany i przekreślił kontakt. Z korytarza dochodziły odgłosy bieganiny. Uchylił drzwi.

- O key, Wiley - powiedział znużonym głosem do sierżanta, który stał w korytarzu, ciężko dysząc. - Mieliśmy komplikacje. Paskudna sprawa. Posłałem Downeya, żeby telefonował po kapitana. Nikomu nie wolno tu wchodzić. Liczę na ciebie.

I zamknął drzwi.

Wolnym krokiem podszedł do zwłok Huntinga, które leżały pośród szczątków krzesła. Często miał do czynienia z trupami, a to właśnie był trup, co do tego nie mógł mieć najmniejszych wątpliwości. Wpatrywał się weń długo, potem westchnął i odwrócił oczy.

W komendzie głównej policji panowało nieopisane wrzenie. Dziennikarze koczowali w korytarzach. Wkrótce nadjechał szef ekipy śledczej, a następnie mer miasta i komendant policji. Trzaskały flesze. Wybuchały pytania, kabiny telefoniczne na parterze brano szturmem. Nastrój był pełen dramatyzmu.

Flatters raz złożył raport szefowi ekipy śledczej, potem drugi raz komendantowi policji - w obecności swojego bezpośredniego przełożonego i mera miasta. Na koniec wszyscy trzej funkcjonariusze spotkali się w gabinecie komendanta policji, gdy tymczasem Flatters czekał w sąsiednim pomieszczeniu.

W przerwie fotografowie ekipy śledczej robili zdjęcia w sali przesłuchań. Downey i Kalishek siedzieli zamknięci w oddzielnych pokojach pod strażą wywiadowców, odseparowani od dziennikarzy. Oni także byli wzywani do swoich przełożonych, którym złożyli raporty.

Oczekując na zakończenie konferencji, Flatters przez okno widział ambulans, który właśnie ruszył z miejsca, by odwieźć do kostnicy zwłoki Nortona i Huntinga. W tym momencie otworzyły się drzwi do gabinetu komendanta policji. Na progu stanął szef ekipy śledczej. Dał znak, by Flatters wszedł do gabinetu.

Mer, skrzyżowawszy ręce z tyłu, stał twarzą do okna i wpatrywał się w noc. Komendant policji nie poprosił Flattersa, by siadał. Głos jego był lodowaty. Brutalnie przystąpił do rzeczy:

- Poruczniku Wendell Flatters, postanowiliśmy zawiesić pana w czynnościach do chwili, gdy rada dyscyplinarna wyda decyzję w pańskiej sprawie. Rada ta zresztą zbierze się w terminie możliwie najszybszym. Muszę pana uprzedzić, że istnieje możliwość, iż zostanie pan wydany w ręce sprawiedliwości.

Flatters oburzył się:

— Proszę pana, ja nie...

— Proszę mi dać skończyć, poruczniku. Przerywając mi, powoduje pan tylko stratę naszego cennego czasu. Dla nas wszystkich tu obecnych cała ta afera jest więcej niż podejrzana, a rola, jaką pan w niej odegrał, jak najbardziej dwuznaczna. Złożone przez pana wyjaśnienia na temat obecności Williama Huntinga w czasie przesłuchiwania Nortona są dla nas dalece niezadowolające. Trudno nam również przyjąć pańską wersję wypadku, gdyż wszyscy dobrze znamy pańskie umiejętności (wyborowego strzelca. Moglibyśmy, w ostateczności, przypuścić, że w momencie oddawania strzału stracił pan panowanie nad sobą, gdyby nie to, że w sercu Huntinga utkwily dwie kule. Ta druga kula wszystko nam psuje, poruczniku. Przede wszystkim jednak uderza ten niezwykle brak zimnej krwi, czemu dał pan dowód dobywając rewolwer, mimo że dwaj pańscy ludzie mogli z łatwością unieszkodliwić Nortona. A przecież pańską zimną krew, spokój i trzeźwość wszyscy doskonale znaliśmy i ceniliśmy. Z drugiej strony, poruczniku, założmy nawet, że trafił pan Huntinga przez przypadek. Ale czy musiał pan zastrzelić Nortona na zimno? Postąpił pan, poruczniku, jak nowicjusz i taki postępek absolutnie nie da się pogodzić z pańską przeszłością oraz z karierą służbową. To nasuwa nam myśl, że być może - powiadam, być może - pańska wersja tej historii nie odpowiada prawdzie w całej rozciągłości.

Flatters odpowiedział sucho:

— Proszę pana, sierżant Thomas Downey i Barney Kalishek mogą zaświadczyć, że fakty, które panu zrelacjonowałem, odzwierciedlają całą prawdę. Oni też są świadkami, że Norton przyznał się w pełni do winy, o czym zdaje się pan zapominać.

— Nie zapominam o tym, poruczniku. Na nieszczęście, nie ma pan tych zeznań na piśmie - głos komendanta nabrał akcentów ironii - Norton umarł za wcześnie. A poza tym, czy ośmieliłby się pan opowiedzieć dziennikarzom o metodach, jakie zostały zastosowane w celu uzyskania zeznań, pokazałby pan zdjęcia? Na poparcie swoich słów ma pan jedynie zeznania Downey a i Kalisheka, które - proszę mi wierzyć - dla prasy nie mają wielkiego znaczenia. Teraz poproszę pana o przejście do pokoju obok. Tam udzieli pan odpowiedzi na pytania, jakie postawi porucznik Mc Bride. Jemu powierzyliśmy oficjalne śledztwo. Co do nas, będziemy usiłowali uniknąć skandalu, a czyniąc to, oddamy panu, być może, dużą przysługę...

Krótkim gestem odprawił Flattersa. Mc Bride czekał już nań w sąsiednim pokoju. W rezultacie Flatters był wolny dopiero około godziny jedenastej przed południem.

Opuścił główną komendę policji bocznym wyjściem, po kryjomu. Wstąpił do pierwszej knajpy, jaką napotkał po drodze, i zamknął się w kabinie telefonicznej. Wrzucił do aparatu monetę i nakręcił numer motelu położonego za miastem.

- Poproszę bungalow 12 - rzucił krótko, uzyskawszy połączenie.

W słuchawce odezwał się metaliczny głos:

- Shulz przy aparacie.

- Z przykrością informuję pana, panie Shulz, że cadillac, na który się pan zdecydował, jest już nie do sprzedania. Pozostajemy do pańskiej dyspo...

Po tamtej stronie słuchawkę już odłożono. On zrobił to samo. Koperta zostanie mu doręczona jeszcze dziś wieczór. Gruba, dobrze wypchana koperta. Czy będzie mógł wydać te pieniądze? I na jak długo starczy ich tej hienie Betty? A trzeba jeszcze odliczyć dolę Toma i Barneya.

W motelu Harry Shulz poprosił o połączenie z Nowym Orleanem.

Brooklyn, Nowy Jork, USA.  
Październik 1967

Choć godzina była jeszcze bardzo wczesna, Susan Bramovitz pozwoliła sobie na papierosa. Matka krzątała się po kuchni, przygotowując śniadanie. Przyjemny zapach kawy przenikał do li-ving-roomu. Susan chciwie wciągała dym z papierosa, pragnąc zagłuszyć głód. Wzrok jej przez oszkloną ścianę błędził po szarych i wzburzonych wodach rzeki. Oto most Verrazano Narrows, łączący Brooklyn ze Staten Island, wygląda upiornie w płaszczu Z mgły. Most ten ochrzczono nazwiskiem francuskiego eksploratora, Włocha z pochodzenia, który odkrył Nowy Jork za czasów króla Franciszka I. Nowojorczycy nazywają go familiarnie "Most gangu makaroniarzy" z uwagi na pochodzenie jego patrona. Widziała, jak budowano go w latach, kiedy była dzieckiem. W niedzielne popołudnia, wiosną i latem, ojciec wychodził z nią podziwiać wznoszone dzieło i uśmiechał się widząc zachwyty malujący się w jej oczach. A potem, kiedy zapadał mrok, zabierał ją do Abe Schwartza na lody z kremem truskawkowym - by godnie zakończyć popołudnie. Były to dobre czasy. Ojciec był człowiekiem serdecznym i wesołym, który już samą swoją obecnością potrafił rozgrzać nastrój najbardziej nawet lodowaty. Ale był to również człowiek twardy, postrach wszystkich podejrzanych, których przesłuchiowano w komisariacie dzielnicy Canarsie.

"Most gangu makaroniarzy". Nazwa ta przypomniła jej Barbarę Romano, najlepszą przyjaciółkę Susan, która - choć jej mat- i ojciec byli Włochami - wszystkich Amerykanów włoskiego pochodzenia z uporem nazywała pogardliwie makaroniarzami.

— Sue?

— Tak, mamo. Śniadanie gotowe?

Zgasła papierosa w popielniczce i usiadła w kuchni przy stole naprzeciwko matki.

Każdy wstający rano coraz wyraźniej podkreślał zaawansowany wiek Flory Bramovitz, ale lata nigdy nie zdołały pomniejszyć ani zwarzyć młodego i figlarnego blasku jej ogromnych niebieskich oczu. Tego wszakże ranka wyglądała na bardziej zmęczoną niż zazwyczaj. To spostrzeżenie przepełniło Susan troską.

Przełknęła już pół talerza płatków zbożowych, kiedy matka powiedziała cicho:

- Wiesz, dzisiejszej nocy znowu śniły mi się okropne koszmary.

Susan wzdrygnęła się, wzięła do ręki filiżankę kawy i pociągnęła duży łyk, żeby zyskać trochę czasu do namysłu. Postawiła filiżankę na stole i zdobyła się na uśmiech.

- Ależ mamo! Już tak często mówiłyśmy na ten temat... Martwisz się bez powodu.

- Więc skąd te koszmary?

— Po prostu nastawiłaś się tylko na tę aferę. Ciągłe myślisz i myślisz o tych... tych sprawach, a potem - koszmary w nocy. To wszystko. Nie zastanawiaj się już nad tym. Widzisz dobrze, że nic się nie stało. A więc? Dlaczego nie wyjdiesz trochę na powietrze, tylko cały dzień samotnie siedzisz w domu? Przecież to by cię rozerwało. Mogłabyś zająć się czymś innym.

— Wiesz dobrze, że od śmierci Mary Jackson i od czasu, jak Ann Simons wyjechała z Nowego Jorku, nie mam żadnych przyjaciółek.

W jej głosie czuć było lekką wymówkę.

- Dobrze, ale czemu nie pojedziesz do Manhattanu i nie pochodzisz po sklepach?

Właśnie jest wspaniała wystawa zimowej odzieży u Saksa.

— Mam na zimę wszystko, czego mi potrzeba, wiesz dobrze, Susan. A na prezenty gwiazdkowe jeszcze za wcześnie.

— Proponowałam ci często, że cię podrzucę do Manhattanu. Może poszłabyś do kina?

— Jeżeli chodzi o filmy, to wszystko, na co człowiek ma ochotę, można zobaczyć w telewizji. Susan umilkła, zniechęcona. Apetyt zniknął. Przełknęła sok pomarańczowy, odsunęła nie tknięte jajka na szynce i zapaliła drugiego już z kolei papierosa.

- Wybacz, Sue. Odebrałam ci apetyt swoimi historiami. Zjedz jajka, proszę cię.

Susan potrząsnęła głową, ale potem się rozmyśliła. W oczach matki wyczytała głęboki smutek. Przysunęła więc talerz i zaczęła jeść z przymusem, bez apetytu. Dzień zaczynał się fatalnie. Przebudzenie i minuty, które po nim następowały, miały zazwyczaj decydujący wpływ na humor Susan w ciągu całego dnia.

Wszystko się poplątało. Koszmarne sny matki, ponura pogoda, mnóstwo zaległej roboty w redakcji, zepsuty samochód - co oznacza, że do tych wszystkich przyjemności dojdzie jeszcze jedna: będzie musiała jechać metrem, albowiem szansa złapania taksówki w godzinie szczytu była raczej minimalna. Mimo wysiłków nie mogła przełknąć ostatniego jajka. Miało smak mydła. Walczyła z pokusą, by po prostu połknąć dwa proszki nasenne i położyć się spać. Prześpi się od siódmej do ósmej i jak się obudzi, będzie może w lepszej formie. Ale zwalczyła tę naturalną chęć zdania się na łaskę losu.

- Mamo, czy mogłabyś spróbować zadzwonić po taksówkę? Może ci się uda.

Szczęśliwa, że może uczynić coś dla córki, Flora Bramovitz wstała, by nakręcić numer. Susan poszła się ubrać. Była już prawie gotowa, kiedy usłyszała głos matki.

- Sue! Nic z tego. Można oszaleć. To miasto staje się nie do zniesienia. Gdzie są te czasy, kiedy taksówkarze zabijali się o klientów?

Karol! Jakaż z niej idiotka! Karol mieszkał blisko De Kalb

Avenue i pracował dosłownie cztery bloki za redakcją jej dziennika. Będzie zachwycony, że może ją zabrać swoim wozem.

- Nic nie szkodzi, mamo! - krzyknęła ze swego pokoju. - Mam inny pomysł!

Podeszła do telefonu. Karol był jeszcze w domu. Zaproponował nawet, że po nią wstąpi, na co się nie zgodziła, wiedząc dobrze, że zanim Karol zdąży się wygrzebać, ona dojedzie już na De Kalb Avenue. Objęła matkę i trzymała w uścisku dłużej niż zwykle.

- Mamo, nie martw się. Wszystko będzie dobrze. I ubierz się ciepło, gdybyś się zdecydowała wyjść. Na dworze gęsta mgła.

- Wcześniej wrócisz?

Oczy zebrały o odpowiedź twierdzącą i Susan była zła na siebie, że musi matkę rozczarować.

- Obawiam się, że nie. Barbara od miesiąca błaga mnie, żeby się wybrać z nią na kolację. Obiecałam, że spotkamy się dzisiaj.

- Ach, tak...

Szybko pocałowała matkę w oba policzki, żeby skrócić scenę pożegnania, i wybiegła z domu. Z Shore Road poszła w górę Osiemdziesiątą Ósmą ulicą aż do bulwaru, potem skręciła na lewo i zbiegła w dół po schodach metra przy Osiemdziesiątej Szóstej ulicy. Pociąg nadjechał natychmiast. Choć był to prawie początek trasy, był już straszliwie zatłoczony przez robotników z Brooklynu, którzy udawali się do pracy w Manhattanie. Ranny ścisk w metrze zawsze nastrajał Susan deprymująco i była zadowolona, że umówiła się z Karolem.

Na stacji De Kalb Avenue wydostała się z tłumu pasażerów, wyszła na świeże powietrze i szybkim krokiem doszła do budynku, w którym mieszkał Karol. Nie pomyliła się: jeszcze nie był gotowy i żeby się nie niecierpliwiła, poczęstował ją filiżanką kawy. Karol żył jak Cygan, jego zaś mieszkanie było podobne do obozu wojowników Atylli. Sytuacja pogarszała się z

dnia na dzień, gdyż żadna sprzątaczką na widok tego pola bitwy nie chciała nawet przekroczyć progu mieszkania. Trzeba przyznać, że Barbara Romano, która mieszkała u niego przez dwa miesiące w okresie, kiedy czuła słabość do Karola, wprowadziła tu swoje porządki, co w konsekwencji doprowadziło do jeszcze gorszego bałaganu.

Samochód Karola, stary model jaguara, w czarno-białą szachownicę, ze stale jęczącym motorem, niewygodny, nie ogrzewany, doskonale pasował do właściciela. Silnik wydawał chrapliwe dźwięki, co miało tę dobrą stronę, że Karola przepuszczały wszystkie samochody, bowiem nikt nie chciał mieć na karku tego przedpotopowego straszdyła.

Przy tunelu Battery, kiedy Susan wrzucała do automatu dziesięć centymów za przejazd, dwóch policjantów w samochodzie patrolowym stojącym przy szosie przyjrzało się pojazdowi przeciągłym, pełnym obrzydzenia wzrokiem. Przez całą drogę Karol nie przestawał wynosić pod niebiosy zalet dziewczyny pochodzącej z Denver w Colorado i utrzymywał, że żeni się z nią w przyszłym tygodniu. Susan miała ochotę zapytać, czy dziewczyna potrafi zająć się domem, ale była zbyt zmarznięta, by się odezwać. Zdradliwy przeciąg dmuchał jej w kark, pomyślała więc, że położy się dziś do łóżka z porządną gripą. Karol zresztą co tydzień miał nowe plany matrymonialne, ale nigdy jakoś nie dochodziło do ich realizacji.

Jaguar głośno zahamował przed budynkiem, w którym mieściła się redakcja dziennika, wstrząsnął się i stanął, wydając ostatnie czknięcie. Susan posłała Karolowi promienny uśmiech.

- Jesteś aniołem, Karolu. Musimy się spotkać któregoś dnia. I wyskoczyła z wozu, zanim Karol zdążył zaproponować jej małżeństwo.

Wzdrygnęła się, słysząc za sobą straszliwy Zgrzyt torturowanej blachy oraz ryk silnika jaguara, i z ulgą zanurzyła się w przyjemne ciepło hallu.

Portier, stary Nick Dell' Antonia, pozdrowił ją przyjaźnie jak każdego ranka:

- Dzień dobry! Straszna pogoda, co? Pani znajomy ma fajny wóz. Czy nie chciałby go przypadkiem sprzedać?

Susan wybuchnęła śmiechem i popędziła w stronę wind.

Jej pokój znajdował się w opłakanym stanie, dosłownie w ta-

kim, w jakim zostawiła go poprzedniego dnia - kosze wypełnione papierami po brzegi, w popielniczkach stosy niedopałków, popiół z papierosów na biurku, dywan zarzucony papierami. Przypomniała sobie, że sprzątaczką są w konflikcie z dyrekcją i postanowiły strajkować, dopóki nie otrzymają podwyżki. W Nowym Jorku tego rodzaju sytuacja mogła trwać dobry miesiąc.

Susan westchnęła i zajrzała do szafy. Znalazła dużą szarą torbę i zaczęła do niej upychać papiery walające się po całym pokoju. Opróżniła kosze, popielniczki i kiedy uklękła i zaczęła zbierać zmięte w kulki kartki papieru, porozrzucane pod fotelem i biurkiem, ktoś zajrzał przez uchylone drzwi. Był to Conway z rubryki życia towarzyskiego.

- Hej, Sue! - krzyknął. - Szukasz skarbów? Och, co za urocze pośladki!

- Zabieraj się stąd! - odpaliła Susan z wściekłością.

- Ha, ha! To ty się raczej zabieraj i leć do Plymoutha Rocka. I to już! Powiedział, że masz się pospieszyć. Rusz więc trochę te śliczne półdupki.

- Ech, ty... - zaczęła, ale on już zamknął drzwi. Podniosła się, poprawiła spódnicę, sprawdziła, czy nie podarła

pończoch, kiedy krzątała się na kolanach. Z torebki wyjęła lusterko i dłonią poprawiła włosy. Zadowolona z siebie schowała lusterko, wzięła torebkę i udała się do gabinetu Plymoutha Rocka.

Charles Decker Cunningham był najmłodszym potomkiem starej i bogatej rodziny bostońskiej; szczyciła się ona tym, że jej przodek znajdował się wśród pasażerów słynnego statku "Mayflower", który pewnego pięknego dnia w siedemnastym wieku zarzucił kotwicę w Plymouth Rock na wybrzeżu Massachusetts. Ci purytanie wygnani z Anglii założyli miasto Boston, a ich potomkowie poprzez stulecia uważali się za arystokrację Ameryki, W.A.S.P., i podnieśli Boston do rangi amerykańskiego Rzymu. Przez dziesiątki lat Cunninghamowie zdołali zbić niesłychaną fortunę na budowie okrętów i na bankach, ostatnio zaś zajęli się elektroniką.

Przydomek Plymouth Rock, jakim pracownicy dziennika dość dziwnie ochrzcili Charlesa Deckera Cunninghama, odnosił się do jego pochodzenia i korespondował ze sztywną postawą, nieco wyszukany manierami i stylem bycia, niewątpliwie tracącym myszka. Był to mężczyzna po czterdziestce, wysoki i szczupły, o sylwetce arystokraty. Był szatynem, ale jego krótko ostrzyżone włosy przyprószyła już lekka siwizna. Śniada cera świadczyła, że często wyjeżdżał na Florydę. Głośny Brooks był jego krawcem. Gęsty wąsik świadczył o anglomanii. Mimo licznych sukcesów u pań, które zawdzięczał zarówno wyglądowni zewnętrznemu jak i fortunie, pozostał kawalerem. Kawalerem, o którego względy ubiegały się kobiety, nie tracąc nadziei, że kiedyś uda się go nakłonić do wstąpienia w związki małżeńskie.

Charles Decker Cunningham został naczelnym redaktorem dziennika trzy lata temu. Wprawdzie od początku swojej kariery dziennikarskiej wykazywał niepospolite zdolności, poparte prawdziwą pasją dla tego rzemiosła (to zresztą tłumaczyło, dlaczego wybrał dziennikarstwo, a nie bardziej wygodną karierę w banku albo w przemyśle stoczniowym), ale tak szybki awans był dla wszystkich zaskoczeniem. Rzecz jasna, zazdrościcy, którzy ostrzyli sobie zęby na to dyrektorskie stanowisko, mieli na podorędziu gotowe wyjaśnienie, że szalę przeważyły tu wpływy i fortuna Cunninghamów, a ściślej: ojca Charlesa Deckera, Louisa Boltona, posiadającego, jak mówiono, większość udziałów w dzienniku. W sumie jednak nikt dobrze nie wiedział, co było prawdziwą przyczyną tak błyskotliwego awansu. Czemuż by nie miały zdecydować o tym po prostu i zwyczajnie fachowe umiejętności Charlesa Deckera? - pytali jego przyjaciele.

Jak tylko Susan weszła do gabinetu, natychmiast poczuła zapach whisky, unoszący się w pokoju. Wzrok jej prześliznął się ze zdziwieniem po twarzy Cunninghama i z miejsca poczuła się nieswojo.

Siedział głęboko zanurzony w luksusowym fotelu z płowej skóry, wzrok miał mętny, wargi obwisłe, krawat rozluźniony. Popiół z cygara spadał na marynarkę. Opalona twarz była szara, matowa. Niebieskie obwódki podkreślały smętny wyraz oczu. Wydawało się, że nagle przybyło mu dziesięć lat.

Ale widząc wchodzącą Susan, zbudził się jak gdyby do życia. Zmusił się do uśmiechu i ręką wskazał jej fotel naprzeciwko mahoniowego biurka.

— Dzień dobry, Susan.

— Dzień dobry, Charles. Ma pan jakieś kłopoty?

Nie odpowiedział na pytanie. Nacisnął guzik interfonu. Odezwał się nosowy głos sekretarki.

- Elaine, niech mi nikt dzisiaj nie przeszkadza. Wszystkie bez wyjątku sprawy proszę przekazywać Davesowi. On jest już uprzedzony. I jeszcze jedno, niech pani notuje po prostu wszystkie telefony, ale proszę mnie nie łączyć. Zrozumiała pani, Elaine?

- Tak, panie Cunningham.

Wyłączył interfon i głęboko westchnął. Oczy jego wpatrywały się w Susan.

- Oczywiście, Susan, słyszała pani ostatnią nowinę?

- Jaką nowinę, Charles? Wydawał się zaskoczony.

- Cóż pani robi w redakcji dziennika, jeżeli nie zna pani najnowszych wiadomości?

-- Przed chwilą dopiero przyjechałam, Charles.

- A radio? Nie słucha pani radia?

— Dziś rano nie słuchałam. Moja matka... Przerwał jej:

— O key, Susan. Niech pani sobie to przeczyta.

Na biurku leżał złożony we czworo egzemplarz porannego wydania dziennika. Podsunął jej gazetę, palcem wskazał miejsce.

W oczy bił ogromny tytuł, odczuła go jak uderzenie pięścią w twarz. Zbladła i przez chwilę miała wrażenie, że serce przestaje bić.

- Bill Hunting... - szepnęła złamana. Cunningham ze smutkiem pokiwał głową. Zamglonym wzrokiem przebiegła cały artykuł, potem przeczytała jeszcze raz uważniej. Wreszcie odłożyła gazetę na biurko.

- To nie do wiary, Charles...

Banalność tego zdania wzbudziła w niej obrzydzenie. Poczowała, jak lzy spływają jej po policzkach. Bill był starym kumplem, który kierował jej pierwszymi krokami w zawodzie dziennikarskim, kiedy była nowicjuską, świeżo upieczoną absolwentką uniwersytetu, dumną ze swoich dyplomów, trochę pretensjonalną i zupełnie niedoświadczoną. Z wysiłkiem odsunęła od siebie wspomnienie tygodnia wakacji, spędzonych razem z Billem w Acapulco trzy lata temu. Zwykła przygoda bez znaczenia, ale zostawiła po sobie tyle wspomnień! Nie mogła sobie teraz wyobrazić Billa, jego ciała, które w tej chwili leżało bez życia, zimne i sztywne w kostnicy Corpus Christi. Cunningham zakasłał.

- Wiem, że pora jeszcze wczesna, ale myślę, że szklaneczka czegoś mocniejszego dobrze zrobi nam obojgu.

Nie czekając na odpowiedź, wyjął dwa kieliszki i butelkę Chi-vas Regal z szuflady biurka.

Jeden z kieliszków był już używany i Susan domyśliła się, że Cunningham musiał korzystać z niego dziś już niejedyn raz. Nalał dwie solidne porcje i podał kieliszek Susan.

Pomyślała, że istotnie alkohol dobrze jej robi, wypila więc jednym tchem pół kieliszka i od razu poczuła się lepiej.

Cunningham odstawił swój kieliszek. Był pusty. Smętnie potrząsnął głową, zapalił jak zwykle hawańskie cygare i czknąwszy lekko, popatrzył na Susan.

- Musimy, Susan, spojrzeć prawdzie w oczy, nie ma co się oszukiwać. Nie stosujemy polityki strusia. Bill został zamordowany. To nie jest wypadek.

- Charles, skąd to podejrzenie?

- Pst, pst, Susan. Przypatrzmy się całej historii i zrobmy pełny bilans faktów, jakie wydarzyły się od listopada 1963 roku.

- Chce pan powiedzieć, że śmierć Billa ma jakiś związek z...

- Susan, jeżeli pani nie przestanie zadawać tego rodzaju pytań, zwątpię całkowicie w pani inteligencję.

Hipoteza postawiona przez Cunninghama wstrząsnęła nią do głębi. Chłód przeniknął ją do szpiku kości. Jednym tchem wychyliła kieliszek i postanowiła słuchać, co jej powie Cunningham.

Odchrząknął, popatrzył zamyślony na pusty kieliszek, jeszcze raz pokiwał głową i zaciągnął się cygarem. Następnie patrząc jej prosto w oczy, zaczął mówić:

- Niech pani sobie przypomni, Susan, wszystko zaczęło się od Toma Stewarta. W tych tragicznych dniach byliśmy w Dallas razem: Tom, Bill, pani i ja. Tom był w świetnej formie. Dawny as piłki nożnej w drużynie uniwersytetu, lat dwadzieścia osiem, zdrowie końskie. Sześć stóp i sześć cali wzrostu, dwieście funtów żywej wagi, z czego połowa same mięśnie, jednym słowem - atleta. I nagle pewnego marcowego dnia 1964 roku w Kansas City dostaje zawału i następnej nocy umiera w szpitalu. We wczesnych godzinach rannych ktoś telefonuje do szpitala i pyta o zdrowie Toma. Dostaje odpowiedź, że zmarł. Wtedy oświadcza, że jest jego rodzonym bratem, niejakim Dave Stewartem, i podaje nazwę przedsiębiorstwa pogrzebowego, do którego poleca przetransportować ciało Toma. Zwłoki zostają następnie

spalone w krematorium. Kiedy Bill, zaalarmowany tą wiadomością, pospieszył do Kansas City, popioły Toma były już w urnie. Bill prowadzi dochodzenie na własną rękę. Tom nigdy nie miał brata z tej prostej przyczyny, że był jedynakiem. Bill domaga się autopsji zwłok. "Po co?" - pada pytanie. Umarł przecież śmiercią naturalną. Zawał serca. Bill nie rezygnuje ze śledztwa. Dwóch mężczyzn przywiozło Toma do szpitala i oświadczyło, że zasnął nagle na ulicy. Była godzina siódma wieczorem, kiedy został przyjęty do szpitala. Kwadrans przed północą zmarł. Dyżurny lekarz wystawił świadectwo zgonu. Przycisnąwszy świadków do muru, Bill dowiaduje się, że lekarz zazwyczaj spędza noc z pielęgniarką w pustym pokoju, w którym nie ma chorych, zaniedbując w ten sposób swoje obowiązki. W pielęgniarce zresztą zakochany jest do szaleństwa i ożeni się z nią nieco później. I tylko na podstawie oświadczenia Tani Rodgers, pielęgniarki, której powierzono opiekę nad Tomem, wystawi on świadectwo

Zgonu, nie obejrząwszy nawet zwłok Toma. Dwa dni potem Tania Rodgers zwalnia się z pracy i opuszcza miasto. Zgadza się, Susan ?

Potwierdziła skinieniem głowy.

- Świetnie, jedziemy dalej. Fernando Gomez stwierdził przed Komisją, że był świadkiem zamordowania funkcjonariusza policji w Dallas. W roku 1964 parę razy pada ofiarą napadów z bronią w ręku. W końcu postanawia ulotnić się i wraca do rodzinnego kraju, do Meksyku, gdzie ukrywa się do dziś. Jego brat, łudząco do niego podobny, został zastrzelony pod koniec 1964 roku; nieznaną sprawca wpakował mu w łeb kilka kul rewolwerowych.

Lee Power, który również stawał przed Komisją jako świadek w sprawie zamordowania funkcjonariusza policji, ginie w kwietniu 1965 roku w tajemniczym wypadku samochodowym. Śledztwo wykazało, że nieznaną sprawca uszkodził hamulce jego wozu. W listopadzie 1965 Dorota Kiergarten, którą pani poznała na studiach w Vassar, umiera tu, w Nowym Jorku. Nie wykryto nic podejrzanego, co pozwalałoby przypuszczać, że to nie było zwykłe samobójstwo. Była zakochana w disc-jockeyu, który ją porzucił. Popelniła więc samobójstwo, zostawiając na widocznym miejscu list do niego adresowany. Napisała go własnoręcznie, co do tego nie ma wątpliwości. Dużo wypija, jak wykazała autopsja. Na pozór, jak przed chwilą mówiłem, nic podejrzanego. A jednak pewien mały szczegółik wydaje się interesujący. Kiedy do mieszkania wkroczyła policja, drzwi nie były zamknięte na łańcuch. "Może to nic nie znaczy" - powiedziała mi pani wtedy. Być może. Muszę jednak przypomnieć, że Dorota Kiergarten przebywała w Dallas jako wysłannik swojej gazety w tym samym czasie, co i my, oraz przeprowadzała wywiady z osobami z pewnych kręgów, a to mogło ją doprowadzić do odkrycia paru spraw, raczej podejrzanych...

Nim podjął opowieść, Cunningham, nie pytając nawet Susan o zdanie, napełnił oba kieliszki.

- Miesiąc później w Dallas William Woolen, kierowca taksówki, który dwa lata temu odwoził naszego przyjaciela Lee w Dallas do kina i którego twarz przez całe tygodnie nie opuszczała ekranów telewizyjnych wszystkich programów w Stanach Zjednoczonych, ginie - podobnie jak Lee Power - w wypadku samochodowym. Szeryf oświadcza, że prawdopodobnie przyczyną katastrofy był zamach bombowy na pasażera taksówki, według wszelkich przypuszczeń, handlarza narkotykami. Dowody na potwierdzenie tej tezy znaleziono wśród szczątków samochodu.

Następnie upływa niemal rok bez podejrzanego zgonu, który miałby jakiś związek z aferą nas interesującą. Przynajmniej - muszę to podkreślić, Susan, jak podkreślałem zresztą i kiedyś - zgonu którejś z osób, których nazwiska figurują w naszych notatkach. Jest rzeczą możliwą, że inni ludzie związani z tą sprawą z przyczyn, których nie znamy, również musieli umrzeć.

Dochodzimy do października 1966 roku. Mary Jane Montey ucieka z Dallas i przybywa szukać szczęścia w Nowym Jorku. Występowała jako striptizerka w kabarecie Jacka w Dallas i była jego ostatnią oficjalną kochanką. Ukrywa się w Nowym Jorku, albowiem i ona, jak się wydaje, zrozumiała, że jej życiu zagraża niebezpieczeństwo. Kiedy pewnego wieczoru

wracała do domu, została napadnięta przez dwóch bandytów, którzy zadźgali ją nożem i okradli. Faceci rzucili się do ucieczki, ale trafili na dyżurnego policjanta Rodrigueza, który obu zastrzelił z niedużej odległości. Jeden z nich, ranny, został dobity z bliska - dostał kulę w łeb. Zeznali to naoczni świadkowie. Zresztą Rodriguez znajdował się na służbie, mimo że od dziesięciu minut był już wolny. Czy ktoś kiedyś widział w Nowym Jorku policjanta pracującego w godzinach nadliczbowych, za które nikt nie płaci? Poza tym nie jest to snajper. Ten dublet wydał się podejrzany nawet fachowcom z policji. Ale nikt nie zwraca uwagi na takie szczegóły. A poza tym zbliżają się wybory. Myśliwskie trofea Rodrigueza bardzo urządzają polityków. Mają temat: porządni obywatele cieszą się ochroną dzielnych policjantów. Wszystkim zależy na tym, żeby Rodriguez nie spotkał się z szykanami. Dostaje więc nominację na sierżanta i staje się bohaterem dnia. Następnie upływa znowu rok, w ciągu którego nic się nie dzieje, przyznając to, Susan, ale wciąż mam te same wątpliwości. Głos lekko mu się załamał.

- Nic się nie dzieje aż do ostatniej nocy... Nasz stary Bill... Pociągnął porządny łyk Chivas.

- Nie ma nic bardziej podejrzanego niż śmierć Billa, Susan. Wierzy pani w te bajeczki? Taki stary rutyniarz jak porucznik Flatters sprowokowałby tak idiotyczny wypadek? Zresztą, przebąkuje się coś o tym, że zostanie przeciw niemu wszczęte dochodzenie dyscyplinarne, co dowodzi, iż policja komisariatu Corpus Christi podejrzewa, że tę aferę z daleka czuć zgnilizną. Dlaczego właśnie Bill był jedynym przedstawicielem prasy, który asystował przy przesłuchaniu Nortona? Nortona, który został także przy tej okazji zlikwidowany! Stanowczo temu porucznikowi Flattersowi zabrakło zimnej krwi. To nie do wiary w przypadku policjanta, który ma aż tak wysoki stopień.

Przerażenie, od którego, jak się jej wydawało, już się uwolniła, ogarnęło ją znowu. Potem nagle przypomniała sobie sen, jaki miała jej matka poprzedniej nocy. Nie sen. Koszmar. Jeden z tych strasznych koszmarów, w których widziała, jak na jej oczach mordują córkę, a ona patrzy na jej śmierć i nie może jej zapobiec.

Cunningham przerwał bieg jej myśli.

— Susan, powiem pani szczerze, co myślę. Mieliśmy nadzieję, że się mylimy. Łudziliśmy się przez cały czas. Ale oto fakty. Spisek istnieje. Spisek, który ma na celu zlikwidowanie wszystkich niewygodnych świadków.

— Ależ Charles - protestowała bez przekonania Susan - przecież myśmy absolutnie nic nie widzieli.

- Wiem, Susan, ale byliśmy w kontakcie ze świadkami.

- Charles - powiedziała z mocą - niech pan się nie wymiguje i odpowie mi jasno. Co się właściwie wydarzyło w Dallas? Ja byłam chora i zostałam w hotelu, podczas gdy wy - Tom, Bill i pan - poszliście...

- Susan, gdybym pani powiedział, pogorszyłoby to tylko pani sytuację.

Uniosła się.

— Przecież ostatecznie mam prawo wiedzieć! Jeżeli to wszystko, co pan opowiada, to prawda, moje życie znajduje się w niebezpieczeństwie.

— Pani życie jest w niebezpieczeństwie, to prawda. Ale moje rewelacje o tym, co wydarzyło się w Dallas, w niczym pani nie pomogą. Niech mi pani wierzy. Jestem starym pani przyjacielem, Susan. Niech pani ma do mnie trochę zaufania i uwierzy w to, co mówię.

Potrząsnęła głową, zniechęcona. Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu. Po chwili Cunningham podjął:

— Susan, życiu pani i mojemu zagraża niebezpieczeństwo. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Ja osobiście nie mogę już dłużej znosić tego straszliwego napięcia, które trwa od lat. Wiem, że pani jest w innej sytuacji, albowiem pani nigdy nie była w pełni przekonana...

— To znaczy, że...

— Oczywiście, Susan, pani się boi, ale pani nigdy się nie dowie, przez jakie piekło przeszedłem ja. Mam już dość takiego życia. Postanowiłem wszystko rzucić.

Ogarnęło ją zdumienie.

— Wszystko rzucić? Co pan chce przez to powiedzieć? Dziennik?

— Tak, dziennik. I pani radzę zrobić to samo.

— Ależ Charles, dziennikarstwo to dla pana cały sens życia!

— Tak było, Susan. Ale już nie jest. To, co się przytrafiło Billowi, zniechęciło mnie do wszystkiego. Jak by to powiedzieć? Nastąpił po prostu szok i teraz - przyznaję - boję się.

— Ale co pan będzie robił, Charles?

— Będę podróżował, ukrywał się.

— Ależ to nie ma sensu!

— Nie, ja muszę wyjechać z Ameryki. Być może, mamy jakąś szansę ująć losowi.

Głos jego był pełen rozpacz. Susan nagle odniosła wrażenie, że jest zupełnie odizolowana od wszystkiego, samotna, że znajduje się we wrogim świecie.

— Charles, ja nie mogę tego zrobić. Ja muszę pracować. Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby rzucić robotę.

— Susan, dla nikogo nie jest tajemnicą, że moja sytuacja materialna jest taka, iż mogę nie pracować do końca życia. Dysponuję ogromnymi środkami finansowymi. Postanowiłem pani pomóc. Niech mi pani pozwoli zaproponować sobie pożyczkę. Żeby móc wystartować. Żeby uciec. Zwróci mi pani, kiedy będzie pani mogła.

— Dziękuję, Charles. Bardzo cenię ten gest. Ale nie mogę przyjąć pana propozycji. Cóż bym robiła?

— W grudniu zeszłego roku opowiadała mi pani o pomysle napisania książki.

Uśmiechnęła się, rozczulona.

- To bardzo ładnie z pana strony, że pamięta pan o tym. Ja jeszcze nawet do tej książki się nie zabrałam, to moje umiłowane dziecko, które kołyszę w marzeniach, nim usnę.

- Susan, dlaczego nie osiedli się pani w jakimś zapadłym zakątku Europy, Azji albo Afryki z maszyną do pisania i stertą papieru maszynowego i dlaczego nie zacznie pani pisać tej książki, o której pani marzy?! Opublikuje ją pani pod pseudonimem i w ten sposób nikt nie odnajdzie pani śladu.

Gwałtownym ruchem otworzył szufladę biurka i wyjął mały prostokącik bladezielonego papieru.

- Susan - rzekł tonem nie podlegającym dyskusji - niech pani weźmie ten czek. Proszę to uważać za zaliczkę, którą pani mi zwróci z honorariów autorskich. Niech pani dobrze rozważy moją propozycję, a jeżeli nie zechce pani posłuchać mojej rady, proszę ten paperek spalić.

Rzuciła okiem na czek i oczy jej rozszerzyły się ze zdumienia.

— Ależ... Charles... to niemożliwe! Dziesięć tysięcy dolarów!

— Będzie ich pani potrzebowała, by wystartować.

- Jakże ja panu zwrócę? Mimo wszystko nie mam chyba talentu. I kto mi wyda tę książkę?

- Ja wierzę w pani talent. Westchnął z żalem.

- Jaka szkoda, że Cunninghamowie nie pomyśleli o włączeniu wydawnictwa w zakres swojej działalności. Wtedy wydanie pani książki nie byłoby w ogóle problemem.

Popatrzył na zegarek.

- A teraz zechce pani wybaczyć. Reg Smithson (był to dyrektor naczelny) czeka na mnie. Ogłoszę mu swoją decyzję. Nie bardzo mu się ona spodoba, ale trudno.

Podniósł się, ona także.

- Susan, nie przypuszczam, że się jeszcze kiedykolwiek w życiu spotkamy. Mam zamiar spalić za sobą wszystkie mosty. Kiedy już pani będzie sławną i znaną pisarką, prześle pani na adres mojego ojca dziesięć tysięcy dolarów.

Podał jej czek, który wsunęła do torebki. Była straszliwie smutna.

- Żegnam pana, Charles, i jeszcze raz dziękuję.

— Powodzenia, Susan.

— Powodzenia, Charles.

Siłą wstrzymując się od łez, chwyciła torebkę i wybiegła z gabinetu Cunninghama, nim jednak zdołała zamknąć drzwi, posłyszała za sobą brzęk szkła i bulgotanie nalewanego płynu.

Był już późny ranek, kiedy opuszczała gabinet Cunninghama. Wróciła do swojego pokoju, usiadła w fotelu i ze zniechęceniem przyglądała się stercie papierów zawalających biurko. Po namyśle postanowiła zaczekać z decyzją do spotkania z Barbarą Romano. Właśnie tego wieczoru miały razem wybrać się na kolację. Barbara zawsze umiała znaleźć dobrą radę, teraz więc również będzie wiedziała, jak powinna postąpić Susan. Na razie Susan rzuciła się w wir pracy, żeby zabić czas do kolacji.

W południe absolutnie nie odczuwała apetytu, nie zjadła nawet kanapki, którą częstował ją Conway. Na chwilę tylko przerwała pracę, by zatelefonować do matki i dowiedzieć się, co słychać w domu. Nie wspomniała o rozmowie z Cunninghamem.

Po południu o dymisji Cunninghama wiedzieli już wszyscy pracownicy redakcji. Susan zaniknęła się w pokoju, by nie wysłuchiwać najdziwniejszych komentarzy i najbardziej nieprawdopodobnych przypuszczeń, dlaczego to Plymouth Rock postanowił zrezygnować z tak świetnego stanowiska.

O godzinie szóstej wyszła z redakcji, wsiadła do taksówki i pojechała do hotelu "Pierre". Znalazła wygodne miejsce w barze hotelowym, zamówiła martini i spokojnie czekała na Barbarę.

Barbara, jak to było w jej zwyczaju, z hałasem wpadła do lokalu pogrążonego w ciszy. Była to dziewczyna bardzo ładna, smukła, o szczupłej talii i pełnych biodrach. Długie czarne włosy okalały twarz madonny, niewinnej, z ogromnymi niebieskimi oczami w kształcie migdałów. Ubierała się w domu mody Village, w sposób jak najbardziej ekscentryczny i rzucający się w oczy, ale zawsze z gustem, w stylu, który podkreślał jej urodę.

Dzisiaj ubrana była w długi aż do kostek płaszcz z lamy. Kelner odniósł go do szatni.

Pozostała w tunice i spodniach chińskich w stylu cesarstwa, o mieniących się kolorach.

Usiadła naprzeciwko Susan, a tuż obok siebie posadziła kotkę syjamską, z którą wodziła się wszędzie, najczęściej prowadząc ją na długiej smyczy z plecionej skóry. Uśmiechnęła się do kelnera, zamówiła podwójną szkocką bez wody sodowej, a wzrok jej przesunął się z uwagą po twarzy Susan.

- Moja mała siostrzyczko (zawsze nazywała Susan swoją małą siostrzyczką, ponieważ Susan była o trzy miesiące młodsza od niej), nie wygląda na to, żebyś była w formie. Masz kłopoty?

Susan uśmiechnęła się przelotnie.

- Później ci wszystko opowiem. Co u ciebie?
- Moja droga, Muzeum Sztuki Współczesnej to dom wariatów.

Barbara pracowała na pół etatu w Muzeum Sztuki Współczesnej przy Pięćdziesiątej Trzeciej Ulicy Zachodniej, a w wolnym czasie malowała.

- A twoje plany urządzenia wystawy, Babs?
- Wszystko na dobrej drodze, siostrzyczko. Pat O'Dwyer zajmuje się organizacją, wyszukaniem lokalu... Daniel Rosenkranz to moje public relations. Ściągnie na wernisaż ludzi teatru, filmu, telewizji, sztuki, piosenki, a także kilka wielkich nazwisk ze sportu - które mają udowodnić, że sportowiec to nie tylko góra mięśni bez mózgu, jak to na ogół wyobraża sobie poczciwy ludek.

Susan klasnęła w ręce z entuzjazmem.

— To wspaniale, Barbaro!

— Tak. Przyznaję, że jestem dość zadowolona. Jedz, Gipsy. Podała solony migdał kotce, która obwąchała go nieufnie, ale nie tknęła.

- Mała milionerka - mruknęła Barbara - kosztujesz mnie fortunę.

Nagle rozpromieniła się.

- Och, byłabym zapomniała! Jeden z przyjaciół Daniela jest

kimś bardzo ważnym w telewizji w programie CBS. Obiecał mi, że w dzienniku wieczornym zostanie pokazany czterdziestopięć-sekundowy reportaż z otwarcia wystawy.

- To wspaniale, Barbaro. Od razu zostaniesz wylansowana.
- Poczekaj, siostrzyczko, nie sprzedawaj skóry na niedźwiedziu.
- Ile płócien masz już gotowych?
- Dużo, ale chcę wystawić tylko dwadzieścia sześć. Galeria, którą ma na oku Pat, jest raczej niewielka, a poza tym ludzi nie należy przekarmiać sztuką awangardową. Trzeba tylko zaostrić ich apetyt i zostawić dość czasu, by nasycili się i widokiem sławnych osobistości, i cocktailami.

Jeszcze raz zamówiły to samo.

- Gdzie zjemy kolację? - zapytała Susan.
- Siostrzyczko, dziś jesteś moim gościem. Uprzedzimy nieco fakty i oblejemy sukces największej malarki, jaką świat kiedykolwiek widział.
- Szampanem? - uśmiechnęła się Susan.
- Szampanem, wypijemy go u mnie po kolacji. Chyba nie boisz się wracać zbyt późno do domu?

Susan się zasepiła. Ostatnie słowa Barbary sprowadziły ją na ziemię, odżyły stare koszmary. Barbara to zauważyła. Położyła dłoń na ręce przyjaciółki.

- Co się stało, siostrzyczko? - zapytała zaniepokojonym głosem.

Susan uśmiechnęła się do niej.

- Opowiem ci wszystko, ale jeszcze nie teraz, Barbaro.
- Jeżeli boisz się wracać do Brooklynu tak późno, zostań u mnie na noc. Zatelefonujesz do domu i uprzedzisz matkę.

— Nie. Poradzę sobie, Barbaro. Uwolniła ręce.

— Nie powiedziałaś, dokąd idziemy na kolację.

- Daniel odkrył wspaniałą restaurację indonezyjską parę kroków stąd. Zapraszam cię tam.

- Czy to lokal spokojny?

- Spokojny? Oczywiście. Dlaczego pytasz?

— Mam ci wiele do opowiedzenia i nie chciałabym, aby zbyt ciekawi sąsiedzi mogli podsłuchać, o czym mówimy.

— Bądź spokojna. Stoliki rozstawione są bardzo daleko od siebie.

Daniel Rosenkranz był oficjalnym kochankiem Barbary i Susan przypomniała sobie, że nie dalej jak dziś rano jechała z Brooklynu do Manhattanu w towarzystwie Karola, byłego kochanka Barbary. Aby wprowadzić weselszy nastrój, postanowiła opowiedzieć o tym spotkaniu.

- Wiesz, z kim się widziałam dziś rano, Babs? Z Karolem. Opowiedziała, w jakim stanie zastała jego mieszkanie, opisała

nowy samochód Karola i wspomniała o jego planach matrymonialnych.

Parsknęły śmiechem wspominając starego kumpla, którego obydwie bardzo lubiły.

O godzinie pół do dziewiątej wyszły z baru, trochę podchmielone, i po chwili znalazły się w restauracji indonezyjskiej, znajdującej się w trzecim bloku za hotelem "Pierre". Siadły przed ko-piastą porcją rijstaffel i filiżankami wonnej herbaty i mówiły o wszystkim i o niczym. Kotka delectowała się miseczką nasi goreng.

- Pycha - zauważyła Susan.

Barbara umoczyła swój sate kembang (koźlina z rożna) w sosie sojowym i żuła kawałek mięsa, wpatrując się z uwagą w twarz przyjaciółki.

- A teraz, siostrzyczko, opowiadaj o swoich zmartwieniach.

Susan wielokrotnie poruszała ten temat w rozmowach z Barbarą. Zwierzała jej się ze swoich obaw, z niepokoju, jakie ogarniały Billa Huntinga, Cunninghama i ją samą, mówiła o powodach, które pozwalały jej przypuszczać, że istnieje spisek mający na celu zlikwidowanie ludzi, co za dużo wiedzą. Nigdy nie zdołała przekonać Barbary do końca. Matka, której zwierzyła się również, rozumiała ją w pełni. Stąd właśnie jej nocne koszmary. Trzeba wszakże przyznać, że ostatniej nocy miała sen wprost proroczy. Barbara zawsze zachowywała pewien sceptycyzm, aczkolwiek przyznawała, że niektóre wypadki są zastanawiające, a zbiegi pewnych okoliczności rzeczywiście dość dziwne. Ale jej wrodzony optymizm nie pozwalał na dramatyzowanie sytuacji. A zresztą już od roku nie wydarzyło się nic, co mogłoby potwierdzić podejrzenia Susan. I Barbara orzekła w końcu, że wszystkie te obawy były próżne, że były jedynie wytworem zawodowej wyobraźni paru dziennikarzy.

Susan, utkwivszy wzrok w talerzu, bezbarwnym głosem opowiedziała o koszmarach snach matki, o zagadkowej śmierci Billa Huntinga i o swojej rozmowie z Cunninghame. Barbara nie przerwała jej ani razu. Kiedy Susan skończyła, komentarz Barbary był krótki.

- Tym razem, siostrzyczko, chyba mnie przekonałaś. To naprawdę straszne. Wybacz mi, że czasem byłam ironiczna i sceptyczna. Tak! To straszne...

Umilkła zamyślona. Oczy patrzyły gdzieś w dal, palce kurczo-ściskały rożen, z którego spływał sos.

- Barbaro, musisz mi poradzić, liczę na ciebie. Co byś zrobiła na moim miejscu?

Odpowiedź była zdecydowana:

- Posłuchałabym rady Plymoutha Rocka.

Susan odetchnęła z ulgą. Od chwili kiedy wyszła z gabinetu Cunninghama, czuła, że powinna podjąć taką właśnie decyzję. Jakaś nieprzeparta siła pchała ją do ucieczki jak najdalej od Nowego Jorku. Ale dokąd uciekać? Tego nie wiedziała.

— To pociąga za sobą cały szereg komplikacji. Na przykład - moja matka.

— Twoja matka może sobie poradzić i bez ciebie. Kiedy zresztą opowiesz jej to, co przed chwilą mnie opowiedziałas, ona sama wsadzi cię do samolotu. Pomyśl Plymoutha Rocka uważam za doskonały. Mam na myśli książkę. Tyle razy zanudzałaś mnie opowieściami o niej! Teraz masz świetną okazję, aby ją napisać. Nie zmarnuj tej szansy. Jeżeli zaś chodzi o te

dziesięć tysięcy dolarów, to nie miej żadnych skrupułów. Cóż to znaczy dla Plymoutha Rocka! Zresztą oddasz mu je, kiedy dostaniesz pieniądze ta książkę.

Susan uśmiechnęła się, ubawiona entuzjazmem swojej przyjaciółki.

- Teraz ja ci z kolei powiem: "Nie sprzedawaj skóry na niedźwiedziu".

Barbara wybuchnęła śmiechem, ale natychmiast spoważniała.

— Jeśli tutaj, siostrzyczko, grozi ci niebezpieczeństwo, to musisz opuścić Nowy Jork i osiedlić się gdzieś bardzo daleko stąd. Wtedy "oni" o tobie zapomną - o ile cała ta historia jest rzeczywiście prawdziwa.

— Barbaro, minęły już cztery lata i "oni", jak widać, nie zapomnieli.

— Być może wszystko to wiąże się ze Stanami Zjednoczonymi, a zatem wyjedź ze Stanów! Kolacja nie dobiegła jeszcze końca, ale przyjaciółki straciły apetyt. Postanowiły więc udać się do Barbary i wypić zapowiedzanego szampana.

Przy drugim kieliszku Barbara wpadła na genialny pomysł.

Ojej, siostrzyczko! - zawołała i jednym susem zerwała się z fotela, o mało nie wypuszczając kieliszka z ręki. - Eureka! - jak powiedział Archimedes. Znalazłam! - Stała przed Susan, ująwszy się pod boki. - Gdzie spędziłaś ostatnie wakacje?

Ależ... we Francji, przecież wiesz - odpowiedziała Susan, zdziwiona.

- Z kim?

Słowo daję, to prawdziwe śledztwo! Czyżbyś była prokuratorem?

- Odpowiadaj.

— Oczywiście że z Jacques'em. Wiesz dobrze.

— Otóż i rozwiązanie.

— Co?

— Jacques. Mówiłaś, że ci się podoba?

— To prawda.

— A ty jemu?

— Nie mam pojęcia.

Barbara zaczęła chodzić po pokoju tam i z powrotem.

— Wciąż pisujecie do siebie?

— Tak. W ostatnim liście zaprasza mnie na Boże Narodzenie. Barbara wydała dziki okrzyk.

- A co, nie mówiłam? Siostrzyczko, jutro pędzisz na Piątą Avenue do biura Air France i kupujesz bilet na samolot do Paryża. Dalej! Napijmy się! Złożmy hołd geniuszowi Barbary Clary Romano.

Jacques. Susan zrobiło się głupio. Wydarzenia dnia kompletnie wymazały go z jej pamięci. Ani przez chwilę o nim nie pomyślała, a przecież to było jakieś wyjście. Tylko na jak długo? Trudno jej było naprawdę powiedzieć, jakie uczucia żywi Jacques w stosunku do niej.

Wakacyjne przygody pozostawiają po sobie cudowne wspomnienia, ale próby ich kontynuowania nie zawsze są udane. Cóż jednak ryzykuje? Pieniądze pożyczone od Cunninghama oraz jej własne pozwolą jej zachować niezależność. Wprawdzie Jacques, jak się wydaje, ma poważne dochody - w czasie tych dwóch miesięcy, które spędzili razem, trwonił pieniądze w sposób niesłychany - ale Susan nie chce być na jego utrzymaniu. Gdyby zatem pewnego dnia doszło do nieporozumień, ona po prostu odejdzie i poszuka sobie innego schronienia. Jakiego? Zobaczy się potem.

Barbara przerwała rozmyślenia Susan, na nowo napelniając kielichy.

- Wypijmy, siostrzyczko. Wypiły i odstawiły kieliszki.

- Twój pomysł jest bardzo pociągający, Barbaro, ale muszę porozumieć się z Jacquesem. Do Bożego Narodzenia jeszcze daleko.

— Wyślij depezę.

— Masz rację. Załatwię to od razu jutro.

Susan czuła, że popada w euforię. Tunel, przez który przebiegała się przez cały dzień, rozszerzył się i w dali zabłysło światło.

- Dziękuję, Barbaro.

Rzuciła się jej w ramiona, wycalowały się serdecznie. Barbara uparła się, żeby otworzyć drugą butelkę szampana, i Susan szumiało już dobrze w głowie, kiedy taksówka, zamówiona telefonicznie, wysadziła ją przed bramą domu w Brooklynie. Matka już spała. Susan wśliznęła się pod kołdrę i natychmiast zasnęła spokojnym snem.

Kiedy się obudziła na drugi dzień rano, czuła się trochę ociężała, ale w dobrej formie. Przy śniadaniu ostrożnie zrelacjonowała matce wydarzenia poprzedniego dnia.

Flora Bramovitz odzywała się niewiele. Kilkakrotnie ze smutkiem pokiwała głową, a kiedy córka skończyła mówić, wyszeptała głosem, od którego Susan krajało się serce:

- Moja kochana, musisz postąpić tak, jak ci radzą Cunningham i Barbara. O mnie nie myśl. Ja będę szczęśliwa, jeżeli ty oddalisz od siebie niebezpieczeństwo.

Susan nic nie odrzekła, wiedziała bowiem w gruncie rzeczy, że nawet niepokój o matkę nie może jej zatrzymać.

- Dlaczego nie zatelefonujesz po prostu do Jacques'a, zamiast wysłać depezę?

Matka, dość tolerancyjna, nie wtrącała się do prywatnych spraw Susan. Nie była zgorszona, że córka postanowiła zamieszkać z Jacques'em. Przynajmniej tego nie okazywała. Była godzina ósma rano. Biorąc pod uwagę różnicę czasów, w Paryżu była druga po południu. Czy Susan zastanie Jacques'a w domu? A jeśli tak, to co mu powie? Będzie przecież musiała podać jakąś przyczynę tak nagłej decyzji. Depesza to chyba rozwiązanie lepsze, dopuszcza bowiem tylko jedną odpowiedź: pozytywną albo negatywną.

- Nie mam. Wolę wysłać telegram.

Wyszła do salonu, by nie patrzeć na ogromny smutek, jaki malował się na twarzy matki.

Zapaliła papierosa i przyłożyła czoło do zimnej szyby. Podobnie jak wczoraj, most Verrazano Narrows ginął we mgle. Jakaś barka pruć wody zatoki, zmierzając w kierunku wybrzeża Brooklynu. Niebo było ponure, zaciągnięte chmurami. Staten Island było widać jak za mgłą. Wstrząsnął nią dreszcz.

Teraz musiała przygotować plan kampanii. Z wolna zaczęła porządkować myśli, zapaliła drugiego papierosa i postanowiła działać.

Podyktowała przez telefon depezę do Jacques'a, następnie zadzwoniła do sekretarki Reginalda Smithsona, naczelnego dyrektora dziennika, i poprosiła o spotkanie z nim tego popołudnia, tłumacząc się jednocześnie, że nie może przyjść do pracy rano. Całe przedpołudnie poświęciła na pakowanie bagaży, w czym pomagała jej matka. Rozmawiały o sprawach banalnych, jak gdyby Susan wyjeżdżała na week-end na narty do Vermont.

O godzinie dziesiątej zadzwoniła sekretarka Smithsona, że szef może ją przyjąć o godzinie piętnastej. Wtedy Susan zadzwoniła do Barbary. Rozmowa była krótka. Susan obiecała, że będzie ją o wszystkim informować na bieżąco. O pół do dwunastej szybko zjadła kanapkę z kawałkiem indyka, szarlotkę, popiła dwiema dużymi filiżankami kawy i zamówiła taksówkę. Bank Charlesa Deckera Cunninghama znajdował się na Broadwayu. Zrealizowała czek, pieniądze wsunęła do wewnętrznej kieszeni płaszcza, który kupiła rano. Kasjer popatrzył na nią zaskoczony. Zapewne pomyślał, że zachowuje się jak wariatka, jeśli chce z taką sumą poruszać się po Nowym Jorku. Odrzuciła myśl, by zamienić gotówkę na czeki podróżne - pozwoliłoby to "im" trafić na jej ślad. A poza tym gotówka daje większą swobodę poruszania się.

Na piechotę udała się do swojego banku, który również mieścił się na Broadwayu, niemalże na rogu Wall Street, naprzeciwko Trinity Church. Uśmiechnęła się, czytając na szklanym szyldzie złote litery: "French-American-Bank". Pomyślała, że to dobra wróżba dla jej

przyszłego związku z Jacques'em. Zlikwidowała swoje konto, które wynosiło prawie dwa tysiące dolarów, i pieniądze ulokowała w tej samej kieszeni płaszcza. Tym razem kasjer nie wydawał się zdziwiony.

Matka miała własne dochody, nie potrzebowała więc pieniędzy od Susan. Zresztą jej wydatki były skromne.

Po załatwieniu spraw w obu bankach Susan pojechała na Piątą Avenue, do biura Air France. Mogła wprawdzie wybrać linie lotnicze Panam, ale postanowiła zerwać ze wszystkim, co amerykańskie, nawet nie chciała lecieć amerykańskim samolotem. Zapoznała się z rozkładem lotów, następnie swoją nieco łamaną francuszczyzną zamówiła miejsce w samolocie na jeden z trzech następnych wieczorów. Potem kupiła bilet do Paryża w klasie turystycznej, za który zapłaciła banknotami studolarowymi; urzędniczka patrzyła na nią nieufnie, choć nie robiła żadnych uwag.

O godzinie piętnastej była w gabinecie Reginalda Smithsona, który przyjął ją wyjątkowo uprzejmie. W jego oczach dostrzegła porozumiewawczy błysk i zastanowiła się, czy Cunningham uprzedził go wczoraj o jej ewentualnej dymisji. Wysłuchał jej grzecznie z miną roztargnioną. Grała rolę wariatki, ogarniętej chorobliwą gorączką pisania, była jednak pewna, że Smithson absolutnie nie wierzy w tę historyjkę. Gdy skończyła, uśmiechnął się do niej jak dobry, poczciwy tatuś.

- Doskonale rozumiem motywy, jakie panią kierują, lecz jednocześnie żałuję, że pani nas opuszcza. Byliśmy zawsze zadowoleni ze współpracy z panią, z artykułów, które znajdowały oddźwięk wśród czytelników. Gdyby pani pewnego dnia zdecydowała się wrócić do dziennikarstwa, proszę przyjść do mnie. Zawsze będzie pani mile widziana.

- Dziękuję panu, panie Smithson.

Uścisnęli sobie dłonie, życzył jej powodzenia. Kiedy wychodziła z gabinetu, słyszała, jak wydaje przez telefon polecenie, by przygotowano dla niej wypłatę za miesiąc bieżący.

Otrzymała więc jeszcze prawie osiemset dolarów.

Dochodziła godzina czwarta. Wiadomość o jej odejściu nie rozeszła się jeszcze w redakcji. Postanowiła z nikim się nie żegnać. Oczywiście to nie było po koleżeńsku. W redakcji miała wielu przyjaciół. Ale bezpieczeństwo przede wszystkim. Jakaż wartość mają te przyjaźnie w miejscu pracy wobec groźby, że ktoś wpakuje ci kulę w łeb?

Swoim pokojiu nie miała żadnych rzeczy osobistych, więc nie musiała tam wracać. Rzecz jasna, zgodnie ze zwyczajami, powinna była porozmawiać ze swoim następcą, zapoznać go z nowymi obowiązkami. Praca jej nie była łatwa i następca Susan będzie miał piekielne trudności, zanim się w nią wgryzie bez jej pomocy. Jednakże fakt, że Reginald Smithson tej pomocy od niej nie żądał, umocnił ją w przekonaniu, że Cunningham poprzedniego dnia omówił sprawę jej odejścia. Kto zajmie jej miejsce? Sean Fitzmorris, z całą pewnością. Był to młody obiecujący dziennikarz, zresztą wychowanek Smithsona.

Nie pozostało jej już nic innego, jak tylko czekać na odpowiedź Jacques'a, postanowiła więc wrócić do domu i resztę dnia spędzić z matką. Będzie taka szczęśliwa!

Jadąc taksówką do domu, zdecydowała nie zawiadamiać o swoim wyjeździe nikogo z przyjaciół. To także nie było ładne, jednakże bezpieczeństwo wymagało zachowania środków ostrożności.

Taksówkarzowi kazała zatrzymać się przed zakładem, gdzie reperowano jej samochód, i od razu załatwiła sprawę jego sprzedaży. Formalności trwały krótko i już po chwili miała czek na tysiąc sześćset sześćdziesiąt pięć dolarów, który postanowiła zrealizować nazajutrz. Następnie piechotą dotarła na Shore Eoad.

Kiedy przyszła do domu, usiadły z matką do kolacji.

Właśnie zabierały się do kotletów z jagnięcia z kapustą, kiedy zadzwonił telefon. Susan wstała i podniosła słuchawkę. Serce zaczęło jej bić mocniej, kiedy telefonistka zapowiedziała połączenie z Paryżem. I zaraz usłyszała ciepły głos Jacques'a, tak wyraźny, jakby telefonował z Manhattanu. Mówił po angielsku.

- Czy tak tęsknisz za mną, że nie możesz wytrzymać do Bożego Narodzenia?

Mówił tonem żartobliwym. Wybuchnęła śmiechem, ucieszona, że go słyszy.

- Zgadłeś!

- No to przyjeżdżaj natychmiast. Wsiadaj w pierwszy samolot.

Susan przepełniło uczucie ogromnego szczęścia, ale starała się ukryć to przed matką, która przestała jeść i patrzyła na nią.

- Kiedy przylatujesz?

Odwróciła oczy wiedząc, że swoją odpowiedzią sprawi przykrość matce.

- Wezmę bilet na samolot Air France odlatujący stąd jutro wieczorem. W Paryżu będę pojutrze nad ranem.

— Świetnie! Wiesz, która teraz jest tutaj godzina?

— Druga nad ranem - odpowiedziała Susan natychmiast.

— Jestem w tej chwili w łóżku i... myślę o tobie...

- Nie wychodź więc z łóżka do pojutrze, to cię wyleczę z tych myśli.

- Właśnie na to liczę.

- A teraz kończmy. Ta rozmowa będzie cię kosztowała fortune.

— Gwiżdżę na to.

— Zostanie ci za mało pieniędzy na futro z nurków dla mnie.

- No wiesz! Całuję cię. Będę czekał na Orły. O nic się nie martw.

- Całuję cię, Jacques.

Powiesiła słuchawkę. Matka siedziała z głową opuszczoną, żuła kotlet. Susan zadzwoniła od razu do Barbary. Na szczęście zastała ją w domu. Zawiadomiła ją o godzinie odlotu, a Barbara zapowiedziała, że wpadnie po nią swoim samochodem i odwiezie ją razem z matką na lotnisko Kennedyego.

Ani matka, ani Susan nie miały ochoty na rozmowę i dokończyły kolację w milczeniu.

Pomogła matce zmyć naczynia, potem zaś obejrzały w telewizji stary film z Barbarą Stanwyck i Burtiem Lancasterem - "Pomyłka, proszę się rozłączyć". Kiedy film się skończył i Susan wyłączyła telewizor, Flora Bramovitz wybuchła nagle płaczem. Susan usiłowała matkę pocieszyć, ale nie umiała znaleźć odpowiednich słów... Objęła ją tylko bardzo mocno nic nie mówiąc. Wreszcie Flora Bramovitz opanowała się, ucałowała córkę i uśmiechnęła się przez łzy.

- Jestem wariatka. Wybacz mi.

Wstała i przeszła do swojego pokoju. Nim przekroczyła próg, odwróciła się jeszcze do córki.

- Burt Lancaster był w tym filmie okropny. Ale Barbara Stanwyck bardzo mi się podobała.

"Zwykły, banalny melodramat" - pomyślała Susan, ale ta historia najemnego mordercy w nieprzyjemny sposób przypomniała jej własne trwogi, co sprawiło, że noc miała niespokojną. Śniło jej się, że to ona leży w łóżku, bezwładna, jak Barbara Stanwyck w filmie, samotna w domu na odludziu, a tymczasem morderca, ubrany na czarno, bez przerwy podnosi i odkłada słuchawkę telefoniczną, powtarzając do znudzenia: "Pomyłka, proszę się rozłączyć".

Następnego dnia - był to czwartek - zaraz po śniadaniu zadzwoniła do Air France, potwierdziła miejsce na wieczorny samolot do Paryża i anulowała rezerwację na dwa następne dni. Potem udała się do banku i zrealizowała czek wystawiony przez właściciela garażu, który kupił od niej samochód.

Po południu poszła do swojego pokoju, pozamykała walizki. Z szuflady komody wydobłała plastikowy woreczek, w którym trzymała nocną koszulę. Położyła na łóżku wszystkie swoje pieniądze. W sumie miała przeszło czternaście tysięcy dolarów. Podzieliła je na trzy równe kupki, które następnie ułożyła obok siebie w woreczku. Zakleiwszy woreczek plastrem, przycisnęła go jedną ręką do ciała poniżej brzucha, a drugą solidnie przylepiła do skóry szerokimi taśmami plastra.

Ukończywszy zabieg, poprawiła ubranie. Umyślnie wybrała na podróż sukienkę dość luźną. Krytycznym okiem obejrzała się w lustrze i z zadowoleniem stwierdziła, że nie wygląda na kobietę w piątym miesiącu ciąży. Zajrzała do torebki i przekonała się, że ma jeszcze około trzystu dolarów, co jej powinno w Zupełności wystarczyć na podróż.

O czwartej do drzwi mieszkania zadzwoniła Barbara Romano. Załatwiła sobie zwolnienie na dzisiejsze popołudnie. Popijając herbatę, zastanawiały się we trójkę, jak będą tłumaczyć przyjaciółom Susan ten jej nieoczekiwany wyjazd. Ustaliły, że umotywuują go depresją nerwową, w jaką wpadła Susan przeciążona pracą w redakcji. Depresja ta doprowadziła do porzucenia pracy i wyjazdu na czas nieokreślony do domu zdrowia w Maine.

Wyszły z domu i wsiadły do samochodu Barbary. Był to wygodny Chevrolet, bowiem Barbara, jeśli chodzi o samochody, miała gusty raczej tradycyjne.

Ruch był ogromny. Barbara, jak zwykle, prowadziła w sposób urągający zdrowemu rozsądkowi, odwracała się często do Flory Bramovitz - która siedziała z tyłu - aby jej opowiedzieć o wystawie swoich obrazów. Flora Bramovitz nie odzywała się ani słówkiem. Drętwiała z przerażenia, w każdej chwili spodziewając się wypadku, oczy jej bez przerwy wpatrywały się w ulicę. Susan wprost zachłannie wyglądała przez okno, zadając sobie pytanie, czy jeszcze kiedykolwiek w życiu zobaczy tę siarą kochaną dzielnicę Queens. Wreszcie dojechały na lotnisko Kennedy'ego i Barbara zatrzymała samochód naprzeciwko biura Air France. Flora Bramovitz wysiadła z wozu pierwsza.

- Barbaro - powiedziała tonem wymówki - jeżeli nie przyrzekniesz mi, że w drodze powrotnej będziesz prowadzić wóz ostrożniej, wezmę taksówkę.

Barbara zrobiła minę strofowanej dziewczynki.

- Przysięgam, że będę już grzeczna, proszę pani.

Kiedy Barbara ustawiała samochód na parkingu, Susan nadała bagaże. Musiała zapłacić prawie sto dolarów za nadwagę. Gdy Barbara zjawiała się w hallu, formalności były już załatwione i wszystkie trzy udały się do baru. Ale rozmowa jakoś się nie kleiła i kiedy przez głośnik zapowiedziano odprawę pasażerów odlatujących samolotem Air France z Nowego Jorku do Paryża, Susan podniosła się z prawdziwą ulgą.

Matka długo trzymała ją w ramionach. Łzy spływały jej po policzkach. Susan ledwo wstrzymywała się od płaczu. Czy jeszcze kiedyś w życiu zobaczy matkę? Czy nieobecność córki nie będzie jej zabijać - powoli, dzień po dniu? Rzuciła wzrokiem pełnym rozpaczony na Barbarę, a ona podeszła do matki i córki, złączonych uściskiem, i bardzo łagodnie odsunęła je od siebie. Potem ucałowała przyjaciółkę.

- Do widzenia, siostrzyczko. Bądź dobrej myśli. I powiedz Jacques'owi, żeby o ciebie dbał. Bo inaczej będzie miał ze mną do czynienia! Nie ma nic strasniejszego niż artystka malarka, która wpadnie w furie!

- Do widzenia, mamó. Do widzenia, Barbaro.

Szybko wmieszała się w tłum pasażerów, zmierzający w stronę wyjścia na płytę lotniska. Później, kiedy samolot oderwał się już od ziemi, ogarnęło ją dawno zapomniane poczucie bezpieczeństwa. Uczuła się wolna,

zaczęła sobie nawet wyrzucać, że jest egoistką, bo myśli tylko o sobie i nie zważa na to, ile swoim wyjazdem sprawia przykrości matce i przyjaciołom.

Kolacja była wyśmienita. Szczególnie smakował jej tournedos z sosem bearnais i babka z rumem. Za dwa dolary pięćdziesiąt wypożyczyła słuchawki i skończywszy posiłek słuchała przez dwie godziny wrzaskliwego programu jazzowego, w którym saksofon zagłuszał tenor Staną Getza. Siedziała sama. Samolot był niemalże pusty. Ułożyła jaśki i koce i wyciągnęła się wygodnie na trzech fotelach. Sen miała spokojny, a kiedy stewardesa ją obudziła, samolot schodził do lądowania na lotnisku Orly. Ledwie zdążyła wyskoczyć do toalety, lekko przemyć twarz wodą, uczesać się i poprawić makijaż.

Kiedy wyszła na pomost, wstrząsnął nią dreszcz. W Paryżu było tak samo zimno jak w Nowym Jorku.

Czekając w kolejce na kontrolę paszportową, spostrzegła Jacques'a. Pomachał jej ręką, a ona odpowiedziała mu tak samo i uśmiechnęła się radośnie. Celnik, nie kontrolując jej bagażu, dał znak, żeby przechodziła, i w pięć minut później znalazła się w ramionach Jacques'a. Po długim pocałunku odsunął ją od siebie na odległość ręki i zmarszczył brwi.

— Ależ schudłaś! Wybuchnęła śmiechem.

— To bardzo modne. Nie słyszałeś o Twiggy?

— Miałaś jakieś zmartwienia? Zachmurzyła się i skłamała:

- Chyba nie, myślę, że to raczej pewnego rodzaju depresja wynikająca z wariackiego trybu życia dziennikarki w piekle Nowego Jorku roku 1967.

- Biedna maleńka, znajdziemy na to lekarstwo. A teraz chodźmy.

Wziął od niej torbę i pociągnął za sobą.

Z przyjemnością znalazła się znowu w niewielkim domu przy ulicy Monceau. Wnętrze willi urządzone było nowocześnie i z wyszukany luksem.

Susan była zadowolona, nie znosiła bowiem antyków. Uważała, że są niewygodne, smutne, że działają deprymująco. Właśnie de-

prymująco. Dom miał dwa piętra i suterene zamienioną na garaż. Od ulicy dzielił go szeroki trawnik, przez który wiała się wąska cementowana alejka, ledwie pozwalająca na manewrowanie samochodem. Mimo dość dużego zanieczyszczenia powietrza, rosło tu parę wątłych akacji.

Dom był zbyt obszerny, jak na jedną osobę, ale Jacques utrzymywał, że często gości tu przyjaciele bawiących przejazdem w Paryżu. On sam zajmował tylko pierwsze piętro i parter. Starsza kobieta, która pełniła funkcje kucharki, służącej i sprzątaczkii jednocześnie, miała dla siebie nieduży dwupokojowy apartament na drugim piętrze. Wszystkie inne pokoje na tym piętrze były jednoosobowe.

Ranek i część popołudnia oddawali się miłości, co Susan nie zdarzyło się od rozstania z Jacques'em latem ubiegłego roku. Znalazła w tym prawdziwą rozkosz. Jacques w miłości był męski, a jednak łagodny, zdecydowany i zaborczy, pod koniec zaś brutalny. Musiała przyznać, że opinia, jakoby Francuzi byli świetnymi kochankami, jest całkowicie uzasadniona.

Wieczorem zabrał ją na kolację do malowniczej restauracji przy Saint-Germain-des-Pres.

Całą eskapadę zakończyli w jednym z nocnych lokali w tej samej dzielnicy. Był tam jakiś program rozrywkowy, ale Susan nie rozumiała połowy piosenek, polegających na grze słów.

Dopiero nazajutrz po obiedzie poruszyła dwie sprawy, które ją nurtowały: jej udziału w wydatkach na dom w czasie, kiedy będzie mieszkała u Jacques'a, oraz sprawę książki, którą miała zamiar pisać.

Jacques zaperzył się.

- Jeżeli kogoś do siebie zapraszam, nie mogę się zgodzić, by dzielił ze mną koszty utrzymania.

Susan surowo zmarszczyła brwi i udała zagniewaną:

- Ach tak? Więc tak często zapraszasz tu kobiety? Któryż to Ja mam kolejny numer w twoich książkach rachunkowych?

Ale zaraz spowaźniała.

- Posłuchaj Jacques...

Zrobił gest protestu.

- Nie. Pozwól mi skończyć. Ty zabierzesz głos po mnie. Uśmiechnęła się, żeby złagodzić ostre słowa.

— Rzuciłam pracę w redakcji, ponieważ mam zamiar napisać książkę.

— Książkę? O czym? O Francuzach?

— Nie. Nie o Francuzach. Ale, moim zdaniem, Francja jest idealnym miejscem do pisania. Co będzie tematem książki, wyjaśnię ci innym razem.

— Myślałem zawsze, że dziennikarze są lichymi pisarzami.

— Jeżeli zaczniesz kwestionować mój talent, zanim jeszcze wystukam pierwszą linijkę, wsiadam z miejsca do samolotu i wracam do Nowego Jorku.

— Dobrze, dobrze. Mów dalej.

— Pisanie książki zabierze mi kilka miesięcy. Trudno dokładnie powiedzieć ile. Może nawet rok. Ryzykujesz zatem, że będziesz mnie miał na karku przez diabelny kawał czasu.

Stwierdziła z zadowoleniem, że Jacques nie wydaje się przerażony taką perspektywą.

- - A zatem zależy mi, ażeby z góry jasno postawić dwie sprawy. Primo, w dniu, kiedy będziesz miał mnie dosyć, wyrzucasz mnie z domu.

Otworzył usta, by zaprotestować.

- Zaczekaj. Secundo, ja płacę za siebie. Jeżeli się na te warunki nie zgodzisz, przeniosę się do hotelu.

- Pierwszy raz spotykam dziewczynę taką jak ty.

— Powiedz, że się zgadzasz. Wzruszył ramionami, zażenowany.

— Dobrze, zgoda, jeżeli już tak się upierasz.

Susan sama ustaliła, jaką sumę będzie wpłacać na koszty swego utrzymania, zgodziła się natomiast, że wszystkie eskapady będzie finansował Jacques.

- Teraz zaś druga sprawa, kochanie - dodała. - Jak najwcześniej chciałabym zacząć pisać książkę. Muszę zwrócić dług - dziesięć tysięcy dolarów.

Podskoczył.

— Dziesięć tysięcy dolarów! Chyba oszalałaś! Pożyczyłaś dziesięć tysięcy dolarów?

— To raczej zaliczka niż pożyczka. Drobną różnicą. Na pisanie książki. Bez określonego terminu zwrotu, przy tym osoba udzielająca pożyczki tych pieniędzy nie potrzebuje. Mimo to chciałabym je zwrócić jak najprędzej.

— A któż to taki, ten dobroczyńca? Uśmiechnęła się wyrozumiale.

— Nic z tych rzeczy, które sobie wyobrażasz. Potrząsnął głową.

- Ależ Susan, możesz zaczynać, kiedy tylko zechcesz. Na pierwszym piętrze jest pokój, który na pewien czas zamieniłem na biuro, zanim nie zainstalowałem się ostatecznie w bibliotece na parterze. Czemu byś nie miała go zająć? Nikt ci tam nie będzie przeszkadzać.

- Cudownie, kochanie. Zachmurzył się raptownie.

— Mam nadzieję, że mi wybaczysz, Susan. Muszę wyjechać na pewien czas z Paryża. To sprawa, która ciągnie się już bardzo długo, zresztą zupełnie niepotrzebnie, ale teraz muszę ją uregulować jak najszybciej.

— Oczywiście, Jacques. Przede wszystkim absolutnie nie chciałabym być dla ciebie ciężarem, a widzę, że już jestem.

Zaprotestował.

- Pamiętaj, Susan, że swoją obecnością tutaj nie sprawiasz żadnego kłopotu. Zostajesz u mnie. Marcelle, moja służąca, zajmie się tobą.

Poprzez stół ścisnęła jej dłoń.

- I jeszcze chcę ci powiedzieć, że bardzo, bardzo się cieszę, że tu jesteś.

Susan zrobiło się lekko na sercu. Zresztą od momentu wylądowania w Paryżu miała uczucie, że była po prostu śmieszna ze swoimi obawami.

Jacques wyjechał w następnym tygodniu. Ani słowem nie wspomniał, jaką sprawę miał załatwić, a Susan nie zadawała pytań. Wyjechał bardzo wcześnie, koło godziny szóstej rano, i przez sen Susan poczuła jego usta na swoich. Mruknęła coś niewyraźnie i pogrzyżyła się we śnie.

Czekała do jego wyjazdu, aby zabrać się do książki. Tego samego dnia zainstalowała się w pokoju, który dla niej przeznaczył Jacques, i przerzuciła swoje notatki. Wystukała na maszynie konspekt powieści. Pierwszy dzień zszedł na wnoszeniu do tego konspektu koniecznych poprawek.

Fabula miała przedstawiać życie Jake'a DeGroota, człowieka, który ponad wszystko kochał sukces, tak jak inni mężczyźni kochają kobiety. Piękny, inteligentny, przebiegły. Szermierz nowoczesnego stylu w świecie interesów, lansujący nowe pomysły, które dają ogromne zyski, członek sztywnych rad administracyjnych. Ludzie bali się go, zazdrościli mu, nienawidzili go. Kobiety mu ulegały. Jake DeGroot zbudował olbrzymie imperium sukcesu, otoczone niebotycznymi górami pieniędzy. W wieku lat czterdziestu rzucił się w wir walk politycznych. Ale jego przeciwnicy wygrzebali jakąś brzydką aferę, w którą był zamieszany za młodu, kiedy miał siedemnaście lat... I oto cały gmach sukcesu runął w gruzy...

Susan doskonale знаła temat. Kiedy zbierała materiały do jednego ze swoich reportaży, otarła się z bliska o człowieka, który był prototypem postaci Jake'a DeGroota. Była pod ogromnym urokiem tej fascynującej osobowości, tak samo zresztą jak inne kobiety, które miały okazję się z nim zetknąć. Ale ostrożność ostrzegła ją, że musi uciekać od niego jak najdalej, zanim zostanie złamana, tak jak inne.

Raz jeszcze przepisała na maszynie poprawiony konspekt i postanowiła, że nazajutrz prześle go Barbarze, która miała go dać Craigowi Greenwaldowi. Craig, jeden z licznych przyjaciół Daniela Rosenkranza, był dyrektorem znanego nowojorskiego wydawnictwa Simon i Schuster. Barbara przysięgała, że nie da żyć Danielowi, dopóki nie uzyska opinii Craiga o konspekcie. Jeżeli historia jest licha, nie ma sensu upierać się przy niej. Craig Greenwald to przecież ekspert w tej materii i jego sąd ma wagę złota. Oczekując na odpowiedź, może rozpocząć pracę nad pierwszymi rozdziałami, nic innego nie miała do roboty w czasie nieobecności Jacques'a.

Trzeciego dnia, kiedy siedziała zadumana, próbując naszkicować postać głównego bohatera powieści, mimo woli pomyślała o Jacques'u, i któryś już raz z kolei zaczęła się zastanawiać, z czego żyje.

Żył na wysokiej stopie, skąd jednak czerpał dochody? Wydawało się, że nie ma regularnego zajęcia. W bibliotece, którą zamienił na biuro, nie było ani żadnych teczek, ani dokumentacji,

a na dużym stole, stojącym pośrodku pokoju, Susan nigdy nie widziała żadnego listu handlowego. Nigdy również Jacques nie wspominał, że ma jakieś biuro na mieście. Gdyby nawet zresztą tak było, kiedy by tam bywał?

Może po prostu żył z procentów od jakichś ogromnych kapitałów? Wprawdzie dzięki zmianom społecznym znacznie zmniejszyła się liczba ludzi, którzy mogli sobie jeszcze pozwolić na to, by żyć z procentów, ale w Europie, zresztą także i gdzie indziej, istniała jeszcze nieliczna grupa uprzywilejowanych. Być może Jacques również należał do tej kategorii. To wprawdzie mało prawdopodobne, ale nie wykluczone. Przerwała te rozmyślenia, bowiem uznała, że to nie jej sprawa, i znowu poświęciła się swojej powieści. Nieobecność Jacques'a trwała dwanaście dni.

Przez ten czas nie otrzymała od niego najmniejszego znaku życia - nie napisał listu ani kartki, nie zatelefonował. Była więc rozgoryczona i zasmucona, ale poprzysięgła sobie, że nie będzie mu robić wymówek. Wreszcie któregoś dnia po południu usłyszała warkot zajeżdżającego samochodu. Podbiegła do okna. Wrócił! W jednej chwili zapomniała, ile jej przykrości sprawił swoją nieobecnością i milczeniem. Po przywitaniach Jacques zaczął ją przeproszać, że nie dawał znaku życia, tłumaczył się, iż był szalenie zajęty. Susan zachowywała się tak, jakby nie miało to dla

żadnego znaczenia. Potem wręczył jej mały podłużny pakiecik To dla ciebie, żebyś mi wybaczyła moje milczenie.

Jacques, a nasza umowa?

O podarunkach nie było w niej mowy, kotku. była zachwycona. Pospiesznie otworzyła pakiecik. Na poduszce z fioletowego aksamitu mienił się przepiękny złoty łańcuszek a na nim napis: "Cartier - Paris, Londres, New York"

nic więcej. Nie, ten klejnot nie zdradzi jej nazwy miejscowości, do której wyjeżdżał Jacques.

Brooklyn, New York City, USA.

Luty 1968

Harry Shulz zaparkował samochód przy chodniku na Shore Road w Brooklynie, od strony zatoki. Panowało przejmujące zimno. Na ulicach przechodniów było niewiele. Na trawniku grupka dzieci w ciepłych ubrankach zawzięcie trenowała mini-baseball. Żywe kolory ich ubranek rozweselały nieco ten smutny i ponury ranek.

Ćmiąc z roztargnieniem papierosa, Harry Shulz dyskretnie obserwował bramę budynku, w którym mieszkała Flora Bramovitz. Prowadziła ona życie regularne, co Shulzowi ułatwiało zadanie. Co dzień wychodziła z domu o tej samej godzinie, zakupy robiła zawsze w tym samym sklepie na Czwartej Avenue, który był znany z wysokiej jakości i dużego wyboru towarów.

Upłynęły już cztery miesiące od dziewiątej fazy operacji. Flatters siedział w więzieniu Corpus Christi. Ale on nie puści farby. Nie może sobie na to pozwolić. W dalszym ciągu zresztą bardzo energicznie zaprzeczał, jakoby miał jakiegokolwiek zbrodnicze intencje w dramacie, który rozegrał się w komendzie głównej policji Corpus Christi.

Od tej strony wszystko grało.

Niestety, kiedy Shulz chciał przejść do fazy numer 10 i numer 11, spostrzegł, że oba cele się ulotniły. A przecież, zgodnie z instrukcją, skrócił odstęp czasu, jaki miał dzielić obie fazy. Jego zdaniem dwa miesiące to przerwa dość krótka. I ryzykowna. Mimo to cele zdążyły się ulotnić.

Harry Shulz, który był człowiekiem raczej inteligentnym, natychmiast skojarzył zlikwidowanie numeru 9 ze zniknięciem numerów 10 i 11. Mimo że dysponował ogromnymi środkami na tropienie zbiegów, śledztwo jego znalazło się w impasie.

Cel numer 10 była to gruba ryba. Nie postępuje się przecież w ten sam sposób z milionerem, jak z kierowcą taksówki, striptiserką, czy sprzedawcą w sklepie z żelastwem. Milionerzy są ponad szarymi ludźmi. Trzeba się z nimi obchodzić w białych rękawiczkach. A przy tym rodzina faceta jest bardzo wpływowa. Odnalezienie jego śladów będzie wymagało wiele czasu

i pieniędzy, ale przede wszystkim zręczności, finezji i sprytu. Znacznie łatwiejsza sprawa to numer 11. A nawet, ponieważ numery 10 i 11 zniknęły w tym samym czasie, nie można wykluczyć, że znajdują się razem w tym samym miejscu. A może łączą ich jakieś uczucia? Wprawdzie śledztwo Shulza tego nie odkryło, ale nigdy nic nie wiadomo. Tak czy owak oboje zniknęli jednocześnie, z czego można wyciągnąć logiczny wniosek, że jedno wie, gdzie znajduje się drugie, i na odwrót, jeżeli nawet nie są razem.

Wydawało się zatem, że najłatwiejszym i najbardziej logicznym wyjściem z sytuacji będzie rozpoczęcie działań od numeru 11.

Śledztwo prowadzone przez Shulza wskazywało dwa możliwe kierunki. Pierwszy to matka. Drugi - najlepsza przyjaciółka numeru 11, Barbara Romano.

Gdziekolwiek znajduje się numer 11, będzie przecież korespondować z pierwszą albo drugą z tych osób. Jednakże najprawdopodobniej wymiana korespondencji będzie znacznie intensywniejsza między matką a córką aniżeli między dwoma przyjaciółkami - a trzeba jeszcze wziąć pod uwagę trochę cygańską naturę Barbary Romano, która na pewno nie lubi pisać listów.

Przyjmując pierwszą hipotezę, będziemy mieli do czynienia

z wdową, matką jedynej córki, kobietą, która na pisanie listów może poświęcać całe długie dni. Shulz w gruncie rzeczy obawiał się, że oba cele domyśliły się, iż grozi im niebezpieczeństwo. Fakt ten może zwiastować prawdziwą katastrofę.

Tak więc likwidacja numerów 10 i 11 stawała się sprawą nagłą. I Shulz był przekonany, że numer 11 zaprowadzi go do numeru 10. Chcąc sprawdzić swoją teorię, od dwóch tygodni co dzień rano i po południu Shulz śledził każdy ruch Flory Bramovitz. Codziennie rano, z wybiciem godziny dziesiątej, wychodziła z domu i niezmiennie szła tą samą trasą.

Dziewięćdziesiątą Drugą ulicą dochodziła aż do Czwartej Avenue, tu robiła zakupy i wracała do domu. Ani razu nie zatrzymała się w urzędzie pocztowym przy Fort Hamilton. Zresztą nie otrzymywała wiele listów. Było w tym coś dziwnego. Trudno wyobrazić sobie, by córka, która musiała wyjechać, pozostawiała matkę bez wiadomości o sobie.

Harry Shulz wycęzał całą swoją inteligencję, zły, że takiego fachowca jak on trzyma w szachu jakaś mała niezguła. Rozmyślał długo i intensywnie i doszedł do wniosku, że w dwóch momentach Flora Bramovitz wymyka się spod jego obserwacji. Raz w momencie, kiedy wychodzi za próg swojego mieszkania, ale znajduje się jeszcze w obrębie budynku - zanim znajdzie się na ulicy.

Drugi raz, gdy dokonuje zakupów w samym sklepie. Dotychczas Harry Shulz ograniczał się do wystawiania na ulicy, czekając, aż Bramovitz wyjdzie z domu. Nigdy również nie wchodził

do sklepu. Jego plan akcji oparty był na przekonaniu, że lada dzień Flora Bramovitz musi zająć do urzędu pocztowego przy Fort Hamilton, by wysłać list do córki.

Tego jednak dnia postanowił zmienić taktykę. Wsiadłszy z samochodu przeszedł szybko na drugą stronę ulicy i wszedł do budynku. Zbliżała się dziesiąta. Wpadł do windy, wysiadł na ósmym piętrze i zaczął chodzić tam i z powrotem po korytarzu.

Nie pomylił się. Drzwi się otworzyły. Szybko skrył się za węglem korytarza.

Kiedy Flora Bramovitz otworzyła windę, rzucił się za nią, lekko potracił, wyjąkał jakieś przeprosiny i stanął obok niej.

Ona zupełnie nie zwróciła na niego uwagi.

Znalazłszy się na dworze, skierowała się w stronę Dziewięćdziesiątej Drugiej ulicy.

Shulz wrócił do swojego samochodu, zamienił płaszcz elegancki na stary, nieprzemakalny, który leżał na tylnym siedzeniu, i włożył miękki pilśniowy kapelusz.

Uruchomił silnik, pojechał w górę Dziewięćdziesiątej Drugiej ulicy i minął Florę Bramovitz, która drobnymi kroczkami dreptała po chodniku. Obserwował ją w lusterku, ale nie zauważył, by się z kimkolwiek kontaktowała.

Skręcił w Czwartą Avenue, zaparkował samochód i wciąż obserwując swoją ofiarę w lusterku czekał, aż podejdzie bliżej.

Gdy znalazła się w sklepie, wysiadł z samochodu, wszedł za nią i wmieszał się w tłum kobiet tłoczących się przy ladzie.

Natychmiast dostrzegł Florę Bramovitz; stała przed ladą, gdzie sprzedawano koszerne mięso. Musiała być Żydówką. Podszedł do niej sprzedawca w starszym wieku, ubrany w długi biały fartuch i białą czapkę.

Harry Shulz przerzucił torebki z zupami w proszku, ale jego przenikliwy wzrok nie stracił z tej sceny najmniejszego szczegółu.

Człowiek w fartuchu miał niebieskie wyblakłe oczy, nadmiernie powiększone przez grube okulary w stalowej oprawie. Szybko zamienił kilka słów z Florą Bramovitz, ale Harry Shulz nie zdołał zrozumieć, o czym mówią, w sklepie bowiem było dość gwarно, następnie wziął plastikową torbę, którą podała mu klientka, i schylił się pod kontuar.

Kiedy się wyprostował, torba była pełna pakunków. Podał ją Florze. Zamienili jeszcze parę słów, po czym ona podeszła do kasy. "Stała klientka - pomyślał Harry Shulz. - Cieszy się tu specjalnymi względami". Zwykle towar wydaje się klientom do-piero po zainkasowaniu sumy przy kasie. Sprzedawca i klientka zachowują się jak starzy znajomi. Może ten poczciwina jest skrzynką na listy? Harry Shulz postanowił się upewnić. Wyszedł ze sklepu za Florą Bramovitz i śledził ją w jej drodze powrotnej do domu. Ale i tym razem przeszła obok urzędu pocztowego przy Fort Hamilton nie zatrzymując się.

Dwaj chuligani z długimi jasnymi włosami, obdarci, w połatanych kanadyjkach, stali podpierając ścianę budynku poczty i dla rozgrzewki bili się po udach rękami w grubych rękawiczkach. Harry Shulz zatrzymał samochód.

Jeden z nich, młody chłopak o twardym spojrzeniu, chwiejąc się lekko, podszedł do niego. Harry Shulz opuścił szybę i chłopak oparł się o drzwiczki. Harry Shulz ścisłym głosem wydał mu jakieś instrukcje. Chłopak kiwnął głową, wrócił do kolegi i zaczął z nim szeptać. Harry Shulz popatrzył na zegarek. Miał dużo czasu. Bar Mc Cains, który był tuż obok, wyglądał gościnnie. Postanowił wejść i rozgrzać się przy podwójnej whisky. Zimno było przejmujące.

Rozsiadłszy się wygodnie w barze, sączył powoli whisky, czekając, aż nadejdzie pora obiadu. Czuł się trochę przygnębiony, co zdarzało mu się raczej rzadko.

Z szafy grającej płynął ciepły głos czarnej śpiewaczki, budzący nastrój melancholii.

W pustce ogromnej... Gdzie ludzie toną. Któż myśli o ich lękach? Któż słyszy jeszcze ich głos?

Harry Shulz w myśli zaśmiał się szyderczo. Przecież to dzięki niemu właśnie ludzie toną w tej ogromnej pustce. I jeżeli jakieś głosy milkną na zawsze, to właśnie dzięki niemu, specjaliście, zawodowcowi od ciszy, śmierci przed czasem. Kieliszek był pusty. Kusiło go, by zamówić jeszcze jeden, ale miał przed sobą poważne zadanie. Nigdy nie wolno lekceważyć swoich obowiązków.

Kiedy wstał, by uregulować rachunek i wyjść z baru, ogarnęło go nagle uczucie, że dźwiga cały świat na swoich barkach.

Tak ogromna odpowiedzialność przypadała mu w udziale! Ale otrząsnął się z tego szybko i wyrzucał sobie tę chwilę słabości, dziwiąc się jej w myśli. Na ogół nie był skłonny do ulegania takim nastrojom.

Lodowaty wiatr zamiatał ulice, przylepiał brudne papiery do karoserii samochodów. Było samo południe. Tłumy drobnych urzędników, przemarzniętych do szpiku kości, spieszyły w stronę sąsiednich kafejek i barów na obiad. Postawił kołnierz nieprze-makalnego płaszcza żałując, że nie włożył czegoś cieplejszego. Spod oka śledził obu chuliganów. Próbowali się rozgrzać wszelkimi sposobami. Nieco dalej grupka dzieci, chłopców i dziewcząt, ustawiła się, by przejść przez ulicę. Potrąciło go dwóch murarzy, którzy wyglądali, jakby byli zmarznięci na kość. Przepchnęli się przez tłum i zniknęli w barze Mc Cains.

Jego doświadczone oko ślizgało się po twarzach przechodniów. Twarzach osowiałych, o posepnym i zmęczonym wyrazie, twarzach, które smagał bezlitośnie lodowaty wiatr północny dmą od zatoki. Szarzy ludzie, zarabiający nędznie, żyjący bez nadziei. Z daleka dostrzegł sprzedawcę koszerne go mięsa. Olbrzymi czarny płaszcz spowijał go jak opończa, na głowie miał stary szary kapelusz z rondem opuszczonym na czoło. Brudny wełniany szalik chronił przed zimnem dolną część twarzy. Ale Shulz znał go od razu po okularach w metalowej oprawie. Odwrócił się w stronę dwóch chuliganów, którzy obserwowali go, i zrobił lekki ruch ręką. Ten, z którym rozmawiał przed godziną, skinął głową. Harry Shulz odwrócił się i ruszył naprzeciw sprzedawcy. Patrzył w górę, udając, że go nie dostrzega, i potrącił go ramieniem.

- Ej, co pan wyrabia?! - oburzył się sprzedawca. - Nie mógłby pan uważać?! Harry Shulz wybąkał jakieś niewyraźne słowa przeprosin, odszedł jeszcze kilka kroków i stanął.

Sprzedawca doszedł już do budynku poczty. Wtedy obaj chuligani jednocześnie rzucili się na niego. Przez chwilę trwała szamotanina, po czym obaj chłopcy uciekli co sił w nogach, a policjantka ze służby pomocniczej zaczęła rozpaczliwie gwizdać.

Shulz wolnym krokiem wrócił do samochodu. Stary sprzedawca stał na chodniku pośrodku grupki przechodniów i z ożywieniem gestykułował. Policjantka pobiegła w kierunku poczty.

Napady w Nowym Jorku są zjawiskiem tak nagminnym, że mało prawdopodobne, by komisariat policji wysłał na miejsce przestępstwa wóz patrolowy.

Harry Shulz, nie spiesząc się, wsiadł do samochodu i odjechał na wolnym biegu. Dwaj chuligani siedzieli na ławeczce w Shore Road na tarasie, który wznosił się nad autostradą. Jeden z nich bez słowa wręczył mu list. W zamian za to dwa pięćdziesięcio-dolarowe banknoty powędrowały do jego brudnej ręki. Chłopak przyjrzał się im z zachwytem, po czym mrugnął okiem do Shulza.

- Pracować dla pana to prawdziwa przyjemność. Jak pan będzie nas potrzebował, wie pan, gdzie nas szukać. Do zobaczenia.

Harry Shulz uśmiechnął się do niego i zasunął szybę. Podobał mu się charakterystyczny nowojorski akcent chłopca, przypomniała mu się jego własna młodość.

Zrobił nieokreślony ruch ręką na znak pożegnania, wsunął list do wewnętrznej kieszeni marynarki i ruszył w kierunku Manhattanu. Gratulował sobie w duchu, okazało się bowiem, że miał rację podejrzewając, iż rolę pośrednika w korespondencji gra ów stary sprzedawca.

Wróciwszy do domu, nalał sobie pełną szklankę whisky, którą wychylił duszkiem, żeby się rozgrzać. Dopiero potem wyjął z kieszeni list. Kiedy zobaczył na kopercie ręcznie wypisany

adres: "Jacques Berger, rue de Monceau, Paris - France", zimny dreszcz przebiegł mu po plecach.

Palce gorączkowo rozrywały kopertę. Wysunęła się z niej druga. Na niej figurowało tylko imię i nazwisko: "Susan Bramovitz".

Otworzył drugą kopertę i szybko przebiegł oczyma list Flory Bramovitz. Głędzenie starej kobiety. Same banały. Ani jednej interesującej informacji.

Jeszcze raz odczytał nazwisko i adres na pierwszej kopercie. To tyle do wiary! W jakiż to diaboliczny sposób Susan Bramovitz udało się nawiązać kontakt z Jacques'em Bergerem?

Druga szklanka whisky ostudziła jego wzburzenie. Teraz musi działać błyskawicznie. Przede wszystkim telefonować do Nowego Orleanu, zawiadomić o wszystkim Komitet i odebrać polecenia. Z pewnością zażądają, żeby wyskoczył do Paryża. Ta perspektywa wprawiła go w dobry humor. Uwielbiał Paryż.

Manhattan, New York City, USA.

Luty 1968

Harry Shulz zjadł doskonałą kolację w niewielkiej wiedeńskiej restauracji na Osiemdziesiątej Szóstej Ulicy Wschodniej, tuż przy Trzeciej Avenue. Uregulował rachunek, zostawił królewski napiwek, opuścił lokal i po schodkach zszedł na chodnik.

Jego luksusowy apartament na East Side znajdował się dwa kroki stąd. Wolno ruszył w stronę Park Avenue. Postanowił spędzić spokojny wieczór w domu, przy butelce dobrej whisky i przed telewizorem, jeśli akurat trafi na jakiś przyzwoity program.

Otworzył butelkę whisky, kiedy zadzwonił telefon.

- Pan Shulz?

Z miejsca poznał wytworny głos z lekkim akcentem Południa.

— Shulz przy aparacie. Dobry wieczór panu.

— Dobry wieczór. Prosił mnie pan o spotkanie?

— Tak, proszę pana.

— Świetnie się składa, bo ja właśnie miałem zamiar nawiązać kontakt z panem.

— Jestem do pana usług. Kiedy?

— Jutro po południu.

— Dobrze. W Central Park, o tej samej godzinie co zwykle?

— Tak, o tej samej godzinie. Ale nie w Central Park. To miejsce nie podoba mi się, postanowiłem więcej tam nie chodzić. Co krok człowiek natyka się na hippiesów, włóczęgów,

wszelkiego rodzaju ludzi, którzy działają na mnie przygnębiająco. To potworne. Nie, wolę Cloisters. Cloisters. Oczywiście. Dziękuję. Dobranoc, panie Shulz. - Dobranoc panu.

Powiesił słuchawkę, nalał porządną porcję whisky, nacisnął guzik z boku lodówki, zainstalowanej wewnątrz baru z mahoni, i dwie kostki lodu wpadły do szklanki.

Westchnąwszy głęboko, zrezygnował z telewizji. Potrzeba mu było czegoś bardziej ekscytującego niż stary film z Errolem Flynnem i Olivia de Havilland, przerywany zresztą reklamowymi wstawkami sławiącymi zalety piwa Budweiser czy też produktów żywnościowych Libby.

Opróżniwszy pół szklanki, postanowił zatelefonować do Clary Brodsky - damy znanej z tego, że dostarczała na zamówienie najpiękniejsze dziewczęta z New York City. Ceny były u niej wygórowane - dwieście pięćdziesiąt dolarów za noc - ale klient w zamian za to otrzymywał usługi wyjątkowej jakości i niezwykle oryginalne. Ze wzruszeniem wspominał statystkę z cieszącej się dużym powodzeniem sztuki granej na Broadwayu. Po spektaklu zaprosił ją na kolację, potem do siebie. Potrafiła wypełnić nadzwyczaj umiejętnie dalsze godziny nocne. Jakże ona się nazywała? Sylwia? Cyntia? Celia?

A może... Zawahał się. A może jakiś chłopczyk? Chłopcy podniecali go tak samo jak dziewczyny. Cała różnica polegała na tym, że mimo wszystko o wiele szybciej nudzili mu się chłopcy, bowiem niektórzy z nich przejawiali przerażającą wprost chciwość oraz, co gorsza, niebezpieczny brak dyskrecji i ciekawość. A dzisiejszego wieczoru Harry Shulz tęsknił zarówno za odprężeniem fizycznym, jak i za spokojem ducha. Zdecydował się wręcić na Clarę Brodsky i nakręcił jej numer. Panna do towarzystwa przez całą noc niezmiernie demonstrowała całą gamę swoich talentów, świadczących o ogromnej runie zawodowej - mimo jej młodego wieku - jak również skłonnościach, których wprost nie wypadało w pełni nie wykorzystać.

Tak więc na drugi dzień rano Shulz jechał do Cloisters w doskonałym nastroju, nucąc wesołą melodię. Dzień był bardzo zimny, ale w samochodzie panowało przyjemne ciepło. Czuł się cudownie. Od momentu przebudzenia był jakby w euforii. Clara Brodsky była naprawdę królową stręczycielek. Nie mógł się uskarżać na towar. Pierwsza kategoria. I mimo że było to surowo zakazane przez okropną Clarę, Sandra zgodziła się, rzecz jasna z pewną rezerwą, podać mu numer swojego prywatnego telefonu. Ta dziewczyna niewątpliwie warta była, żeby się z nią spotkać po raz drugi. Harry Shulz przyrzekł to sobie, mimo że ta decyzja była sprzeczna z bardzo surowymi regułami bezpieczeństwa, jakich się trzymał.

Na West Parkway panował bardzo duży ruch. Shulz dotarł do Fort Tryon Park i skierował się w stronę Dziewiętnastej ulicy i Fort Washington Avenue.

Wkrótce potem parkował samochód przed Cloisters. Dla Harry Shulza, urodzonego bardzo blisko Bowery, nowojorskiej ulicy nędzy, zakochanego w rodzinnym mieście i idącego przez życie o własnych siłach, Cloisters z Biblioteką Miejską i Muzeum Gugenheima stanowiło szczyt sztuki. Z pewną pobłażliwością odnosił się do Europejczyków, nie potrafili bowiem uchronić swoich skarbów architektury, skarbów, które zniknęłyby, pozostawione niszczycielskiej sile czasu, gdyby Amerykanie, rozmiłowani w sztuce, nie przetransportowali ich do Nowego Jorku.

W samej rzeczy, cały kompleks nazywany Cloisters wzniesiono wykorzystując ruiny kościołów, opactw, klasztorów, monasterów Francji, Włoch, Austrii, Hiszpanii, Niemiec, przewiezione z ogromnym nakładem kosztów z Europy do Ameryki. Amerykanie, których nazwiska wyryte były złotymi literami na marmurowych tabliczkach, z godną podziwu cierpliwością przemierzali najbardziej malownicze miejsca Europy. Pakowali z pietyzmem stare kolumny, posągi, rzeźby i wysyłali do Nowego Jorku.

Inni znowu niezmiernie biegali po licytacjach. A potem w Nowym Jorku rekonstruowano drobiazgowo kawałek po ka-

wałku klasztor, kruchty kościelne, kaplice, ołtarze, portale, puste miejsca wypełniano betonem i wreszcie powstało to skupisko bogactw artystycznych skarbów architektury - Cloisters. Splątały się tu różne style, sąsiadujące obok siebie. Dziesiąty, jedenasty, dwunasty, trzynasty wiek - styl francuski, włoski albo hiszpański. Najpiękniejszym chyba fragmentem był wspaniały klasztor francuskiego opactwa jedenastego stulecia, on zresztą dał nazwę temu fantastycznemu nagromadzeniu pomników architektury. Owe monstrancje, klęczniki, obrazy

religijne, organy, kazalnice lub konfesjonały z tych samych epok, rozrzucone po świecie potężnym podmuchem rewolucji francuskiej, zwieziono tutaj różnymi krętymi ścieżkami, by zaludnić ten kamienny świat.

Bezcenny gobelin - w rodzaju tego, który można podziwiać w zamku Chenonceaux we Francji - przedstawiający koronację króla francuskiego Karola VIII, wisiał w jednej z sal rozlewając na jej ścianach czerwone i złote barwy przeszłości.

Zatopiony w kontemplacji nad gobelinem, Harry Shulz drgnął nagle, bowiem ktoś lekko dotknął jego łokcia. Odwrócił się gwałtownie i znalazł się oko w oko z mężczyzną, którego znał pod kryptonimem Dixie i który wyznaczył mu spotkanie w tym miejscu. Na twarzy mężczyzny błąkał się lekki uśmiech.

- Dzień dobry, panie Shulz. Cóż pan taki nerwowo! Czyżbym pana zaskoczył? Głos miał łagodny, z ledwie zauważalnym odcieniem szorstkości, którą łagodził nieco śpiewny akcent Południa. Był to mężczyzna wysokiego wzrostu, szczupły, wąski w ramionach. Gęste szpakowate włosy, krótko ostrzyżone, twarz delikatna, rasowa, bardzo opalona, o policzkach nieco zapadłych; broda kwadratowa, energiczna; oczy niebieskie, zimne i przenikliwe. Ubrany z wyszukaną elegancją. Krawat nie rzucający się w oczy, ale bardzo drogi, ledwie przykryty futrzanym kołnierzem czarnego płaszcza.

- Dzień dobry panu. Podziwiałem to чудо.

- Cudo to bardzo trafne słowo. To jest naprawdę cudowne w porównaniu ze współczesnymi szkaradziejstwami. Widok tych

klejnotów sztuki przywraca mi ochotę do życia, daje mi siły do kontynuowania naszego wspólnego dzieła. Wziął go pod ramię i popchnął ku wyjściu.

— Idziemy? Proszę mi wybaczyć, że przerwałem panu kontemplowanie tych skarbów. Niech mi pan wierzy, wolałbym przyłączyć się do pana, niestety, mamy bardzo ważne sprawy do omówienia, a czas nagli. Po południu muszę wyjechać z Nowego Jorku. Czy nie boi się pan mrozu, panie Shulz?

— Ubrałem się ciepło. Ja jestem Nowojorczykiem, wie pan... - dorzucił z odcieniem ironii w głosie.

— Słusznie. A zatem wyjdźmy. Będziemy mogli swobodniej porozmawiać.

Oparli się łokciami o balustradę. Ziąb zapewniał im absolutne odosobnienie. Pod nimi Hudson toczył swoje szare wody. Przed nimi most Waszyngtona rozplątywał się w mgłę. Harry Shulz zapalił papierosa, chcąc chronić gardło. Dym z tytoniu uważał za skuteczny środek przeciwko grypie. W połączeniu z whisky zapewnia całkowitą odporność.

Dixie od razu przeszedł do sedna sprawy:

- Panie Shulz, muszę powiedzieć, że Komitet na swoim ostatnim posiedzeniu wyraził wyjątkowe zadowolenie z rezultatów pańskiej działalności. Upoważnił mnie również do przekazania panu najserdeczniejszych gratulacji, do których dołączam swoje własne.

Harry Shulz skłonił głowę w geście podziękowania.

- Gratulacje te zresztą należą się w pewnej mierze i mnie, ponieważ to ja odkryłem pańskie talenty.

- To prawda, proszę pana - przyznał Shulz.

- Ponieważ każdy trud zasługuje na nagrodę, wykorzystałem pozytywne nastawienie Komitetu wobec pańskiej osoby i poprosiłem o podwyżkę pańskiego honorarium.

Szeroki uśmiech rozjaśnił oblicze Shulza.

- Wiedziałem, że potrafi pan docenić tę dobrą wiadomość, panie Shulz.

- Dziękuję bardzo za interwencję w mojej sprawie.

Nie potrzebuję dodawać, że mój wniosek został z miejsca •przyjęty, podobnie jak cyfra, którą zaproponowałem.

- To znaczy? - zapytał Shulz z zainteresowaniem.
- Pięćdziesiąt procent podwyżki.
- Pięćdziesiąt procent? - głos Shulza zadrzął.
- Całkowicie pan na to zasługuje. Co więcej, chcemy panu zaproponować pracę bardzo delikatną, wymagającą wiele zręczności. Zresztą o tym za chwilę. Wypada przecież, aby pan miał umysł wolny od wszelkich trosk materialnych - głos jego zabrzmiał lekkim sarkazmem. Harry Shulz od dawna wiedział, że Dixie nie znosi, kiedy mu się przerywa i zadaje niepotrzebne pytania. Uwielbia za to długie monologi, recytowane głosem jednostajnym w stylu nieco wyszukany. Powstrzymywał się więc od jakiegokolwiek uwagi.
- Aha, byłbym zapomniiał, panie Shulz. W ostatnich czasach miał pan poważne wydatki. O szczegółach jesteśmy dobrze poinformowani. Uregulujemy wszystko zaraz jutro, w ten sam sposób co zawsze. - Przerwał na chwilę. - Żałuję, że nie wziąłem dziś kapelusza, naprawdę jest bardzo zimno. Wzrokiem pełnym zazdrości rzucił na wspaniałą karakułową czapkę, w której paradował Shulz.
- Może pan woli wrócić do budynku? - zapytał Shulz.
- Nie. Wszystko w porządku. Jak ci Nowojorczyści mogą przyzwyczać się do tego klimatu?
- Trzeba się tu urodzić, proszę pana. Wie pan, to jest najpiękniejsze miasto na świecie. Dixie uśmiechnął się ze zrozumieniem.
- Pan łaskawie przesadza, panie Shulz, ale zostawmy ten temat i przejdźmy do rzeczy, która mnie sprowadza. Jak wygląda sprawa z numerem dziesięć i jedenaście?
- Numer dziesięć ulotnił się, jak panu mówiłem. Do tej pory nie mogłem trafić na jakikolwiek trop. Jestem pewien, że już od pewnego czasu myślał o tym i starannie przygotowywał to zniknięcie.
- To zupełnie możliwe.
- I to właśnie wyjaśnia absolutny brak jakichkolwiek śladów Na ogół w tego rodzaju wypadkach zawsze coś się za sobą zostawia. Tutaj - absolutnie nic.
- A numer jedenaście.
- Tu miałem więcej szczęścia. Dowiedziałem się, że wyjechała do Europy, a ściślej: do Francji. Zresztą w związku z tym chciałem pana prosić o zgodę na zmianę kolejności działania, uważam, że należy uznać priorytet numeru jedenaście nad numerem dziesięć, istnieją bowiem w tej sprawie niepokojące zbiegi okoliczności, które chciałbym zbadać. Przede wszystkim - i to była przyczyna mojego telefonu - wydarzyła się nowa okoliczność i pragnąłbym...
- Prawdę mówiąc, panie Shulz, jednym z powodów naszego dzisiejszego spotkania jest właśnie prośba, aby pan na pewien czas zostawił w spokoju numery dziesięć i jedenaście i...
- Ależ w ten sposób ryzykujemy zagubienie śladu numer jedenaście. Ona jest we Francji z...
- Dixie przerwał mu:
- Pan ją odnajdzie, panie Shulz, gdy nadejdzie pora, jestem tego pewien. Pan jest zagorzałym myśliwym i wywęszy zwierzynę tam, gdzie ona się ukrywa.
- Jak pan sobie życzy... Mimo to chciałbym wspomnieć o pewnym nowym fakcie, który...
- Dixie uciął szorstko:
- To są rozkazy Komitetu. - Umilkł i przez chwilę koncentrował myśli. - Właśnie dochodzimy do zasadniczego celu dzisiejszego spotkania. Pan wie, że mamy przyjaciół w najwyższych sferach rządowych. Otóż niedawno Waszyngton nas zaalarmował. Jest niebezpieczeństwo, że w sposób niedopuszczalny mogą być rozdmuchane szczegóły... o... nazwijmy to, operacji, jaką przeprowadziliśmy w Teksasie kilka lat temu. Oczywiście, brak im niektórych dowodów. Nie można udostępnić prasie nazwisk, nie ryzykując procesu o zniesławienie. Ale skandal byłby niesłychany. Tego właśnie chciał zawsze uniknąć Komitet.

Z tego też względu powierzyliśmy panu te zadania... hm... w celu... uzdrowienia sytuacji. Jednakże wobec groźby, jaka się rysuje... Harry Shulz poczuł drapanie w gardle.

— Chciałbym o coś zapytać.

— Proszę.

- Nikt w tym kraju - stwierdził Shulz pewnym głosem - nie może sobie pozwolić na otwarcie akt tej sprawy. Któż więc mógłby...

— Myli się pan. Jest ktoś, kto może to zrobić. W oczach Shulza wyczytał niedowierzenie.

— Bracia... - wyjaśnił szeptem.

Zimno, którego dotąd niemal nie odczuwał, przeniknęło Shulza do szpiku kości; nagle zapomniał o Susan Bramovitz i Jacques'u Bergerze.

- Bracia... - powtórzył.

Zapadło milczenie. Shulz przerwał je pierwszy. Głos jego stwardniał:

— Bracia, to prawda. Nie pomyślałem o tym. Dixie wpatrywał się z uporem w rzekę Hudson.

— Niech mi pan da papierosa, panie Shulz.

Shulz poczęstował go. Sam również zapalił. Żałował, że nie zabrał ze sobą whisky. Ogarnęło go przygnębienie.

Dixie zaciągnął się i poklepał przyjaźnie Shulza po ramieniu.

- Niech pan nie robi takiej posępnej miny, panie Shulz. Proszę mnie wysłuchać do końca, a zobaczy pan, że nie ma powodów do niepokoju. Kiedy zadał mi pan pytanie, które pana nurtowało, powiedziałem, że wobec zarysowującego się niebezpieczeństwa Komitet musiał zrewidować swoje koncepcje, uzgodnić i kolegiально ustalić inną taktykę. Jest ona dość ryzykowna, przyznaję; chodzi nam o to, żeby zapobiec najbardziej groźnym niebezpieczeństwom. Muszę powiedzieć, że udało nam się wykorzystać zbieg wyjątkowo pomyślnych okoliczności, co, moim zdaniem, stawia operację, jaką mamy przeprowadzić, pod najlepszymi auspicjami. Jeden z naszych przyjaciół przypadkiem nawiązał kontakt z pewnym młodym studentem. To chłopak narodowości jordańskiej, ale jego rodzice są uciekinierami z Palestyny. Odczuwa on zatem straszliwą nienawiść do wszystkiego, co izraelskie, a więc do wszelkich narzędzi polityki proizraelskiej. Uważa on, że bracia są odpowiedzialni za proizraelską politykę naszego kraju. Dlatego pała nieprzytomną nienawiścią do nich. Oczywiście akcja ta dotyczy tylko starszego z braci. Bardziej niebezpiecznego. Drugim zajmiemy się później. To facet tuzinkowy. Załatwi się go przez kobiety...

Umilkł i utkwiał wzrok w Shulzu; ten ani drgnął.

- Domyśla się pan, panie Shulz, do czego zmierzam?

- Doskonale się domyślam, do czego pan zmierza, proszę pana. - Shulz uśmiechnął się lekko. - Być może, mam za dużo fantazji, ale pewien schemat zaczyna mi się już zarysowywać w myśli.

Dixie wybuchnął śmiechem.

- Brawo! Niczego innego po panu się nie spodziewałem. Zawsze mnie urzekał pański umysł, żywy i bystry.

Harry Shulz zaczął podskakiwać w miejscu. Mróz stał się przejmujący i docierał do wszystkich komórek ciała. Ale jednocześnie Shulza ogarnęło jakieś dziwne podniecenie.

Dixie ciągnął dalej:

- Ten młodzieniec, uroczy zresztą, znajduje się w chwili obecnej w stanie najwyższej egzaltacji. Nie wiem, czy pan zna ten typ ludzi, którzy wyobrażają sobie, że zmieniają świat podejmując jakieś jednostkowe samotne działanie.

Shulz skinął głową. Nie śmiał już teraz puścić pary z ust, by nie połykać lodowatego powietrza, które paliło mu płuca.

- Jego stan egzaltacji bardzo nam odpowiada. Tego rodzaju jednostka, odpowiednio pokierowana, może nam oddać nieocenione usługi... Na nieszczęście, człowiekowi, który go

odkrył, brak krzepy i doświadczeń niezbędnych do tego, by doprowadzić chłopaka do odpowiedniej kondycji psychicznej, opracować plan operacji i w końcu jego realizację. Wobec tego potrzeba nam pewnego rodzaju doradcy technicznego...

Shulz dokończył za niego:

...i pan wybrał mnie.

— Zgadł pan.

— Mam parę pytań.

— Bardzo proszę, panie Shulz.

— Czy ja będę uczestniczyć w końcowej fazie operacji?

— To absolutnie wykluczone. Pańska osoba w żadnym przypadku nie powinna się pojawić w całej tej sprawie.

— A przy doprowadzaniu do kondycji psychicznej?

— To wchodzi w zakres kompetencji oficera prowadzącego, by użyć tu terminologii służb śledczych, a w naszym wypadku tego, który pierwszy nawiązał z nim kontakt. On jest tą osobą, którą będzie pan musiał kierować i udzielać porad.

— Założmy, że mimo moich rad nie osiągnie on pozytywnego rezultatu. Czy wtedy nie będę musiał mu pomóc bardziej konkretnie ?

— Chce pan powiedzieć: interweniując osobiście?

— Właśnie.

— Nie. Jak już panu powiedziałem, jest to wykluczone.

— A więc istnieje prawdopodobieństwo, że operacja może się nie udać.

— Panie Shulz, Komitet nie bierze pod uwagę takiej ewentualności. Zaraz na początku naszej rozmowy powiedziałem panu, że ja sam osobiście nalegałem, by podwyższono pańskie honoraria. Pomijając pańskie ostatnie sukcesy, najlepszym argumentem w tej sprawie była moja osobista gwarancja, że pan doprowadzi tę nową misję do pomyślnego końca. Nie chciałby pan przecież, abym stracił twarz wobec Komitetu, prawda?

— To poważna odpowiedzialność.

— Zdaję sobie z tego sprawę, niech mi pan wierzy. Ale mam do pana zaufanie.

— Mimo wszystko obstaję przy swoim pytaniu. Czy przewidział pan jakieś inne rozwiązanie w przypadku, gdyby nas zawiodł ten chłopak?

— Nie. I nie ma mowy o tym, aby operacja się nie udała, przed chwilą powiedziałem to jasno.

—

—

Nagle spojrzął na zegarek.

- Robi się późno. Pozostają nam jeszcze do ustalenia niektóre szczegóły. Proponuję jednak, abyśmy weszli do budynku. Mróz jest rzeczywiście siarczysty.

Roześmiał się krótko.

- Mogę już teraz powiedzieć, że musi pan wyjechać do Kalifornii. Tam przynajmniej temperatura jest ludzka, jeżeli nawet sami ludzie ludźmi nie są.

Shulz przytaknął.

- Najlepiej przedstawia się sprawa na południu Kalifornii, tam klimat jest naprawdę fantastyczny.

Kiedy znaleźli się wewnątrz, Dixie szeptem przekazał mu ostatnie instrukcje, a potem wsunął mu w rękę złożoną we czworo kartkę papieru.

- Niech pan to weźmie. To jest adres i numer telefonu, pod który pan zadzwoni natychmiast po przybyciu do Kalifornii. Oczekuję raportów co tydzień, jak zwykle.

Umilkł. Koło nich przeszła para studentów.

- Popatrz, kochanie - mówiła dziewczyna - jaka wspaniała szkatułka na biżuterię.

- Idiotka - mruknął Dixie. - To tabernakulum. A potem, już' głośniejszym głosem, powiedział do Shulza:

- Drogi panie, dzisiejsza młodzież to kompletni ignoranci. Dwoje młodych ludzi odwróciło się, spojrzęło na nich pogardliwie i poszło dalej.

- Wie pan, gdzie mnie szukać, gdyby wynikły sprawy niecierpiące zwłoki. Było to raczej stwierdzenie niż pytanie, toteż Shulz nie odpowiedział.

— Wszystko musi być gotowe na koniec maja. Mamy swoje powody, ale jeszcze za wcześnie o nich mówić. O tym porozmawiamy na jednym z naszych najbliższych spotkań. Sam ustalę datę. Ma pan pytania?

— Nie, proszę pana - zapewnił Shulz. - Sprawa jest jasna. Może pan na mnie liczyć.

- Doskonale. To byłoby wszystko. Muszę już pana pożegnać, Do widzenia. I powodzenia. - Do widzenia i szczęśliwej podróży. Pożegnali się skinieniem głowy.

Shulz, pokręciwszy się jeszcze ze dwadzieścia minut po salach, postanowił wrócić do domu. Dobry humor, jaki miał z rana, gdzieś zniknął. Robota, która go czekała, wiązała się z ogromnym ryzykiem. Jedyną pozytywną stroną tego spotkania była wysoka podwyżka, jaką mu przyznano. Trzeba to uczcić. Jeszcze dziś wieczór. Może nawet z Sandrą? Ostatecznie, czemu by nie? Ta myśl bardzo go pokrzepiła, poczuł się lepiej.

Paryż, Francja. Marzec 1968

Zima miała się ku końcowi. Przysłowiowe marcowe kaprysy pogody towarzyszyły jej agonii. A niebo paryskie, na które nikt nigdy nie podnosi oczu, było szarobrudne, ponure.

Susan kończyła ósmy rozdział swojej powieści, całość miała liczyć dwadzieścia dwa. Przy takim tempie, mówiła sobie, utwór będzie gotowy za dziewięć miesięcy. Osiem rozdziałów w ciągu pięciu miesięcy to naprawdę niewiele. Od tych pięciu miesięcy trzeba oczywiście odjąć sześć tygodni, które spędzili w zimie w górach - upominek Jacques'a na gwiazdkę. Sześć cudownych tygodni w Austrii. A szczytem wszystkiego była wigilia Bożego Narodzenia w tyrolskiej oberży, po której tłum biesiadników wyruszył w ciemną noc, i ten długi marsz w miękkim śniegu przy świetle pochodni. Kolędy, śpiewane na całe gardło. Wybuchy radosnego śmiechu w noc, jasną od świateł. Jacques, mający niezłe w czubie, zaciągnął Susan w gąszcz jodeł i kochał z całą pasją. Czują lodowaty śnieg pod plecami i słodką falę gorąca ogarniającą ją całą... Otrząsnęła się. Przywoływanie takich wspomnień było niebezpieczne dla kogoś, kto postanowił przeznaczyć popołudnie na napisanie jednego rozdziału powieści. Gdyby się nie opanowała, pobiegłaby do Jacques'a, który majstrował przy swoim samochodzie, i błagałaby, żeby wziął ją byle gdzie, natychmiast - jak dziewczyna, dla której seks jest wszystkim. "Bądź rozsądna - powiedziała sobie - i myśl o swojej pracy".

W myśli zrobiła szybką kalkulację. Osiem rozdziałów w ciągu trzech i pół miesiąca. Potrzeba jej zatem jeszcze sześć, siedem miesięcy, czyli w październiku powieść zostanie ukończona. Ta kalkulacja nie uwzględnia oczywiście najbliższych wakacji letnich, na które Jacques nie omieszka zabrać jej gdzieś na południe. A nie może liczyć na to, że pozwoli jej pracować w czasie wakacji. Zresztą sama nie miałaby na to ochoty. Wakacje są po to, by odpoczywać. Ta przerwa w pracy przesunęłaby termin ukończenia powieści aż na listopad. A przecież żeby książka zdążyła się ukazać na początek sezonu literackiego, jej druk musi być ukończony we wrześniu, tak aby na półkach księgarskich znalazła się w październiku. Trzeba więc

zabrać się do pracy ze zdwojoną energią i ukończyć powieść w lipcu, to znaczy w ciągu czterech miesięcy.

Od Barbary Romano Susan otrzymała uwagi Craiga Greenwalda o konspekcie swojej powieści.

Wprawdzie nie można mówić, że były one entuzjastyczne, ale ocena ogólna była pozytywna. Powieść nadawała się do druku. Greenwald czytał kilka fragmentów artykułów Susan i mimo że styl dziennikarski różni się od literackiego, wierzył, że dzieło będzie posiadało walory literackie. Pozwolił sobie również na pewne sugestie, zaproponował kilka zmian, które - jak sądził - zapewnią handlowy sukces powieści. Z lekkim zatem sercem zasiadła Susan do pracy. Wziąwszy wszystko pod uwagę, mogła uznać, że bilans pięciu ostatnich miesięcy pod każdym względem wypadł pozytywnie.

Najpierw więc Jacques. Nie zmienił się od zeszłorocznych wakacji. Był kochający, wyrozumiały, wesoły, pełen humoru, dyskretny. Uroczy kompan. Ale przede wszystkim cudowny kochanek, w każdej chwili gotów do miłości, kochanek pełen szalonych i niezwykłych pomysłów. Czy kochał ją naprawdę? Tego nie wiedziała i nie chciała wiedzieć, nie chciała jakimś niezręcznym krokiem zburzyć tej harmonii, jaka panowała między nimi. Była szczęśliwa.

Jacques znowu wyjechał na początku grudnia, tuż przed wakacjami zimowymi, a potem jeszcze raz, już po ich powrocie, na

początku lutego. Za każdym razem przywoził wspaniały prezent. Jak gdyby w ten sposób chciał za coś uzyskać przebaczenie. Nigdy jej jednak nie wyjaśniał, co było celem jego wyjazdów. Od powieści na podstępne pytania Susan były dość niejasne. Pytania bardziej bezpośrednie Jacques zręcznie wymijał. W jego wyjazdach było coś tajemniczego. I to ją trochę niepokoiło.

Na stole, obok maszyny do pisania, leżał niedbale rzucony ostatni list od Barbary Romano. Wystawa jej obrazów była ogromnym sukcesem. Świetnie zorganizowana przez Pata ODwyera i Daniela Rosenkranza, ściągnęła grube ryby teatru, kina, radia, telewizji, znanych przedstawicieli sztuki, sportu. W magazynach amerykańskich, które mogła kupić w Paryżu, Susan znalazła bardzo pochlebne recenzje. Przy okazji wystawy Barbarze udało się sprzedać bardzo korzystnie kilka płócien i mogła rzucić swoje pół etatu w Muzeum Sztuki Współczesnej.

Sukcesy przyjaciółki sprawiły Susan prawdziwą przyjemność. Czy jej powieść odniesie taki sam sukces? Pomyślała, że przydałby się jej kochanek równie wpływowy jak Daniel Rosenkranz, pod tym względem Jacques nie był mężczyzną wymarzoną - mimo to za nic w świecie nie zmieniłaby go na innego.

Miała tylko jedno wielkie zmartwienie - listy od matki były pełne głębokiego smutku i rozczarowania. Kończyły się zawsze tak samo: "Ale ja ciebie doskonale rozumiem, miałaś całkowitą rację, nie mogłaś postąpić inaczej". Jak długo jeszcze matka potrafi znieść samotność, do której przecież nie jest przyzwyczajona? Matka to był jedyny cień jej pobytu w Paryżu. Okropna trwoga, która dręczyła Susan przed wyjazdem z Nowego Jorku, zupełnie się ulotniła. Spokojne życie, jakie wiodła, ten wygodny, stojący na uboczu dom, wypadki z Jacques'em do modnych restauracji i kabaretów - to wszystko sprawiło cud, wyzwoliło ją od koszmarów. Robiła sobie tylko wymówki, że porzuciła matkę. W jednym z listów matka opisywała napad, którego ofiarą padł stary Sam Kahan, sprzedawca w sklepie z koszmernym mięsem. Napisała, że między innymi zginął list do Susan. Ale Susan

Pnie przywiązywała specjalnej wagi do tego incydentu. Napady uliczne w Nowym Jorku były zjawiskiem powszechnym, a fakt, że chuligani kompletnie opróżnili kieszenie Sama Kahana i

skradli nawet zegarek, po prostu dowodził, że obrabowali go ze wszystkiego, co miał przy sobie, a dopiero potem w spokojnym miejscu dokonali selekcji łupów. List zapewne wylądował w śmietniku albo w kanale Brooklynu. To, że wybrano właśnie Sama Kahana, człowieka starego, było tylko dowodem tchórzostwa tych młodych chuliganów. Nic więcej. Pod względem finansowym bilans przedstawiał się także pozytywnie. Przez pięć miesięcy wydała dwa tysiące sześćset dolarów. Rzecz jasna, nie potrafiła się oprzeć pokusom paryskiej mody zimowej i stroje pochłonęły lwią część tej sumy. A teraz była już wiosna, czekały ją więc nowe wydatki. Westchnęła głęboko, po raz ostatni rzuciła okiem na Jacques'a, który wciąż majstrował przy samochodzie, i na powrót zabrała się do stukania na maszynie.

Jacques Berger wyglądał mniej więcej na trzydzieści pięć lat. Można by w jego wypadku mówić o urodzie klasycznej, miał bowiem twarz o rysach regularnych, oczy zielone, zmysłowe usta. Dość wysoki, szeroki w ramionach, włosy kasztanowe. Był realistą, a co za tym idzie - w dużym stopniu egoistą. Otaczający go świat bynajmniej nie napawał go przerażeniem. Ani groźba trzeciej wojny światowej, ani konflikt izraelsko-arabski, ani Ku- bańczycy czy Pakistańczycy, ani ruchy kontestacyjne w krajach zachodnich nie zdołały naruszyć jego wrodzonego optymizmu sybaryty.

W swoim życiu zdobył dziesiątki kobiet, ale do żadnej nie zdołał przywiązać się prawdziwie. I teraz sam poczuł się zaskoczony, kiedy sobie uświadomił, jak głębokie jest jego uczucie do Susan. Tłumaczył sobie, że nigdy nie spotkał takiej kobiety jak ona. Susan Bramovitz, typowa Amerykanka, obracała się w świecie ze zdumiewającą pewnością siebie, jej szczerość i otwartość wprawiały go nieraz w zakłopotanie, jej poczucie humoru, błyskotliwość i ironia zmuszały do koncentrowania uwagi, kiedy z nią rozmawiał, oddalały nudę. Zawsze elegancka, zawsze dbająca o szczegóły stroju - jak wszystkie Amerykanki. Choć nie była piękna, miała w sobie jakiś urok - może wynikało to z tego, że w jej żyłach płynęła krew żydowska. To może również tłumaczyło jej ognisty temperament, który doprowadzał Jacques'a do szaleństwa, kiedy oddawali się miłości, i który wyzwał w nim niezwykle moce. Była kochanką śmiałą, wymagającą, żądną miłości, czułości, pieśczoć. Przewaga intelektualna Susan nad Jacques'em nie ulegała najmniejszej wątpliwości. Ale jej nie nadużywała. Jej wykształcenie, wprawdzie niezbyt pogłębione, obejmowało szerokie obszary sztuki, literatury, historii. Prowadzili długie rozmowy na różne tematy; Jacques czuł się odprężony i spokojny jak nigdy jeszcze w swoim burzliwym życiu. Wysoko więc cenił sobie tę odmianę i nie żałował, że Susan przyjechała do Paryża.

Co z tego związku wyniknie? Żadne z nich nie wiedziało. Czy Susan wróci do Nowego Jorku, jeżeli powieść okaże się sukcesem? W każdym razie był jej wdzięczny, że nigdy nie robiła najmniejszej aluzji do małżeństwa. Tak właśnie było najlepiej.

I co to była za powieść? Jacques właściwie nigdy nie uzyskał dokładniejszych wyjaśnień Susan na ten temat. Nie rozumiał także powodów jej nagłego wyjazdu z Nowego Jorku. Zwróciło jednak jego uwagę jej dziwne czasem zachowanie. Susan nie była teraz tak bardzo beztraska, jak w lecie zeszłego roku. Niekiedy wydawała się nerwowa, .niespokojna. Pewnej nocy, kiedy wychodzili z nocnego lokalu, nagle zastygła bez ruchu na chodniku, a w oczach jej malowała się trwoga. Dagonił wzrokiem jej spojrzenie. Czarny samochód marki peugeot stał zaparkowany przy chodniku. Siedziało w nim czterech mężczyzn. Ten, który znajdował się obok kierowcy, opuścił szybę i wychylony na zewnątrz, wpatrywał się w Susan z wyraźnym zainteresowaniem. Rondo filcowego kapelusza opuszczone miał nisko na czoło. Jacques szybko pociągnął Susan w stronę swojego samochodu. Indagowana przez niego, nie umiała wyjaśnić, dlaczego ogarnęło ją takie prze-  
rażenie. "Nerwy" - tylko takie znalazła wytłumaczenie. A po chwili dorzuciła jakby na swoje usprawiedliwienie: "Kiedy jestem niedysponowana, miewam takie niezrozumiałe lęki".

Po powrocie z podróży, w którą musiał się udać dla załatwienia interesów - nie wtajemniczał Susan w szczegóły, choć wie-i działał, że umiera z ciekawości - zauważył na twarzy Susan niebieskawo-oblakowate dookoła oczu. Czyżby obawiała się samotności, na jaką ją skazywał? Nie. To było coś innego, o czym Susan nie chciała mówić. I to niepokoiło Jacques'a. Wielokrotnie próbował ją dyskretnie wy badać, ale Susan bardzo zręcznie uchylała się od odpowiedzi, podobnie jak on pozostawiał bez odpowiedzi pytania dotyczące jego pracy zawodowej.

Telefon nie przestawał dzwonić. Marcelle wyszła po zakupy. Jacques wpadł do domu, podniósł słuchawkę, po chwili odwrócił się w stronę schodów prowadzących na piętro i wrzasnął na całe gardło:

- Sue, to do ciebie! Nowy Jork.

W pośpiechu zbiegła po schodach. Jacques podał jej słuchawkę. Zanim zdołała złapać oddech, usłyszała dobrze znany głos Barbary Romano, która rozpaczliwym głosem krzychała: "Halo! halo!"

— Babs, to ty?

— No, nareszcie! To ja, siostrzyczko. Co słyhać?

— Wszystko w porządku, a u ciebie?

— Tak samo! Dostałaś mój ostatni list?

— Czytałam go chyba ze dwadzieścia razy.

- Wiesz, wszystko udało się jeszcze lepiej, niż przypuszczałam; przyjeżdżamy do Paryża organizować wystawę.

— Przyjeżdżasz do Paryża? Cudownie! Kiedy?

— Za tydzień. W przyszły wtorek.

— Oczywiście z Danielem?

- Z Danielem i Patem. Jesteśmy nierozłączni. Jacques słuchał rozmowy. Szepnął jej na ucho:

— Powiedz, żeby się zatrzymali u nas. Zapraszam ich troje. Doskonale słyszała te słowa, ale nie przekazała zaprosin.

— Gdzie się zatrzymacie?

— W "Continentalu". Daniel ma słabość do hoteli "Inter-Continental".

— O key! Rezerwuję dla siebie wasz pierwszy wieczór w Paryżu.

- Zgoda. Muszę już kończyć. Mam spotkanie z jednym starym kutwą w sprawie poważnej transakcji. Całuję cię, siostrzyczko.

- Ja również, Babs.

Powiesiła słuchawkę. Jacques patrzył na nią, zaskoczony. Pogłaskała go po policzku.

- Jesteś anioł, Jacques. To bardzo ładnie, że ich zaprosiłeś. Ale, szczerze mówiąc, nie mam ochoty widzieć tu u nas Daniela i Pata. Ty ich nie znasz. Oni muszą się spotykać z masą ludzi. Ten cały tłum tutaj, to byłoby piekło! A ja uwielbiam spokój tego domu. Oczywiście, gdyby Barbara przyjeżdżała sama, to co innego.

Jacques wysłuchał jej argumentów, ale nie był zupełnie przekonany.

A Susan po prostu nie chciała, by Daniel i Pat znali jej adres w Paryżu. Była to jedna z podstawowych reguł bezpieczeństwa. Miała do nich całkowite zaufanie, czyż jednak zawsze można przewidzieć, co się może zdarzyć? Trzeba postarać się o to, aby przypadkiem nie przyjęli zaproszenia na kolację na ulicy Monceau. Nie będzie to trudne, jeżeli znajdzie sojusznika w Barbarze. A co do tego nie miała wątpliwości. Jacques spytał:

— Masz ochotę? Podskoczyła.

— Na co?

Szepnął jej coś do ucha i wzięwszy się pod rękę, ze śmiechem pobiegli na górę do sypialni.

Energia, jaką wykazywali Barbara, Daniel i Pat, wprost przeraziła Susan. Przez wiele miesięcy przywykła do cichego i spokojnego trybu życia, jakie statecznie płynęło w domu Jacques'a na ulicy Monceau. Teraz zaś nagle poczuła się tak, jakby wróciła do piekielnego rytmu Nowego Jorku. Żadne z trojga gości nie mówiło po francusku i Daniel Rosenkranz bezwstydnie wykorzystywał Susan jako tłumaczkę. Na szczęście niektórzy z ich francuskich interlokutorów mówili po angielsku i dzięki temu Susan nie musiała dzień w dzień być w stanie pogotowia. Jacques również zaoferował swoje usługi jako acz i prawie zawsze towarzyszył Susan, kiedy miała spotkać z przyjaciółmi. Barbara zmieniła się bardzo. Stała się prawdziwą kobietą interesu, nabrała jeszcze większej pewności siebie i zachowywała się jak wytrawny handlarz obrazów. Jak przystało a wschodzącą gwiazdę, ubierała się szalenie ekscentrycznie. Cała trójka spała niewiele. Przedpołudnia wypełnione były wyprawami do galerii obrazów, obiady i popołudnia poświęcone Spotkaniom z ich właścicielami, z marszandami obrazów, facetami od reklamy i dziennikarzami. Uświęcona przerwa na cocktail zaczynała się o ósmej i trwała do dziesiątej wieczorem. Potem kolacja i objazd kabaretów. Daniel Rosenkranz miał sporo przyjaciół w Paryżu i dostawał jedno zaproszenie za drugim. Rzecz jasna, te zaproszenia dotyczyły także Jacques'a i Susan. Owe nocne wypadki bardzo się nie podobały Susan, albowiem lękała się, że przebywając w towarzystwie ludzi znanych, wreszcie zwróci czyjąś uwagę. Któż to może wiedzieć? Wystarczy jakaś notatka w prasie i koniec z anonimowością. W rzeczywistości niebezpieczeństwo, że jej nazwisko zostanie ujawnione, było niewielkie. Francuzi zapominali je natychmiast po prezentacji - jak gdyby znajdowali w tym jakąś złośliwą przyjemność. Niektórzy, śmielsi, nazywali ją w ciągu wieczoru panną Davidovitch albo Krakovitch. Pomyślała, że któregoś dnia jakiś Francuz nazwie ją panną Austerlitz na pamiątkę napoleońskiego zwycięstwa. Tak czy owak, była z tego zadowolona. Nie mogła dopuścić, by ktoś jej nazwisko zapamiętał. Fachowcy od sztuki malarskiej szybko spostrzegli, że nie należy ona do branży, i przestali interesować się jej osobą, ona zaś była im za to wdzięczna. Jeżeli zaś chodzi o potencjalnych podrywaczy, to odstraszała ich sama obecność Jacques'a. Ponieważ zresztą Susan aż do perfekcji grała kompletną idiotkę, oszołomioną tym, że znajduje się w tak wytwornym towarzystwie, nikt jej właściwie nie zauważał.

To niespokojne życie miało jednak także swoje strony dodatnie. Daniel Rosenkranz nie przyjął zaproszenia Jacques'a na kolację w domu przy ulicy Monceau. Susan nie miała czasu uprzedzić Barbary i przeżyła chwilę niepokoju, zanim usłyszała odpowiedź Daniela. Jego uprzejma odmowa wywołała westchnienie ulgi Susan.

Przez pierwszy tydzień Barbara i Susan nie miały ani jednej swobodnej chwili na rozmowę w cztery oczy. I dopiero w drugą niedzielę po przyjeździe Barbary znalazły taką okazję. Przyjaciół Daniela Rosenkranza zaprosił ich paczkę na cały dzień do swojej posiadłości w Touraine i obie przyjaciółki skorzystały ze słonecznego przedpołudnia, by zapaść się w szerokie aleje parku.

- A więc, siostrzyczko, wygląda na to, że z Jacques'em wszystko gra, co?

Susan chrząknęła.

- Widać to? Barbara roześmiała się.

- Widać, że to prawdziwy miodowy miesiąc. Mam nawet wrażenie, że wam przeszkadzamy.

Susan zareagowała żywo:

— Mylisz się, Babs.

— Tym lepiej, ale odniosłam wrażenie, że nie podskoczyłaś z radości na mój widok.

- Byłam szczęśliwa, Babs, że cię znowu widzę, ale te wieczorne wypadki, te spotkania. Bałam się trochę...

- Domyślałam się tego. Kiedy zobaczyłam, że grasz rolę dziewczyny z farmy, która wylądowała w Hollywood, zrozumiałam od razu, że chcesz uniknąć rozgłosu, i gryzłam palce ze złości, że wciągnęłam cię w cały ten cyrk. Wybacz mi. - Ale radziłam sobie zupełnie nieźle, nie?

— Jesteś drugą Shirley Mc Laine.

— A ty? Masz zamiar wyjść za Daniela? Teraz, kiedy odniosłaś sukces jako malarka, będzie mógł na obrazach robić świetne interesy.

Barbara skrzywiła się.

— Dobrze jest, jak jest. A poza tym nie ma czasu myśleć o tych sprawach. Zresztą, czy wyobrażasz sobie mnie z gromadą dzieciaków, które wyciskają tubki z farbami na moje obrazy?

— Jeżeli już mowa o obrazach - czy znajdujesz jeszcze czas na malowanie?

- Wygrzebałam mnóstwo starych bohomazów. Ale masz rację. Kiedy uzgodniony zostanie termin wystawy w Paryżu, będę musiała na nowo zabrać się do roboty. W Nowym Jorku prowadzę tryb życia naprawdę wariacki. Nagle umilkła i po chwili dodała, nieco zażenowana:

- Musisz mi wybaczyć, siostrzyczko, ostatnio naprawdę nie miałam czasu odwiedzić twojej matki. Masz od niej dobre wiadomości?

Susan ze smutkiem potrząsnęła głową.

- Nie może się przyzwycząić do samotności. Jeżeli osiedlę się we Francji na stałe, spróbuję ją namówić, aby przyjechała tutaj.

Barbara zmieniła temat.

— A twoja powieść posuwa się naprzód, siostrzyczko? Miesiąc temu na jakimś cocktailu spotkałam Craiga Greenwalda, pytał mnie, kiedy skończysz.

— Do końca brakuje mi jeszcze czternaście rozdziałów. Jeśli będę pracować intensywnie, mam nadzieję, że skończę pod koniec lipca. Gdyby mi się to udało, książka byłaby gotowa na październik. Pod warunkiem oczywiście, że ktoś ją zechce wydać

— Bądź spokojna, siostrzyczko. Daniel na pewno ci pomoże. Susan rzuciła okiem na zegarek.

— Och, już po dwunastej. Wracamy. Umieram z głodu.

Barbara Romano zawarła kilka kontraktów. Pat O'Dwyer przestudiował je bardzo skrupulatnie, zastanawiając się nad każdym słowem i doprowadzając tym do rozpaczliwych kontrahentów francuskich, prowokując nawet nieprzyjemne uwagi. Ani na moment jednakże nie opuszczał go niewzruszony spokój, mimo że bywały chwile, kiedy wrzała w nim jego irlandzka krew.

W przeddzień wyjazdu całej trójki wszyscy zostali zaproszeni na kolację do modnego kabaretu rosyjskiego. Susan i Jacques także.

Susan próbowała właśnie zakąsek, kiedy podniósłszy oczy zauważyła fotografa, który przesuwając wzdłuż stołu kamerę. Oślepił ją jeden błysk flesza, drugi, trzeci. Fotograf kręcił się koło stołu i zrobił jeszcze kilka ujęć. Nikt nie zwracał nań uwagi. Biorąc pod uwagę kąty, pod jakim robił zdjęcia, Susan obliczyła, że figuruje co najmniej na czterech kliszach.

Fotograf właśnie się oddalał, lawirując między stolikami.

Spod oka popatrzyła na Jacques'a pogrążonego w ożywionej rozmowie z żoną właściciela jednej z największych galerii obrazów w Paryżu. Wzięła torebkę, odsunęła krzesło i dyskretnie podniosła się z miejsca.

Sąsiad z prawej, łysy grubas, który był jakimś szyszka w reklamie, zrobił ruch, jakby chciał także wstać. Nienaganną angielszczyzną zapytał:

— Czy mogę pani czymś służyć? Podziękowała mu ruchem ręki.

— Nie, dziękuję. Za chwileczkę wracam.

Fotograf stał przy barze oparty łokciami o kontuar i rozmawiał z barmanem. Drzwi do toalet znajdowały się tuż obok baru. Prześliznęła się między stolikiem a grupą występujących w lokalu Cyganów, którzy z oczami przymkniętymi w ekstazie grali na skrzypcach "Jaskółkę" dla turystów południowoamerykań-

skiej siedzących przy jednym ze stolików. Nim pchnęła drzwi do toalety, odwróciła się w stronę fotografa i prowokująco do niego mrugnęła. Ten, zaskoczony, odstawił kieliszek i wzrokiem poradził się barmana, co powinien robić. Barman wzruszył ramionami ze zblazowaną miną i odszedł na drugi koniec baru. Graf zdecydował się w końcu i wszedł za Susan do toalety. Stała, oparta o kabinę telefoniczną. Zmierzył ją od stóp do głów.

Podobam się pani? - zapytał ją tonem pyszałka, Zrobiła pogardliwą minę. Film! Ile? Kupuję, Ton jej był zimny i suchy. Popatrzył na nią zmieszany. Był to typ cherlawy, o oczach kuleczki, powiększonych przez okulary o grubych szklach. - Jaki film?

Pokazała palcem kamerę, którą miał zawieszoną na piersi.

— Właśnie ten. Chcę go kupić. Ile? Wzrok faceta stał się podejrzliwy, potem chciwy.

— Ten film nie jest do sprzedania.

— Dwieście dolarów, zgoda?

Były to wszystkie pieniądze, jakie miała przy sobie. Nie czekając na odpowiedź, jednym gestem otworzyła torebkę i wyjęła dwa banknoty studolarowe. Podała mu.

- Niech pan bierze! - rzekła ostro. - I proszę mi dać film.

Gość pogładził się po długich włosach, które spadały mu na ramiona, i chytrymi oczkami rzucił na banknoty.

- To za małą. Film wart dwa razy tyle. Zwęszył dobrą aferę. Postanowiła bluffować.

- Chyba zauważył pan przy moim stoliku takiego wysokiego mężczyznę? To on mnie przysłał, żeby załatwić tę sprawę. Uważa, że dwieście dolarów wystarczy. Niech się pan decyduje. On czeka przy wyjściu. Nie z toalety, na ulicę.

- Po co pani ten film?

Potrząsnęła głową zniecierpliwiona i zrobiła gest, jakby chciała odejść.

Fotograf zatrzymał ją gestem ręki. Zawołał:

— Hej, ślicznotko! Niech pani nie ucieka! Potem wzruszył ramionami z rezygnacją.

— Zgoda, niech będzie dwieście dolarów.

Łapczywie chwycił dolary, wepchnął do kieszeni i otworzył kamerę.

Kiedy dostała film, rozwinęła go, prześwietliła i odwróciła się do fotografa.

- Proszę tu zaczekać pięć minut i dopiero potem wyjść - poleciła. - W przeciwnym razie narazi się pan na nieprzyjemności. I niech pan już nie próbuje robić tu zdjęć, bo będzie pan miał jeszcze więcej nieprzyjemności.

Typ wyglądał na uszczęśliwionego, że trafiła mu się taka gratka; nie miał najmniejszej ochoty narażać się na przykrości.

Susan, zadowolona z siebie, wrzuciła rolkę do ubikacji, spuściła wodę i wróciła do stołu.

Tego wieczoru zasnęła szczęśliwa.

Barbara, Daniel i Pat odlecieli do Nowego Jorku następnego dnia rano. Koniec zabawy w ciuciubabkę. Teraz na nowo rozpocznie się ciche i spokojne życie przy boku Jacques'a.

Los Angeles, Kalifornia, USA.

Koniec maja 1968

Dixie miał rację. Klimat południowej Kalifornii był naprawdę wyjątkowy. Natomiast Los Angeles z tym okropnym smogiem budziło w Harrym Shulzu największą niechęć. A jednak życie płynęło tu przyjemnie. Jego rola doradcy technicznego nie była trudna. Rekrut okazał się facetem łatwym i uległym. Prawdziwa taśma magnetofonowa: ktoś mówi, a on rejestruje wszystkie słowa i pomysły, niczego nie pomijając.

Harry Shulz, wygodnie urządzony w jednym z pokojów apartamentu Abbotta Haddalda, odpowiednio do wykonywanych przez niego zadań przystosowanym, uważnie obserwował przez specjalną szybę, sam będąc niewidoczny, obu mężczyzn ćwiczących w sąsiednim pokoju. Mikrofony wiernie przekazywały mu każde najmniejsze słowo, najcichszy nawet szept.

Jednym z dwóch mężczyzn był student z Jordanii, drugim Aboud Haddad, Syryjczyk, który nazywał się teraz z amerykańską Abbott Haddald. W głębi duszy Harry Shulz był pełen uznania dla Dixiego. To naprawdę wspaniały szef całej operacji, Odkrycie przez Abbotta Haddalda tego pionka, który miał wykonać całą operację, to prawdziwa bomba. Haddald to urodzony aktor i Shulz w rozmowach z nim wielokrotnie wyrażał zdziwienie, że nie odniósł on sukcesów w swojej karierze zawodowej. Przybył do Stanów Zjednoczonych w wieku lat dziesięciu. Następnie studiował sztukę aktorską z Elią Kazanem, by w rezultacie przez całe lata wegetować w dziesięciordnych trupach

teatralnych, gdy tymczasem, jak stwierdzał Harry Shulz, posiadał zadatki na wielkiego aktora, co powinno go było zaprowadzić wprost do Hollywood albo na wielkie sceny Broadwayu, nie mówiąc już o telewizji.

Sposób, w jaki Haddald urabiał Jordańczyka, był wprost genialny. Za swoją szybą Harry Shulz miał wrażenie, że siedzi przed telewizorem i ogląda transmisję sztuki z teatru na Broadwayu.

- Wprost niesłychane - mruzczał do siebie.

Haddald wykonywał dosłownie wskazania Shulza, dorzucając czasem jakiś szczegół własnego pomysłu, zawsze jednak z korzyścią dla całości.

Już tylko tydzień dzielił ich od wielkiego dnia i Shulz był pełen optymizmu. Jordańczyk, napompowany ideami do oporu, był gotów. Występował w roli męczennika za wielką sprawę. Ilu to durniów od początku świata umarło za wielką sprawę? - Trudno zliczyć - doszedł do wniosku Harry Shulz. Jednym słowem, Haddald wywiązał się znakomicie ze swojej roboty, zarówno pod względem psychologicznym jak i technicznym, i Shulz obiecał sobie, że porozmawia o nim z Dixiem. Szkoda byłoby stracić tak cennego faceta. Jeśli chodziło o wykonanie zadań, które należały do niego, Shulz przeszedł samego siebie.

Przeanalizował w najdrobniejszych szczegółach wszystkie aspekty operacji. W końcu kwietnia spotkał się z wysłannikiem Dixiego, od którego otrzymał informacje dotyczące miejsca zamachu. Miał to być hotel. Wielki człowiek wygłosił tam przemówienie w sali bankietowej, a następnie, by uniknąć tłumu wielbicieli, wymknął się bocznym wyjściem przez kuchnię.

Shulz nie posiadał się z radości na wieść o tak korzystnych układach. Byle amator świetnie wykonałby taką robotę. Robotę łatwą nawet dla początkującego. Personel hotelowy w pobliżu

ułatwi akcję. Zrazu myślał o tym, żeby przebrać Jordańczyka za pomocnika kucharza, ale to nie było najlepsze rozwiązanie kucharze na pewno się znali między sobą, natomiast boy hotelowy może się przemknąć nie zauważony. Kłopot polega jedynie na tym, że liberia boya na ogół jest bardzo opięta i będą trudności z ukryciem broni.

A więc? A więc boy hotelowy z ogromnym bukietem kwiatów broń będzie ukryta w kwiatkach. Nie ma nic lepszego niż stare numery. Ograne, ale niezawodne. Metody z 1925 roku Chicago, prohibicja, przemyt alkoholu. Wielcy poprzednicy, Mistrzowie, ci z Chicago i ci z Nowego Jorku: Lepke Butcher, Albert Anastasia i "Purpurowe Serce" z Detroit. Na to wspomnienie pierś Shulza uniosła się w potężnym westchnieniu, po chwili zabrał się do szlifowania szczegółów operacji, Powiedział Haddaldowi, by Jordańczyk na polecenie bliżej nie określonego komitetu zamówił kartonowe pudło z drukowanymi dla wielkiego męża życzeniami szczęśliwego pobytu w zacnym mieście Los Angeles. Życzenia miały być wypisane złotymi literami.

Bukiet został zamówiony w przeddzień. Miał być odebrany z rana tego wielkiego dnia. Kosztował sto siedem dolarów i Shulz starannie wpisał tę sumę w swoim zeszycie wydatków, Umieścił tu także sumę, jaką zapłacił za uszycie liberii boya hotelowego o odpowiednim kroju i kolorze. I tym razem Jordańczyk osobiście udał się do krawca. Jeśli chodzi o broń, to Shulz wybrał rewolwer bębnekowy, kaliber 32, łatwy w użyciu dla amatora. Pochodził on z osobistego składu broni Shulza, starannie ukrytego w jego małym domku wiejskim w Connecticut. Osiem lat przedtem broń tę skradziono z rusznikarni w Iowa. Znaki fabryczne i numery zostały skrupulatnie spiłowane. Chcąc sprawdzić precyzję strzału rewolweru, Harry Shulz wyjechał na dwa dni w Góry Skaliste, do odciętego od świata zakątka. Wystrzelał tam prawie dwieście naboju. Broń zupełnie wyraźnie znosiła na lewo. Ten defekt usunął przy pomocy narzędzi, które zabrał ze sobą. Teraz nawet dziesięcioletnie dziecko nie mogło chybić strzelając z odległości paru metrów do celu, którym miał być człowiek.

Starannie naoliwiony rewolwer oraz zapas amunicji został przekazany Haddaldowi, który miał wręczyć go Jordańczykowi wielkiego dnia z samego rana.

Obejrząwszy miejsce, gdzie miała się rozegrać akcja, Shulz uznał, że jego optymizm nie był nieuzasadniony. Wiele razy o różnych porach dnia niezmiernie przemierzał długie korytarze, wypatrywał dogodnych miejsc, sprawdzał wyjścia, ustalał, gdzie stanie zabójca przed oddaniem strzału. Nikt absolutnie nie zwracał na niego uwagi. Miesiąc temu w hotelu został zarezerwowany i opłacony na dwa dni pokój na nazwisko Jordańczyka. Wprowadzi się on tam w przeddzień dnia oznaczonego symbolem J. Następnego dnia rano zostanie dostarczony bukiet kwiatów.

Przy pomocy Haddalda, poinstruowanego przez Shulza, Jordańczyk umieści bukiet w kartonowym pudełku. O umówionej godzinie włoży liberię i zajmie wyznaczone stanowisko. Przez cały ten czas nie opuści go Haddald, który będzie sprawować nad nim pieczę aż do końca - by uniknąć niepowodzenia w ostatniej chwili.

Jordańczyk oswoił się już na dobre z miejscem akcji. Haddald otrzymał od Shulza precyzyjne instrukcje. Przeprowadzono nawet próby. Ale, rzecz jasna, bez bukietu. W całej aferze Haddald był poważnie skompromitowany. Jednak suma, jaką miał otrzymać, sownie rekompensowała ryzyko. A poza tym szczegóły jego ucieczki i kryjówki zostały drobiazgowo przygotowane. Jeżeli zaś chodzi o jelenia, Haddald nakazał mu, by próbował uciekać za wszelką cenę. Życie jego jest zbyt cenne dla sprawy - dorzucił Haddald i głos mu się załamał. Jeleń puszył się jak paw. Shulz jeszcze dziś nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

Oczywiście przewidywano, że ten idiota pozwoli się zabić na miejscu. Kiedy będzie ładował sześć kul w męża stanu, znajdzie się z pewnością w pobliżu jakiś glina, który jego też naszpikuje ołowiem i zamknie mu dziób na zawsze.

Ale nawet jeśli się tak nie stanie, nie ma mowy o jakimkolwiek niebezpieczeństwie. Ten idiota wierzy naprawdę, że Had-

dald jest szefem siatki palestyńskiego ruchu oporu i za nic w świecie nie zdradziłby swojego szefa i swoich braci "Życie jest piękne" - myślał Shulz.

Nalał sobie porządną porcję whisky, zasiadł wygodnie w fotelu i świetnie się bawił, słuchając obelg, jakie miota Haddald na mocarstwa imperialistyczne oraz na ich izraelskich popiecz-

Francja. Maj i czerwiec 1968

Wypadki majowe 1968 roku wypłoszyły Susan i Jacques'a z Paryża.

Któregoś wieczoru wracali z La Villette, gdzie w jednej z najlepszych restauracji paryskich zjedli wspaniałą kolację, gdy nagle przed Dworcem Północnym znaleźli się w no man's land między kompanią bezpieczeństwa a dobrym tysiącem manifestantów.

Pojawienie się samochodu Jacques'a dało jak gdyby sygnał do rozpoczęcia rozprawy i oba obozy zaczęły szaleć. Dookoła wybuchały granaty łzawiące. W powietrzu latały kamienie i jakieś żelastwo.

Jacques pospiesznie podniósł szybę. Susan zrobiła to samo. Już zaczynał ją dusić kaszel. Jacques szybkim ruchem włączył tylny bieg i wycofał się w ulicę, z której przed chwilą wyjechał. Zrobił nagły półobrót, wjechał na chodnik. Samochód zachwiał się przez chwilę, zjechał na jezdnię; Jacques gwałtownie dodał gazu i wóz skoczył w noc z wyciem silnika. Jacques skręcił w ulicę na prawo, usiłując wydostać się z tej niebezpiecznej okolicy. Ale natychmiast znalazł się na powrót wśród setki manifestantów, których wiodła egeria, dziewczyna lat około dwudziestu, z pianą przekleństw na ustach. Choć bardzo młoda, wyglądała jak kloszard. Jacques zahamował gwałtownie i opuścił szybę. Dziewczyna podbiegła do samochodu potrząsając żelaznym drągiem.

- Mercedes! Popatrzcie no! Burżuj wiezie na spacer swoja, burżujkę!

Zrobiła ruch drągiem w kierunku przedniej szyby.

- Cofnij wóz, ch..., albo rozpieprzę ci lusterko. Jacques zbladł pod obelgą. Ręka zaczęła szukać klamki. Ale san chwyciła go za marynarkę.

— Jacques, proszę cię, cofnij wóz. Z głosu przebijało błaganie.

— Myślisz, że pozwolę tej dziwce obrzucać się obelgami? Susan nie puszczała jego marynarki.

— Zrób to dla mnie, Jacques. Proszę cię. W jednej chwili wóz dostał otoczony przez groźnych manifestantów. Dziewczyna zauważyła gest Jacques'a. Uniosła drąg wyżej.

— Zjeżdżaj stąd, ch..., albo załatwię tę karetę!

Jakiś typ o twarzy nawet dość sympatycznej oparł się łokciami o drzwiczki samochodu.

- Niech pan zrobi to, czego ona żąda. I ciszej dorzucił:

- To wariatka. Wie pan, jakie są facetki w takich sytuacjach, o właśnie je ekscytuje - strzały, bójki, krew.

Poklepał go poufale po ramieniu. - No, niech pan cofnie wóz...

Jacques usłuchał z niechęcią. Przez całą drogę powrotną nie otworzył ust. Susan, żeby go rozchmurzyć, zaczęła się z nim przekomarzać i żartować.

- Przecież chyba nie potraktowałeś poważnie wrzasków tej dziewczyny. Czemu więc się przejmujesz?

Ale on nie odpowiadał.

Kiedy znaleźli się w domu, nalał sobie dużą porcję koniaku zaczął krążyć po living-roomie jak dzika bestia po klatce. Susan spoglądała na niego pobłaźliwie.

Po jakiejś pół godzinie zatrzymał się i zwrócił ku niej. W jego wzroku wciąż jeszcze była wściekłość.

- Przemyslałem sobie wszystko. Mam dość tego obrzydli-stwa. Zjeżdżamy stąd.  
Susan zmarszczyła brwi.

- Jacques, idź spać, jutro o wszystkim zapomnisz. Chciała przemówić mu do rozsądku.  
Nadaremnie.

- Nie ma mowy, Susan. Jeszcze dzisiaj spakujemy walizki i jutro o świcie ruszamy w drogę.

— Dokąd?

— Mniejsza o to. Na los szczęścia.

- Chyba nie mówisz poważnie! A benzyna, wiesz dobrze, że w całym Paryżu nie ma już benzyny.

Roześmiał się.

- Nie martw się. Ja mam zapas. Zbieraj manatki. Ja idę na górę obudzić Marcelle, żeby pomogła się nam pakować.

Susan próbowała protestować, ale on biegł już po schodach z kieliszkiem koniaku w rękę.

"Właściwie - powiedziała sobie - ta zmiana mi odpowiada. Atmosfera w Paryżu taka, że po prostu nie sposób oddychać, i to nie tylko z powodu gazów łzawiących. Jedyne kłopot to moja powieść. Czy zdążę ją skończyć w lipcu?" Ale perspektywa dalekiej podróży w nieznanym towarzystwie Jacques'a szybko odpędziła te natrętne myśli.

— Banki są zamknięte - mówił Jacques do Marcelle, kiedy dogoniła go na pierwszym piętrze.

- Nie wiem, na jak długo. Zostawię pani trochę pieniędzy.

— W jakich my czasach żyjemy! - lamentowała starszka. - I nie boi się pan wypuszczać na szosę? Mówią, że milion ludzi strajkuje. Jak zobaczą pana piękny samochód...

- Dobrze, dobrze. Niech się pani nie martwi - przerwał

Jacques.

Uwaga Marcelle przypomniawszy mu niedawne przykre zajście.

- Niech się pani nie boi, Marcelle - dorzuciła Susan ironicznie. - On się już przyzwyczaił.

Jacques spojrzał na nią, wściekły.

- Dość tego gadania - rzucił sucho. - Do roboty, moje panie!

O drugiej nad ranem walizy były spakowane. O godzinie dziesiątej mercedes wyjeżdżał na południową autostradę Paryża - była pusta jak pas startowy na lotnisku na chwilę przed lądowaniem samolotu. Jacques odzyskał już dobry humor i prowadził wóz lekko, nucąc jakiś modny przebój.

Susan opuściła szybko. Przed jej pełnymi zachwyty oczyma przesuwała się wieś. Wieś niemalże nierealna, o żywych kolorach, jak z obrazu Van Gogha. Byli daleko od zamieszek paryskich. Susan czuła się szczęśliwa.

O zmroku krajobraz się zmienił. Jechali przez ponure skaliste okolice i przed nocą byli w Puy. Tu się zatrzymali. Nazajutrz zwiedzili miasto o malowniczych wąskich uliczkach oraz katedrę Notre-Dame.

Po schodach, wyrąbanych w zastygłej lawie, wdrapali się na piramidę, na której wznosi się kaplica z jedenastego stulecia pod wezwaniem świętego Michała d'Aiguilhe. Susan, z trudem łapiąc oddech, wykrzyknęła:

- Tu musimy zainwestować nasz kapitał! Zorganizować zwiedzanie kaplicy, specjalnie dla korpulentnych pań. Kuracja odchudzająca. Sukces gwarantowany.

Po południu, nie spiesząc się, dotarli do Mendę. W cudownej niedużej restauracyjce tuż nad brzegiem rzeki Lot zjedli kolację. Susan, która przyrzekła sobie, że po skończeniu powieści pryda po angielsku zbiór regionalnych francuskich przepisów kuharskich, zjadła się potrawami z wieprzowiny oraz pstrągiem w migdałach, obficie skrapiając te delicje czerwonym winem. - Prawdziwy pstrąg z rzeki. Nie z basenu - oświadczyła dumą właścicielka restauracji, zresztą rodowita paryżanka. Po obiedzie włóczyli się ulicami miasta, potem nad brzegami Lotu. Była piękna pogoda, w przyrodzie panował cudowny spokój Mendę, Lozere, Francja. 6 czerwca 1968

Obudziła się w jego ramionach. Delikatnie uwolniła się z uścisku i wysliznęła z łóżka. Z tranzystorem, paczką papierosów i zapalniczką zamknęła się w łazience. W otwartym lufciku widziała kawałek błękitnego nieba, którego nie mąciła żadna chmurka. Zapowiadał się dzień słoneczny, gorący, radosny.

Gdzieś tuż w pobliżu ćwierkały ptaki, bawiły się dzieci. W oddali jakiś młody głos nucił modną melodię, która płynęła z radia. Była to jedna z tych piosenek, które rodzą się w lecie i mijają razem z nim. "Tysiące razy każdego dnia dziewczyny porzucają swych chłopców" - głosiła.

Susan zaczęła się śmiać. To nie ona opuści Jacques'a. Taka myśl jest od niej daleka. Dłonie jej z zadowoleniem dotykały nagich piersi, z lubością wspominając ogień, z jakim Jacques kochał ją minionej nocy. Czula jego gorące i silne ręce na piersiach. Przez moment miała ochotę biec do pokoju, rzucić się na niego... Uśmiechnęła się do siebie w lustrze.

"Później - rzekła do siebie. - Najpierw prysznic. A potem breakfast. Żeby tylko w tym hotelu dawano breakfast obfity i treściwy". Nie mogła przywyknąć do skąpych śniadań francuskich: dwa rogaliki, filiżanka kawy, kropelka mleka, pół uncji masła albo konfitur!

"Tysiące razy każdego dnia" - powtarzało radio. Przekręciła gałkę tranzystora zastanawiając się jednocześnie, czy ma wziąć prysznic zimny, czy gorący. Zdecydowała się na zimny i właśnie namydlila się porządnie, kiedy zorientowała się, że trafiła na wiadomości.

Niezadowolona, już miała przekręcić gałkę, kiedy słowa, jakie wypowiadał spiker, wyraźnie przejęty, nabrały dla niej specjalnego sensu.

Bardzo wolno zamknęła kurek i zastygła z ciałem pokrytym jeszcze mydłem. Tam, w Los Angeles... Teraz jego brat... Wzdrygnęła się. Nagle przeszył ją chłód. Machinalnie odkręciła kurek z ciepłą wodą. Wrzący prysznic sprawił, że zadrzała. Tysiące myśli przebiegało jej przez głowę. Jednocześnie rejestrowała słowa płynące z aparatu radiowego. To straszne! Nie do wiary!

Temperatura wody stała się nie do zniesienia. Zamknęła kurek i wyskoczyła spod prysznica. Nacierала się mocno ręcznikiem, rozmyślając z większym już spokojem. Więc Plymouth Rock miał rację! Oni nie złożyli broni. Bezpieczeństwo, którym ufnie cieszyła się od siedmiu miesięcy, było iluzoryczne. Czyżby odkryto także jej ślad i szykowano się, by zgotować jej taki sam los, jaki przeznaczono ofiarom wymienionym przez Plymoutha Rocka?

Powiedziała sobie trzeźwo, że to mało prawdopodobne, mimo wszystko. Po cóż by tak długo zwlekali? A zresztą teraz ta podróż w nieznanie skutecznie zatrze ślady Susan. Ale jak długo jeszcze będzie musiała się ukrywać? Przez całe życie?

Narzuciwszy na siebie szlafrok kąpielowy, wróciła do sypialni. Jacques zrzucił prześcieradła. Promienie słońca kładły się smugami na nagim ciele śpiącego. Pożądanie zupełnie w niej wygasło. Myśli pochłonał wyłącznie dramat, który rozegrał się tysiące kilometrów stąd. Potrzaśnęła nim mocno.

Otworzył oczy i mruknął niezadowolony:

— Daj mi spać, umieram ze zmęczenia.

— Obudź się, Jacques. Posłuchaj, to bardzo ważne.

— Nie ma nic ważniejszego niż sen. Potrząsnęła nim jeszcze raz. Zaczął jęczeć:

- Jesteś sadystką. Założę się, że masz ochotę się kochać. Powiedziałem ci już, umieram ze zmęczenia.

- Nie chodzi o to. Posłuchaj, to sprawa poważna! Zamknął oczy, ale ona, pochyliwszy się nad nim, zrelacjonowała mu, co usłyszała przez radio.

Opowiadanie jej rozbudziło go całkowicie. Nieporadnie zapalił papierosa i dmuchnął dym w sufit.

- To straszne, prawda? Jak oni mogli!

- Oni? Co chcesz przez to powiedzieć? Z tego, co mi przed chwilą opowiadałaś, wynika, że był to zamach jednego człowieka.

— To spisek, Jacques. Taki sam, jak w wypadku jego brata.

— Co ty wygadujesz? Skąd wiesz?

Głos jego stał się lodowaty. Przyjrzała mu się uważniej, zdziwiona.

- Ależ... Jacques, co się z tobą dzieje?

Jego twarz zmieniła się w jednej chwili. Z nieprzeniknionej stała się na powrót serdeczna. Uśmiechnął się do niej ciepło.

- Nie zwracaj na mnie uwagi, Sue, jeszcze się nie obudziłem. Zamów lepiej śniadanie, umieram z głodu.

Pogłaskał ją po twarzy.

- Jestem wypompowany po dzisiejszej nocy, wiesz... Podniósł się i, wciąż jeszcze nagi, wszedł do łazienki. Wzruszyła ramionami.

Jacques zwykle budził się w nastroju raczej ponurym. Złożyła więc na karb złego humoru jego dziwną reakcję.

Kiedy zasiedli do śniadania, Susan, wciąż jeszcze zamyślona, machinalnie skubała rogalik. Jacques, zjadając z apetytem, próbował ją rozchmurzyć:

- Oczywiście, jesteś Amerykanką i wszystko, co wiąże się z Ameryką, dotyczy także i ciebie. Ale wydaje mi się, że niepotrzebnie robisz z tego sprawę osobistą. Rozruszaj się trochę.

Bardzo często zastanawiała się, czy nie powinna mu się zwierzyć, podzielić swymi lękami przed niebezpieczeństwem, które na nią czyha. Ale intuicja mówiła jej, że tym wyznaniem mogłaby coś między nimi zepsuć. A poza tym - cóż tu można powiedzieć konkretnego? Ona sama nie zna prawdziwych powodów śmierci tych kilku ludzi, a przede wszystkim nie wie, dlaczego i ona musi umrzeć.

I jeszcze raz wykręciła się od odpowiedzi:

- Nihil Americanum alienum est mihi.

Trzymając w ustach pół rogalika podniósł na nią zdziwiony wzrok.

— Cóż to za abrakadabra? - zamruczał.

— To łacina.

— I co to ma znaczyć, jeśli wolno wiedzieć?

- "Nic, co amerykańskie, nie jest mi obce". Zmarszczył brwi.

- Popatrz, popatrz! Rzymianie odkryli Amerykę przed Krzysztofem Kolumbem?

Zaczęła się śmiać.

- Ależ nie! To rzymski pisarz Terencjusz powiedział: "Nic, co jest ludzkie, nie jest mi obce". Ja tylko przerobiłam tę maksymę.

Jacques siedział przez chwilę w milczeniu.

- A gdybym ja jako Francuz chciał powiedzieć to samo, jak by to brzmiało po łacinie?

Zastanowiła się przez moment.

— Nihil Gallicum alienum est mihi.

— Otóż to!

Kiedy tego dnia wyruszyli w dalszą podróż, radość, jaką odczuwała od wyjazdu z Paryża, gdzie się ulotniła. Susan była zamknięta w sobie, zatrwożona, nieszczęśliwa. Tak by chciała komuś się zwierzyć. Jacques'owi nie mogła, ale gdyby tu była Barbara albo nawet Plymouth Rock...

Tak, czuła się nieszczęśliwa. A przecież krajobraz, jaki rozwijał się przed jej oczyma, był wprost cudowny. Okolice Tarn. Jechali przez dzikie wąwozy i podziwiała ich niepokojące piękno. Wodę, która była tak blisko drogi, że mogła jej niemal dotknąć ręką. Ostre skały o ściętych krawędziach, które z trudem utrzymywały równowagę na stromych zboczach. Ta surowa przyroda, te puste pola, nagie wzgórza - to wszystko było bardzo piękne, ale nie mogło rozproszyć głębokiego smutku, który w niej rósł i potężniał.

Paryż, Francja. Wrzesień 1968

Na ekranie kalifornijska plaża; na jej tle poruszają się sylwetki dwóch chłopców i jednej dziewczyny. Od trzech kwadransów obaj chłopcy usiłują przekonać dziewczynę, by w imię zasad wolności seksualnej pozwoliła pozbawić się dziewictwa. Dziewczyna się broni. Ma wiele kompleksów, które zrodziło surowe pu-rytańskie wychowanie. Ale chłopcy, cierpliwi i uparci, nie ustępują. Scenariusz był wprawdzie modny, ale fabuła zupełnie idiotyczna. Harry Shulz ziewnął, wyłączył dźwięk i przestał interesować się filmem.

Pojawiła się stewardesa, kazał więc sobie podać butelkę szampana. Spojrzał na zegarek. Dopiero za trzy godziny dolecą do Paryża. Na myśl o tym, co go czeka, rozkoszny dreszcz przebiegł mu po plecach. Paryż to fantastyczne miasto. Na nieszczęście będzie miał mało czasu, by skorzystać z tych wszystkich okazji, jakie Paryż ma do zaoferowania. Czekala go piekielna robota. Ale w gruncie rzeczy odpowiadało mu życie w wiecznym napięciu, wśród niebezpieczeństwa, które - jeśli chce się przeżyć - wymaga od człowieka inteligencji, zręczności i sprytu. I gdyby ktoś mu powiedział, że może rozpocząć życie na nowo, wybrałby bez wahania ten sam los.

Operacja Los Angeles zakończyła się pełnym sukcesem, za który otrzymał od Dixiego gratulacje i poważną premię.

Numer dwunasty i trzynasty zostały bezpowrotnie skreślone z listy przez Dixiego, likwidację numeru czternastego zgrabnie przeprowadzono we wrześniu, teraz zaś Harry Shulz pracował nad operacją numer dziesięć i jedenaście. Wprawdzie był trochę spóźniony, ale wierzył, że mimo to akcja zakończy się sukcesem.

Po wypiciu szampana zdrzemnął się i obudził dopiero nad Orły. Mimo że był już koniec września, niebo było jasne, słońce pięknie świeciło.

Pierwszą wizytę Harry Shulz postanowił złożyć w domu przy ulicy Monceau.

Musiał dzwonić kilka razy, zanim otworzyły się drzwi wejściowe i stanęła przed nim nieduża starsza kobieta. Posłał jej jeden ze swoich promiennych uśmiechów, który - wiedział o tym - był pełen uroku.

- Dzień dobry pani. Czy pan Jacques Berger jest w domu? Wysoki wzrost, elegancka postawa i przyjemna twarz Shulza

wywarły na kobiecie korzystne wrażenie. Odwzajemniła jego uśmiech.

- Nie, proszę pana, wyjechał. A kim pan jest?

- Jednym z jego starych przyjaciół. Jestem przejazdem w Paryżu i pomyślałem, że powinienem się z nim zobaczyć. Pani jest może jego krewną?

Zaśmiała się.

— Ależ skąd! Jestem jego służącą, nazywam się Marcelle.

— Ach tak? Czy pan Berger prędko wróci?

— Mówiąc prawdę, nie wiem. Z nim nigdy nic nie wiadomo.

— To święta prawda. Znam go doskonale i muszę pani przyznać rację.

— Ale niech pan tak nie stoi przed drzwiami. Proszę wejść do środka. Napije się pan może herbaty albo kawy?

- Z przyjemnością.

Wprowadziła go do salonu, on zaś zaczął wydawać okrzyki zachwyty na widok mebli i salonu.

- Pan tu pierwszy raz? Nigdy pana nie widziałam. Wie pan, ja pracuję u pana Bergera od początku, jak tylko kupił ten dom.

Pokiwał głową.

- Rzeczywiście, jestem tu pierwszy raz.

- Pan jest cudzoziemcem, prawda?

Wprowadziła jego francuszczyzna była doskonała, ale mimo to wyczuła jego cudzoziemski akcent.

— Anglik? - próbowała zgadnąć.

— Jak pani na to wpadła? Zaczęła się śmiać.

— To proste. Pan wygląda zupełnie jak angielski gentleman.

— Dziękuję za komplement.

Odpowiadało mu to, że bierze go za Anglika. Jeżeli Marcelle skomunikuje się z Jacques'em Bergerem, lepiej będzie, gdy wspomni mu o wizycie Anglika niż Amerykanina. Berger nie będzie taki podejrzliwy.

Usiadł w fotelu i popijał kawę małymi łykami, ona zaś stała przed nim, skrzyżowawszy ręce na brzuchu.

Odstawił filiżankę.

- Tak więc, Marcelle, pani nie wie, kiedy wraca pan Berger?

- Nie. Mówiłam już panu.

- Bardzo żałuję, że się z nim nie zobaczę. Będę w Paryżu tylko kilka dni...

- Może pan zostawi wiadomość?

— Nie, to nie ma sensu. Jego oczy myszkowały wszędzie.

— Czy dawno wyjechał?

— O, minęło już kilka miesięcy. Ale dwa czy trzy tygodnie temu wpadł tu na parę dni.

— Kilka miesięcy! - wykrzyknął Shulz.. - I zostawił tu panią samą na tak długo?

- Och, nie mam się czego bać, proszę pana.

— To znaczy... chciałem zapytać, jak pani sobie radzi? Utrzymanie domu chyba nieźle kosztuje. A pani sama...

— O, pan Berger jest przewidujący. Wszystko załatwił przez swój bank. Credit Lyonnais na bulwarze Haussmanna. Rachunki za wodę, gaz, elektryczność, telefon są inkasowane bezpośrednio w banku. Bank również przekazuje mi c(r) miesiąc moją pensję, a także pewną sumę na regulowanie innych wydatków.

- Rozumiem. Ten stary Jacques zawsze wszystko świetnie potrafi zorganizować. Wstał i zaczął spacerować po pokoju.

- I nigdy do pani nie pisze? Po stemplu pocztowym można by zorientować się, gdzie przebywa. Gdyby to było po drodze, może złożyłbym mu wizytę... Potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, nie pisze. Ani słóweczka. Ale ja już jestem przyzwyczajona. Nawet specjalnie się nie martwię.

Harry Shulz, nie spiesząc się, zapalił papierosa, potem mrugnął porozumiewawczo do Marcelle.

- Ponieważ pani jest domownikiem, mogę pani powiedzieć coś w zaufaniu. Jadąc tu, spodziewałem się trochę, że mnie zaprosi na ślub.

Zrobiła zaskoczoną minę.

- Ślub? Jaki ślub? Wybuchnął śmiechem.

- Brawo. Pani potrafi utrzymać sekret. Ale ja jestem wtajemniczony. Mówię o tej Amerykance. Przecież to jego narzeczona.

— Narzeczona? Ma pan na myśli pannę Bramovitz?

— Właśnie. Susan Bramovitz.

- Ależ oni nie mają zamiaru się pobrać! - wykrzyknęła. - Już od wielu miesięcy mieszkają razem, ale nie wygląda na to, żeby chcieli to legalizować.

Nagle umilkła i zachmurzyła się.

- Ja gadam i gadam... A przecież....

Harry Shulz podszedł do niej i poklepał ją lekko po ramieniu.

- Niech się pani nie obawia, wszystko zostanie między nami.

Nagle strzelił palcami.

— Obrzydliwy kłamczuch!

— Kto?

- Na pewno tu bywał. Myślę o najlepszym przyjacielu Susan Bramovitz. Także Amerykanin. Wysoki, twarz opalona, włosy krótko ostrzyżone, szpakowate. Charles, Charles Cunningham.

Zmarszczyła brwi.

— Nie. Nie znam takiego.

— Ależ tak, niech pani sobie przypomni.

We wzroku starej kobiety pojawił się błysk nieufności.

— Ale dlaczego pan mnie tak wypytuje? Ścisnął ją za ramię.

— To on. To właśnie ten typ naopowiadał mi tych historii

o rzekomym małżeństwie Susan i Jacques'a. A to mnie facet nabrał!

Nie wydawała się przekonana. Błysk niepokoju nie zniknął z jej oczu.

Odwrócił się i dyskretnie wyjął z portfela dwa stufrankowe banknoty. Potem zwrócił się do niej.

- Była pani bardzo uprzejma. Zabrałem pani dużo czasu. Proszę mi wybaczyć.

Chciałbym panią jeszcze prosić, żeby nie wspominała pani o mojej wizycie panu Bergerowi.

Nabijałby się ze mnie, gdyby się dowiedział, że ten błagier Cunningham tak mnie nabrał. A ja nie znoszę jednej rzeczy - właśnie żeby ktoś się ze mnie nabijał.

Poufale poklepał ją jeszcze raz po ramieniu, wsuwając jednocześnie do ręki banknoty.

Zrobiła ruch, jakby chciała się cofnąć.

— Ależ...

— Nie, nie, bardzo proszę.

Zacisnął palce starej kobiety na banknotach.

- Teraz mamy wspólny sekret, prawda? - dorzucił żartobliwym tonem. A po chwili dodał już zupełnie serio: - Liczę na panią.

Porozumiewawczy uśmiech rozjaśnił jej twarz.

- Dobrze, proszę pana. Może pan na mnie liczyć. Odprowadziła go do drzwi. Shulz uściśnął gorąco jej rękę i szybko zniknął za rogiem ulicy.

Dzień był piękny, powietrze ciepłe, i paryżanki, korzystając z ostatnich przeblysków kończącego się lata, paradowały w lekkich strojach, uwydatniających ich kształty. Harry Shulz cieszył się ich widokiem.

Przeszedł bulwarem Malesherbes i wrócił do hotelu, dyskretnego, ale wygodnego, tuż koło kościoła Madeleine.

Musi szybko wyjaśnić sprawę zniknięcia Jacques'a Bergera oraz numeru 11. Nie leżało w jego zwyczaju omijanie przeszkód, które stawały mu na drodze. Miał liczne kontakty w Paryżu i sądził, że dzięki nim uzyska pomoc. Spośród tych kontaktów w tej konkretnej sprawie mogły być przydatne dwa.

Powróciwszy do siebie, pospiesznie załatwił pewien telefon, wyszedł z hotelu i wsiadł do taksówki.

Drugą z kolei wizytę złożył w pewnej dużej posiadłości w Saint-Cloud.

Gdy tylko zadzwonił, bramę otworzył mu mężczyzna wysoki, zbudowany jak atleta, o oczach zimnych i badawczych, i poprowadził aleją wysadzaną dostojnymi topolami.

Po dość sfatygowanych schodkach weszli na mały taras, a następnie do hallu, w którym czuć było stęchlizną. Z niego prowadziło kilka par drzwi do dalszych pomieszczeń. W głębi widać było szerokie marmurowe schody, prowadzące na piętra.

Z jednych drzwi wyszedł Emil Mascot i dał znak, aby Shulz udał się za nim. Wprowadził go do salonu, zamknął za sobą drzwi i ręką wskazał krzesło.

- Siadaj, Harry.

On sam usadowił swoje olbrzymie cielsko na wspaniałej skórzanej kanapie. Salon uderzał luksusem i komfortem. Antyki dużej wartości, ciężkie obicia i grube dywany perskie wprowadzały przytulny nastrój. Szerokie okno było otwarte i lekki wietrzyk przynosił aż tu woń kwiatów i świeżej ziemi.

- What you like drink, Harry? - spytał Emil Mascot. Jego angielszczyzna była bardzo nieudolna i Shulz wolał prowadzić rozmowę po francusku.

- Na tę porę dnia najlepiej chyba nadaje się whisky.

- O key, Harry.

Zadzwonił i jak spod ziemi wyrosła karykatura lokaja z belle epoque, w kamizelce w żółte i czarne prążki, z gęstymi krzaczastymi faworytami po obu stronach łysej czaszki. Mascot krótko rzucił mu kilka poleceń.

"Stary bandzior zamienił się w mieszczucha" - pomyślał ubawiony Shulz.

Lokaj zniknął. Mascot zwrócił się do Shulza.

— Jakież dobre wiatry sprowadzają cię do nas, Harry? Shulz od razu przeszedł do rzeczy.

— Chciałbym cię prosić o pewną przysługę.

— Niestety, wycofałem się z interesów.

- Rzecz jasna, proszę o przysługę, która ci świetnie się opłaci. Stary Mascot był chciwy jak średniowieczny lichwiarz. Westchnął głęboko.

- Pieniądz jest niczym, tylko zdrowie jest ważne.

— Jeżeli o to chodzi - zaśmiał się ironicznie Shulz, rzuciwszy okiem na rozparte na kanapie cielsko tryskające zdrowiem - ty nie możesz narzekać.

— Dobrze, dobrze - mruknął Mascot. - Mów. O co chodzi?

— O odnalezienie pewnego mężczyzny i pewnej kobiety. To nie powinno być zbyt trudne.

Francuz i Amerykanka.

— Gdzie się znajdują?

— Nie wiem. Prawdopodobnie we Francji.

— Są jakieś dane?

- Nie. Mam adres Francuza w Paryżu, ale to nie posuwa sprawy naprzód.

— Jesteś tego pewny?

— Tak, jestem pewny.

Potężna pierś znowu uniosła się w westchnieniu.

- Nic nie mogę dla ciebie zrobić.

Harry Shulz miał właśnie powiedzieć coś na ten temat, kiedy pojawił się lokaj z tacą pełną butelek i kieliszków. Nie brakowało też kubelka z lodem.

Lokaj napełnił kieliszki i Mascot podniósł swój do góry.

— Twoje zdrowie, Harry. Wypili. Shulz odstawił szklanke.

— Dlaczego, Emilu?

- Powiedziałem ci przed chwilą, że wycofałem się z interesów. Od biedy mógłbym ci pomóc w okolicach Paryża, ale jeśli chodzi o prowincję czy zagranicę - kompletna kłapa. Nie mam szans.

- Co się z tobą stało, Emilu?

- Nic. Spasowałem, to wszystko. "Nowa fala" to nie dla mnie. Wystarczy mi sztabek złota, które zgromadziłem podczas dewaluacji, oraz kamieni, które są w cenie. Emilek się ustatkował i włożył bambosze.

- Hańba! W twoim wieku, Emilu!

- Nie przesadzajmy! Jasne, że od czasu do czasu finansuję jakiś skok dobrze zorganizowany przez specjalistów. Mam z tego swoje dwadzieścia pięć procent. Na pall maile.

Banki to była specjalność Emila Mascota od jakichś dwunastu chyba lat. Finansować skok, a robotę zostawić innym! Swego czasu Emil poważnie się skompromitował. Jego apogeum to czasy okupacji niemieckiej.

Ale - kuty na cztery nogi - i w tym okresie uniknął pułapek polityki i po wyzwoleniu wypłynął znowu na wierzch czysty jak aniołek. Tak czysty, jak czyste było jego konto w rejestrach policji; zresztą pozostał też czysty mimo gangsterstwa, rozlicznych włamań, napadów na banki, a na dodatek jeszcze morderstw - zdalnie kierowanych. I ostatecznie wyładował w tej posiadłości w Saint-Cloud jak generał w stanie spoczynku...

Shulz pierwszy przerwał krótkie milczenie, jakie zapadło między nimi.

- Powiedz mi, Emilu - rzekł zamyślony - gdzie mogę znaleźć Paula Languemouille'a.

Mascot zakasłał, aby mieć chwilę czasu na zastanowienie się nad odpowiedzią. Shulza to umocniło w przekonaniu, że na pewno zna on kryjówkę swego starego kumpla. Mascot odpowiedział na pytanie pytaniem:

— Słyszałeś, co mu się przydarzyło?

— Owszem, czytałem.

— A więc wiesz, że zniknął. Nikt nie wie, gdzie jest. Shulz mrugnął do niego.

— Nikt, ale nie ty, Emilu.

— Ja też nie wiem.

Shulz pociągnął łyk whisky, odstawił szklanke i popatrzył Ma-scotowi prosto w oczy. W jego spojrzeniu pojawił się twardy błysk, ale tamten ani mrugnął.

— Emilu, obrażasz mnie. Czy nikt nie ma już do mnie zaufania?

— Ależ ma, oczywiście. Ale sprawy Paula to wyłącznie jego interes.

— Posłuchaj, Emilu. Sprawy Paula mam gdzieś i nie mam zamiaru do nich się wtrącać. Ale skoro ty nie możesz mi pomóc, chcę zwrócić się do niego. On mi pomoże.

Mascot parsknął śmiechem.

- Ach tak? Chyba zdajesz sobie sprawę, że on jest za granicą? Nie wiem w takim razie, jak mógłby ci pomóc.

- Bezpośrednio nie. Ale on ma różne kontakty... Tym razem Mascot zaczął się śmiać na głos.

— Te kontakty na nic mu się zdały. Musiał spakować manatki, jak inni.

— Chcesz przez to powiedzieć, że pozwolono mu wyjechać?

— Co?

- Jasne. Gdyby chcieli, mogliby go dostać nawet tam, gdzie teraz przebywa. To była sprawa wyższej polityki. On był tylko siłą wykonawczą. Powiedziałeś, że jest za granicą. Pozwól mi zgadnąć. Maroko?

Mascot nie odpowiedział.

- Nietrudno zgadnąć. Stamtąd przecież pochodzą ludzie, którzy go opłacali. A poza tym miał tam jakieś interesy, dobrze pamiętam. Emilu, myślę, że zrobię mały wypad do Maroka. Wypił resztę whisky i podniósł się z miejsca.

- Dziękuję za szkocką, Emilu. Żegnam.

Skierował się w stronę drzwi, nim jednak wyszedł, odwrócił się jeszcze raz!

- W Stanach Zjednoczonych z przykrością dowiedzą się, Emilu, że zdzieciniałeś, i to do tego stopnia, iż odmawiasz drobnej przysługi staremu przyjacielowi. Żal mi właściwie twoich udziałów w kasynach gry...

- Zaczekaj, Harry...

Głos uwiązał Emilowi w gardle. Ciężko uniósł się z kanapy, zrobił kilka kroków i zatrzymał się pośrodku pokoju.

- Mogę ci dać ten adres w Maroku. Słowo. Tylko najpierw muszę skontaktować się z Paulem. A to zajmie trochę czasu. Około tygodnia... Mógłbyś poczekać?

— Mógłbym. Zatelefonuję za tydzień. Zgodna? Mascot skinął głową.

— Nie miej do mnie urazy, Harry. Rozumiesz mnie chyba. Shulz wzruszył ramionami.

— Widziałem gorsze rzeczy, Emilu.

Ucisnęli sobie dłonie i Shulz wyszedł. Kiedy maszerował wielkimi krokami aleją wśród topoli, przypomniał sobie reakcję starego łajdaka na wzmiankę o udziałach w kasynach gry. Nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

Najlepszy sposób, by przywołać do porządku tego sknerę, to wspomnieć o pieniądzach.

Gdzieś na południu Francji.

Październik 1968

Jacques położył słuchawkę telefoniczną i odwrócił się do osłupiałej Susan.

- Spalił się... - powiedział wolno, jakby nie wierzył własnym słowom.

— A Marcelle? - zapytała wstrząśnięta.

— Zginęła w pożarze.

Mówił głosem cichym, ponurym.

- Dowiedziałeś się jakichś szczegółów? Jak to się stało? Wzruszył ramionami.

- Nikt nic nie wie. Wydarzyło się to w nocy, jakiś miesiąc temu. Dochodzenie policyjne stwierdziło, że to wypadek, ale dokładnych przyczyn nie zdołano ustalić.

- Biedna Marcelle...

- Susan, będziemy musieli wrócić do Paryża. Powinienem załatwić sprawę ubezpieczenia, a poza tym muszę się stawić na policji.

- Oczywiście, Jacques.

Kiedy parę godzin temu próbował połączyć się z Marcelle, żeby zapowiedzieć ich bliski powrót do Paryża, automat za każdym razem powtarzał mu, że numer, który nakręcił, nie został jeszcze nikomu przydzielony. Wreszcie, nic nie rozumiejąc, postanowił zwrócić się do reklamacji. Po dwugodzinnych usiłowaniach, by uzyskać jakąś informację, w końcu otrzymał połączenie z centralą paryską, gdzie poradzono mu skontaktować się z komisariatem ósmej dzielnicy przy ulicy Lisbonne. Tam zastępca komisarza oświadczył mu sucho, że dom przy ulicy Mon-ceau spłonął, - a Marcelle poniosła śmierć; odnaleziono tylko jej zwęglone zwłoki. Nic nie wskazuje na to, że to podpalenie, raczej przypuszcza się, iż przyczyną pożaru była jakaś nieostrożność Marcelle. Pan Berger jest proszony o jak najszybsze stawienie się w komisariacie ósmej dzielnicy w celu udzielenia odpowiedzi na kilka pytań, by policja mogła już zamknąć akta sprawy. Pozostały też do uregulowania koszty interwencji straży pożarnej i policji.

Podróż powrotna upłynęła w nastroju smutnym i ponurym, który pogłębiała jeszcze brzydka pogoda. Bez ustanku siąpił drobny deszczyk, szosa była śliska i Jacques musiał prowadzić samochód bardziej ostrożnie niż zazwyczaj.

Zatrzymali się w Avallon, zjedli kolację i przenocowali w "Hotel de la Poste", który słynął z doskonałej kuchni.

Następnego dnia dotarli do Paryża. Jacques był ponury, pogrążony w myślach.

Kiedy Susan dowiedziała się o pożarze, odżył w niej dawny niepokój. Policja twierdziła, że nie znaleziono śladów, które pozwalałyby podejrzewać, że jest to sprawa kryminalna; jeżeli jednak teoria Plymoutha Rocka była trafna, to całą operację musieli realizować zawodowcy, a dla nich upozorowanie podpalenia na pożar przypadkowy było dziecinną zabawką.

"A jednak w moim rozumowaniu jest błąd" - pomyślała. Gdyby ją chcieli zlikwidować, po co by podpalali dom, w którym właśnie wtedy jej nie było? Rozumując logicznie, nie można przypuścić, że zawodowcy pomylili się i wzięli Marcelle za Susan. Idąc dalej, dochodzimy do następnego logicznego wniosku, że niszcząc dom przy ulicy Monceau zniszczyliby tym samym jedyną szansę odnalezienia jej - oczywiście jeżeli założyć, że zagubiono jej ślad od czasu ich wyjazdu z Paryża w maju. Nie, jej obawy są absolutnie pozbawione podstaw. Wszystko wskazuje na to, że pożar wybuchł zupełnie przypad-

kowo. Nie ma również powodu, by przypuszczać, że odnaleziono jej ślad w Paryżu. A zatem? Jechali już przedmieściami Paryża, kiedy Susan snuła te rozważania. Gdy Jacques zatrzymał samochód przed hotelem na Avenue Pierre I de Serbie, wysiadła z niego niemal zupełnie spokojna.

Ich pobyt w Paryżu trwał mniej więcej tydzień. Codziennie rano Jacques szedł załatwiać rozmaite drobiazgowo formalności związane z pożarem i ze zgonem Marcelle... Starał się także uzyskać odszkodowanie od towarzystwa ubezpieczeniowego. Jacques nie był właścicielem domu, tylko lokatorem. Wyjaśnił jednak Susan, że ubezpieczył na poważną sumę wartościowe meble i inne cenne przedmioty, które znajdowały się w domu.

Wracał zwykle dopiero wieczorem.

W ciągu dnia Susan chodziła do kina na pobliskich Champs--Elysees albo po prostu oglądała wystawy sklepowe. Nadchodziła zima, a nowa moda była fascynująca. Robiła więc sprawunki, kupowała suknie, spódniczki, pulowery, spodnie, buty, zadając sobie jednocześnie pytanie, gdzie ona to wszystko będzie trzymać. Ich pokój w hotelu był wprawdzie duży, ale już porządnie zawalony bagażami, które mieli ze sobą. Jacques będzie niezadowolony.

Wprawdzie miała doskonałe tłumaczenie: wszystkie jej stroje z ostatniej zimy spłonęły w pożarze.

Susan na razie jakoś nie miała ochoty wracać do swojej powieści. Skończyła szesnaście rozdziałów. W tym roku na początek sezonu literackiego i tak nie zdąży. Nie było więc pośpiechu.

Od maja, od ich wyjazdu z Paryża, podróżowali bardzo dużo. Byli nawet w Szwajcarii i we Włoszech.

W sierpniu Jacques wynajął willę na brzegu Lago Maggiore i w osiem dni później wyjechał na trzy tygodnie. Było to ich pierwsze rozstanie od kwietnia - od czasu, kiedy opuścił Paryż na dziesięć dni, tuż po wyjeździe Barbary Romano.

I tym razem również nie udzielił żadnych wyjaśnień, nie podał żadnych szczegółów dotyczących swojej podróży. Któregoś wieczoru zjawił się po prostu z tradycyjnym upominkiem w ręku.

Susan wykorzystała samotność i znowu pogrążyła się w pracy nad swoją powieścią, od czasu do czasu pozwalając sobie jedynie na kąpiel w jeziorze. Kilka dni po ich powrocie do Paryża zatelefonowała do matki, a potem do Barbary Romano, która zawiadomiła ją, że projekt urządzenia paryskiej ekspozycji ze względu na napiętą sytuację polityczną we Francji został przesunięty na rok przyszły. Za to w Nowym Jorku jej rozgłos wzrasta w tempie wprost zawrotnym.

- A twoja powieść, siostrzyczko? Craig Greenwald ciągle dopytuje się o ciebie.
- Jeszcze sześć rozdziałów i koniec - zapowiedziała Susan z triumfem.
- Nie ma czym się chwalić - zganiła ją Barbara. - W ciągu rocznego pobytu w Paryżu nie potrafiłaś jej skończyć!
- Ostatnio mieliśmy kłopoty. Mówiłam ci już, pożar...
- Nie czaruj. Dość miałaś czasu, żeby ją napisać. Chyba wiesz, że jest już za późno, żeby wyszła w tym roku.
- Wiem - odparła Susan, zapalając obojętnie papierosa.
- Ależ na Boga! Co wy robicie całymi dniami?! - uniosła się Barbara. - Nie wychodzicie chyba z łóżka?
- Jakżeś to zgadła? - roześmiała się Susan.
- Siostrzyczko, jeżeli zechcecie się pobrać, zróbcie wszystko, żeby to nie było we Francji. Nie lubię ani gazów łzawiących, ani pałek gumowych, ani kamieni świszczących w powietrzu. Chyba że nie zależy wam na tym, żebyś była na ślubie...
- Zastanowię się - obiecała ze śmiechem Susan.
- Gdzież wy będziecie teraz mieszkać? W przytułku Armii Zbawienia ?
- Nigdy nic nie wiadomo. Będę cię informować o zmianach. Ucałuj ode mnie Daniela. Jacques wszedł do pokoju, kiedy właśnie odkładała słuchawkę.
- Z kim rozmawiałaś? - zapytał. - Mówiłaś po angielsku.
- Z Barbarą.
- Co u niej słychać?
- To gwiazda Nowego Jorku. A co u ciebie?
- Towarzystwo ubezpieczeniowe nareszcie wystawiło mi czek. To nie była sprawa łatwa.

Po raz pierwszy od czasu wiadomości o pożarze jego twarzy, ostatnio stale zatroskana, była uśmiechnięta.

- Sue, dziś wieczór zapraszam cię na kolację z szampanem. Zasłużyliśmy na to po tych wszystkich emocjach.

Susan była szczęśliwa. Odnalazła na nowo takiego Jacques'a, jakiego uwielbiała.

- To dobrze się składa - odpowiedziała z zapałem. - Mam właśnie nowy komplet od Yves Saint-Laurenta. Trochę wariacki, ale cudowny. Będę mogła go oblać!

Nie wspomniała, że komplet kosztował bagatelkę, sześćset dolarów.

Jacques rozejrzał się naokoło z niepokojem.

- To prawda, od kilku dni ten pokój przypomina sklepik handlarza starzyzną.

— Handlarz starzyzną? Kto to jest?

— To taki facet, który skupuje stare łachy i gałgany.

— Ach, ty...

Rzuciła się na niego i zaczęła go okładać pięściami. Jacques przytulił ją mocno, jego usta poszukały jej ust. Podstawił jej nogę i przewrócił ją na łóżko.

— Co ty robisz, Jacques?

— To chwyt dżudo.

— Nauczysz mnie takich chwytów?

- Czy twoja bielizna jest także od Yves Saint-Laurenta ? Rozbierz się, żebyśmy mogli ją podziwiać.

- Powiedz mi, dlaczego ja cię kocham?

Kochali się po raz pierwszy od czasu, jak nadeszła wiadomość o pożarze.

- Jacques, masz zamiar zostać w Paryżu?

Siedzieli w przytulnym kabarecie. Światło było dyskretne, przyćmione, ale na tyle jasne, że dało się odróżnić potrawy znajdujące się na talerzu. Orkiestra grała pianissimo, nie zagłuszała głosów rozmówców. Jacques nie znosił hałaśliwych lokali. Kuchnia była nie najlepsza, ale szampan znakomity. Od kiedy Susan przebywała we Francji, nauczyła się pić szampan wytrawny. Przedtem, jak wszyscy Amerykanie, przepadała za szampanem pół-wytrawnym, i to jej dziwne upodobanie zawsze budziło w Jacques'u wesołość. "Zresztą - pomyślała Susan - Francuzi zawsze okazywali wyniosłą pogardę dla cudzoziemców i ich gustów w dziedzinie kuchni, win, mody damskiej i samochodów. Nie mówiąc już o tym, jak oceniają poziom intelektualny obcokrajowców".

Pytanie Susan wprowadziło Jacques'a w widoczne zakłopotanie.

— Ja sam zadaję sobie to pytanie od wielu dni - odpowiedział w końcu. - Waham się. Masz jakiś pomysł?

— To przecież twoja sprawa, Jacques. Pójdę tam, gdzie i ty. Oczywiście, jeżeli będziesz mnie chciał.

- Idiotka!

Orkiestra umilkła. Na scenie w huku cymbałów ukazała się jakaś dwudziestoletnia Edith Piaf, której wawrzyny Mirelle Ma-thieu nie pozwalały spokojnie spać. Wydarzania majowe były w modzie. Przez pół godziny śpiewała więc piosenkę o miłości na barykadach, wśród gazów łzawiących; następnie w najczystszy stylu anarchistów przerzuciła się na parodię pieśni Mon Legionnaire, zastępując białe kepi czerwonym sztandarem. Omdlała w finałowych akordach cymbałów, a łyż z gliceryny rozpuściły jej tusz do rzęs.

- Właściwie nie mam żadnego specjalnego powodu, żeby się wiązać na stałe z Paryżem - powoli powiedział Jacques.

Strzeliwszy palcami przywołał piwniczego i zamówił drugą butelkę szampana.

- Myślałam, że lubisz Paryż?

- To prawda. Ale mam ochotę zmienić klimat. A poza tym musimy pomyśleć o twojej powieści. Byłem egoistą. Nie pozwoliłem ci pracować.

Susan z bolesnym skurczem w sercu powiedziała sobie: "Stało się. Ma mnie dość. Chce się mnie pozbyć. Trzeba szybko kończyć powieść i wynosić się. Doskonaleśmy się bawili przez ten rok, ale dość już tego dobrego".

Pod elegancką formą nietrudno było odgadnąć ukrytą intencję.

- Masz rację, Jacques, trochę zaniedbałam powieść - przyznała słabym głosem.

Czuła bezmierny smutek. Cała jej radość gdzieś się ulotniła.

- Słyszałem o pewnej willi do wynajęcia w pobliżu Mento-ny. W tym sezonie miasto jest spokojne. Sami emeryci. Ale będziemy niedaleko Nicei. A przede wszystkim ty będziesz mogła spokojnie pracować. Zresztą w listopadzie będę musiał wyjechać prawie na miesiąc. Przeniknął ją chłód. A więc szykuje się zerwanie. Okresy nieobecności Jacques'a były coraz dłuższe. Może poznał jakąś inną dziewczynę? Może zapraszał Susan na Lazurowe Wybrzeże, bowiem uważał, że ma obowiązek odczekać, aż ukończy powieść, i dopiero potem się jej pozbyć?

Ta myśl była nie do zniesienia.

A może chodzi o jakąś dawną miłostkę, z której nie może się wyplątać ?

- Mentona to bardzo dobry pomysł, Jacques - usłyszała swój własny niepewny głos. Piwniczny odkorkował butelkę. Nalał jej kieliszek. Nim zdążył przechylić butelkę nad kieliszkiem Jacques'a, ona wychyliła swój jednym tchem. Piwniczny spojrzał na nią zaskoczony i bez zapału napełnił na nowo jej kielich.

Jacques patrzył akurat w drugą stronę. Nagle zwrócił się ku niej i powiedział:

— Moglibyśmy wyjechać w poniedziałek. Co o tym sądzisz? Przedtem muszę zadzwonić do właściciela willi.

— Sądzę, że to wspinała myśl. Dla mnie będzie to okazja do pokazania się w tych wszystkich nowych toaletach, które sobie zafundowałam - próbowała żartować.

- Doskonale! Wypijmy za Mentonę.

Podnieśli kieliszki. Susan znów wypila jednym tchem. Czuła się trochę zawiana, to dobrze. Poprosiła o jeszcze jeden kieliszek szampana. Jacques przyglądał się jej z ciekawością. Kabaret opuścili o trzeciej nad ranem. Susan ledwie trzymała się na nogach. Jacques musiał ją wziąć pod ramię. Wstając od stołu, przewróciła kubek z lodem i oblała sobie nogi lodowatą wodą. Wilgotna mgiełka przesłaniała jej oczy i tylko to nie pozwoliło jej dostrzec ironicznych spojrzeń personelu lokalu. Bateria instrumentów, w której dominował ogromny kocioł, biła w uszy, aż pękały skronie. Jednakże kiedy wychodzili, perkusista nieco przycichł i to pozwoliło Susan usłyszeć, jak Jacques szepcze jej do ucha:

- Skończona idiotka. Myślałaś, że chcę cię rzucić? Stała na chodniku i zaczęła niemądrze płakać.

By uniknąć weekendowego tłoku na drogach, udali się następnego dnia, w piątek, na cmentarz Thiais. Kupili dwie ogromne wiązanki kwiatów i złożyli na grobie Marcelle. Były to jedyne kwiaty, jakie zdobiły świeżo usypany wzgórek.

— Czy ona nie miała rodziny? - zapytała Susan.

— W policji mi powiedziano, że nie. Ale poszukiwania jeszcze trwają.

Opuściwszy cmentarz, Jacques zaszedł do kamieniarza i zamówił nagrobek oraz krzyż.

Omówił wszystkie szczegóły wykonania i z góry zapłacił całą należność.

Gdzieś w Maroku. Październik 1968

— Herbaty miętowej, Harry? Shulz był zaskoczony.

— Tyś... Jakże to wy, Francuzi, powiadacie?... zdziadział? Paul Languemouille uśmiechnął się wyrozumiale.

- Właśnie. Ale cóż chcesz, trzeba się dostosować do klimatu. Gestem ręki wskazał olbrzymi pokój w typowym stylu mauretańskim z podłogą pokrytą luksusowymi dywanami z Kairuanu.

- Nieźle, co?

Shulz przytaknął ruchem głowy.

- Daj mi raczej whisky, Paulo.

Paul Languemouille (bardziej znany jako Paulo Lang, swoje bowiem prawdziwe nazwisko uważał za śmieszne) strzelił palcami w stronę służącego w egzotycznym stroju, który schyliwszy głowę czekał na rozkazy.

- Herbata i whisky. Służący zniknął bez słowa.

— Masz też harem? - zapytał z ironią Shulz. - Emil gra wielkiego burżuja, a ty - księcia z tysiąca i jednej nocy.

— Prześtań pieprzyć, Harry. Wierz mi, za skrawek nieba nad Saint-Ouen oddałbym całe słońce tego kraju. To słońce przyprawia mnie o mdłości. Czego tu mi brakuje, to paryskiego deszczu.

Harry Shulz rozumiał go dobrze. On, który lubił tylko Nowy Jork, zgadzał się z Paulem Langiem w tym umiłowaniu wielego miasta, jakiego doznają ludzie, których dzieciństwo upłyło w dzielnicach biedoty zimnych metropolii Północy. Ale oto już zjawił się służący i bezszelestnie i z wprawą rozawiał na niskim stoliku specjalny przyniesione na ciasno zastawionej tacy. Paulo Lang, chrupiąc orzeszki pistacjowe, przyglądał się z ciekawością Shulzowi. - Musisz mieć bardzo ważną sprawę, Harry, jeżeli wybrałeś się aż w taką podróż.

Shulz wyłożył mu pokrótce cel swojej wizyty. Paulo nie robił żadnych uwag. Łakomie mlaskając językiem popijał herbatę z mięty. Shulz patrzył z obrzydzeniem, nie znosił bowiem napojów, które kojarzyły mu się z rumiankiem, ten bowiem znowu w przykry sposób przypominał mu ospę, różyczkę, koklusz, świnkę i inne choroby z dzieciństwa.

Fakt, że Paulo Lang był jeszcze przy życiu, Harry Shulz uważał za prawdziwy cud.

Wyszedłszy najpierw cało z fantastycznej wprost wpadki w gestapo przy ulicy Lauriston, później w momencie wyzwolenia umknął oddziałom egzekucyjnym i przystał do gangu Zwariowanego Piotrusia. Potem kilka lat spędził w więzieniu Fresnes. Sprawę umorzono. Seria udanych napadów i wkrótce stał się właścicielem ogromnej fortuny. Kiedy rozpoczął się wielki francuski boom turystyczny na Hiszpanię, ulokował kapitał w nieruchomościach, których ceny wkrótce poszły fantastycznie w górę. Jednocześnie z powodzeniem inwestował w hotelarstwo w Maroku, potem zajął się urządzaniem pewnych lokalików, bardzo zresztą przytulnych. Trzeba je było należycie meblować, musiał więc zająć się importem idiotek, gorliwych czytelniczek France-Dimanche, które wyobrażały sobie, że sam król Hassan rozwiedzie się dla ich pięknych oczu. Było też kilka owocnych afer również na terenie Francji.

Na nieszczęście, Paulo, chcąc mieć ciche zezwolenie na działanie na terenie Francji, musiał przyłożyć ręki do paru operacji polityczno-policyjnych, niekiedy udanych, jak na przykład akcja przeciw OAS. Jednakże ostatnia akcja, porwanie politycznego lidera z Afryki Północnej, zakończyła się fatalnie, przede wszystkim

kim zaś narobiła wielkiego hałasu. Poszukiwany przez wszystkie policje Francji, Paulo Lang znalazł schronienie w Maroku, gdzie korzystał z wpływowych protekcji i żył jak pasza.

Harry Shulz dołał sobie do whisky wody sodowej i wrzucił dwie kostki lodu. Pokój nie był klimatyzowany, i wentylator, umieszczony pod sufitem, z trudem odświeżał powietrze, gorące i mokre. W głębi duszy gratulował sobie, że ubrał się w lekkie spodnie i koszulkę z krótkimi rękawami. Mimo to czuł, że jest cały spocony.

Paulo Lang z ustami pełnymi orzeszków mruknął:

- Myślę, że będę mógł ci pomóc, Harry. Harry nic nie powiedział i czekał na dalszy ciąg.

- Widzisz - ciągnął dalej Paulo z zamyśloną miną - twoje Chicago z dawnych dobrych lat dziś znajduje się we Francji. Od momentu zakończenia wojny w Algierii wszystkie obdartusy, włóczęgi, oberwańcy, typy spod ciemnej gwiazdy, które tylko czekały, żeby naciągnąć jakiego klienta i zarobić parę groszy na kanapkę z kielbasą nawet bez masła i na kubek wina - wszyscy ci faceci przeszli na cienką zupkę dla biedoty. Koniec walki z OAS. Nie ma mowy o podłapaniu jakiejś forsy. Dobrze, że jeszcze nie trzeba brać się za łopatę. I wówczas na czele organizacji o mętym zabarwieniu politycznym znalazło się trochę cwaniaków, którzy sobie powiedzieli, że to mięso armatnie, dobrze zorganizowane, może jeszcze kiedyś się przydać. W zamian za to machnie się ręką na małe świństwa tych szumowin - pod warunkiem, że nie pójdzie to za daleko.

Harry Shulz nie bardzo chwycił wszystkie subtelnosci żargonu, jakim posługiwał się Paulo Lang, ale pojmował sens ogólny.

- Takich facetów, Harry, jest we Francji pełno nawet w najmniejszych miasteczkach. Jedną nogą siedzą w mętnych machlojkach polityków, drugą w drobnych łajdactwach. Kraj został przez nich podzielony na strefy działania.

Przerwał i spojrzał Shulzowi w oczy.

- Zrobię ci, Harry, prezencik. Zrewanżuję się za ten, który ty mi zrobiłeś w Nowym Jorku dziesięć lat temu. Dam ci nazwisko i adres gościa, który dyryguje tą armią łotrów spod ciemnej gwiazdy. Tylko musisz pamiętać o jednym: nie wolno ci powoływać się na mnie.

— Co mi to da, Paulo?

— Poczekaj, psiakrew, jeszcze nie skończyłem.

Wielkimi, grubymi paluchami sięgnął po garść orzeszków pistacjowych. Shulz skorzystał z przerwy i nalał sobie kolejną szklankę. Gorąco było coraz trudniejsze do zniesienia. Zimny prysznic, oto czego mu potrzeba. Jak tylko wróci do hotelu, natychmiast wskoczy do wanny albo pod prysznic.

- Harry, ten gość... robi trochę w narkotykach. Eksport do USA. Jesteś przecież Amerykaninem, zabluffujesz. Wprawdzie nie masz w tej grze nawet dwóch głupich par, ale udasz, że dostałeś fulla z ręki. Kapujesz?

Shulz skinął głową na znak zgody.

— Taki numer mogę zagrać. Dziękuję, Paulo. Jak myślisz, ile "to mnie będzie kosztować?

— Ani grosza - odparł Paulo Lang kategorycznie.

— Jak to?! - wykrzyknął Shulz.

- Ani grosza, powtarzam. Zbyt będzie kontent, że może ci oddać przysługę. Tylko dobrze zagraj. To cwaniak. Nie rąbnij mu nic takiego, co mógłby sprawdzić i potem zrobić z ciebie Wlia. Aha, jeszcze jedno. Jego kontakt w Stanach Zjednoczonych to niejaki Settimano:

— Settimano... - powtórzył Shulz.

— Znasz go?

— Tak. Johnny Settimano. Ma pod sobą Nowy Jork, New Jersey, Connecticut i Massachusetts.

— Harry, z ciebie prawdziwa książka adresowa świata przestępczego.

- Zaczyna mi się już rysować pewien plan, Paulo - Harry Shulz roześmiał się cicho.

- Brawowo. Ale nic zrób fałszywego kroku. To niebezpieczny jeśli się zorientuje, że go nabierasz, cały szpil do kitu. Napuści na ciebie swoich zbirów i wierz mi, bracie, nie wyjdiesz z tej sarabandy z życiem nie wymkniesz się, tak teraz nazywają Francję.

— Dziękuję za prezent, Paulo. Nie zawałę roboty.

— Moje gratulacje. Nie zapomniałeś jeszcze francuskiego.

— Jeszcze jedno. Co to właściwie za gość? Rzezimieszek?

- Coś ty, zwariował? Były oficer artylerii, absolwent wyższej szkoły wojennej, Legia Honorowa. Kuzyn jest deputowanym. Jedna córka za bankierem, druga za armatorem. Żona ze znanej rodziny marsylijskich fabrykantów mydła. A on sam ma dobry kamuflaż, prowadzi biuro inżynierów-doradców do armatur okrętowych. Do narkotyków, kapujesz, to bardzo klapuje. Jak się jeszcze ma przy tym szwagra armatora.

— Trudno będzie go wymanewrować.

— Ale skądże! Będzie próbował wziąć cię na wielkie frazesy. Nie daj się nabrać. Nie da sobie rady z facetem takim jak ty. No, Harry, pij tę whisky, bo zaschnie ci w gardle...

Shulz czuł, że pot wydziela się ze wszystkich porów jego skóry. Koszula była zupełnie mokra, na spodniach w okolicy kolan miał dwie olbrzymie wilgotne plamy.

- Czy w tym przeklętym kraju nie ma klimatyzacji? - mruknął.

Paryż, Francja. Październik 1968

- Pan Massicaud-Vellard ?

Przy telefonie. Słucham pana. Nalegał pan, żeby ze mną umówić, panie... Jackson. Słucham, panie Jackson? Głos był suchy, beznamiętny, ale Shulz nie był tym bynajmniej speszony.

— Panie Massicaud-Vellard, jestem Amerykaninem i chcę prosić pana o rozmowę.

— Pan chyba żartuje! Gdybym musiał przyjmować wszystkich Amerykanów bawiących przejazdem w Paryżu...

- Ale ja jestem Amerykaninem specjalnego, jak by tu powiedzieć, rodzaju. Rezyduję w New York City, ale moje pole działania rozciąga się na cztery Stany. Żeby być bardziej precyzyjnym na: Nowy Jork, New Jersey, Connecticut i Massachusetts. Nic rozumiem. Tak się składa, że jeden z pańskich amerykańskich przyjaciół działa w tej samej strefie. Niech pan spróbuje sobie przypomnieć, Załóżmy, że to, co pan mówi, zgadza się. Ale ja wciąż nie wiem, dlaczego miałbym się spotkać z panem, panie Jackson.

Dlatego, że gdyby pan mojej prośby nie uwzględnił, pańskiego przyjaciela mogłyby spotkać poważne kłopoty w intere-

sach, i to w najbliższej przyszłości. Na Stany Zjednoczone spadła straszliwa recesja...

Po drugiej stronie zapadła cisza. Shulz czekał cierpliwie.

- Panie Jackson, sprawy innych mnie nie interesują... Głos był ostrożny.

— Nawet w tym przypadku, gdyby wiązały się z pańskimi? - zapytał Shulz słodko.

— Mówi pan samymi zagadkami. Na nieszczęście, nie mam czasu na ich rozszyfrowywanie. Jestem bardzo zajęty. Możemy jedynie umówić się na jakiś dzień i godzinę, wtedy spróbowałibyśmy kontynuować tę interesującą rozmowę.

- Na przykład jutro?

- Jutro? Doskonale. Powiedzmy, godzina piętnasta. Ma pan chyba adres mojego biura?

- Mam.

Shulz powiesił słuchawkę. Spotkanie zaraz następnego dnia bardzo mu odpowiadało. A tymczasem niech się chłop poddusi we własnym sosie.

Kiedy się z nim spotkał nazajutrz, zrozumiał, że ma do czynienia z człowiekiem nietuzinkowym. Massicaud-Vellard miał około pięćdziesiątki, był to mężczyzna wysoki, szczupły, włosy szpakowate, ostrzyżone bardzo krótko; z twarzy o wystających kościach policzkowych i szarych zimnych oczu można było wyczytać twardość i energię. Lewą dłoń nieomal całą miał amputowaną, został tylko kciuk i palec wskazujący. Był bardzo dystyngowany, ubrany z umiarkowaną elegancją. W klapie marynarki znaczek Legii Honorowej. Wyglądał na dziarskiego pułkownika w stanie spoczynku.

Biuro było urządzone funkcjonalnie, solidnie, bez fantazji. Zanim Shulz dotarł do gabinetu, po drodze zauważył paru rosłych typów o ponurych facjatch i myszkujących oczach; przez chwilę zadawał sobie pytanie, czy nie wpakował się do jaskini lwa.

Ale - jak przystało na prawdziwego zawodowca - zabezpieczył się na wypadek niebezpieczeństwa: zabrał ze sobą pistolet kaliber 38, pistolet dość specjalnego rodzaju, zmajstrowany kiedyś przez starego Mike'a O'Flaherty, najgłośniejszego rusznikarza w Stanach Zjednoczonych, dwukrotnie skazanego za morderstwo, który jakoś jednak wykręcił się od krzesła elektrycznego. Pistolet ten rozkładał się i składał łatwo jak wieczne pióro i Shulz woził go zawsze ze sobą w neseserze podróżnym wraz z licznymi przyborami toaletowymi (przerobionymi również w ten sam sposób przez starego Mike'a).

Teraz Harry Shulz siedział sztywno w płowym skórzanym fotelu naprzeciwko biurka, za którym królował Massicaud-Vellard, wyprostowany, surowy, z maską prezesa ławy przysięgłych na twarzy.

Rzuciwszy krótkie spojrzenie na teczkę z krokodylej skóry, którą Shulz trzymał na kolanach, podjął rozpoczętą poprzedniego dnia rozmowę:

- Na czymże to stanęliśmy, panie Jackson? Jeżeli w ogóle Jackson to pańskie prawdziwe nazwisko. Shulz zignorował tę ironiczną uwagę.

- Tak się składa, panie Massicaud-Vellard, że amerykańska organizacja, dla której pracuję, potrzebuje od pana pewnej przysługi.

- Jaka organizacja? Shulz uśmiechnął się.

— Pozwoli pan, że nie odpowiem na to pytanie. Tej organizacji wiadomo, że pan podzielił terytorium tego kraju na rejony, tworząc siatkę... siatkę informatorów na tyle gęstą, że pozwala ona panu w pewnym sensie, jakże to wy mówicie?... słuchać, jak bije serce narodu.

— Pan mi pochlebia, panie Jackson. I pozwoli pan, że pogratuluję panu znajomości języka francuskiego. Jak na Amerykanina...

Shulz wzruszył ramionami i ciągnął dalej:

- Ta organizacja poszukuje trzech osób: pewnej Amerykanki, pewnego Amerykanina i pewnego Francuza. Wspomniana Amerykanka żyje ze wspomnianym Francuzem. I mamy wszelkie prawo przypuszczać, że cała trójka znajduje się na terenie Francji.

- To bardzo interesujące, panie Jackson, i muszę przyznać, że zaciekałaby mnie ta historia jak z kryminalnego romansu, gdybym, niestety, nie był bardzo zajęty. Mężczyzna był sprytny, ale Shulz nie dał się zbić z tropu.

- Przepraszam, że zabieram panu cenny czas, ale jeszcze nie skończyłem...

- Niestety obawiam się, że...

- Ta organizacja, o której wspomniałem, orientuje się doskonale w działalności pańskiego przedstawiciela w USA.

- Wciąż jeszcze nie powiedział pan, czym zajmuje się pańska organizacja.

— To nieważne.

— Dla mnie to sprawa istotna.

— Zapewniam pana, że to absolutnie nie ma znaczenia. Shulz pomyślał, że ten Massicaud-Vellard jest rzeczywiście groźnym przeciwnikiem i nie wolno teraz zrobić fałszywego kroku.

- Czy mówi coś panu nazwisko Johnny Settimano? Oczy tamtego zrobili się czujne, ale nic nie odpowiedział.

- Nie? A jednak to gruba ryba w Stanach Zjednoczonych: Nowy Jork, New Jersey, Massachusetts, Connecticut. - Shulz westchnął. - Wiem, że szantaż nie jest rzeczą ładną, ale zgodnie z poleceniami, jakie otrzymałem, muszę oświadczyć, że gdyby pan odmówił nam pomocy, organizacja Johnny'ego Settimano znalazłaby się w poważnych kłopotach. Massicaud-Vellard pochylił się naprzód z dziwnym błyskiem w oczach.

— To znaczy?

— A więc na przykład mogłoby się zdarzyć, że zostałyby mu odcięte źródła zaopatrzenia, w momencie dostawy, w porcie amerykańskim.

Massicaud-Vellard wybuchnął śmiechem.

- Panie Jackson, już panu mówiłem, to historie z powieści kryminalnej...

Shulz wstał i podszedł do biurka.

Szkoda, panie Massicaud-Vellard, że nie orientuje się pan lepiej) w swoich interesach finansowych. Przypuszczałem, że po tegorocznych wydarzeniach majowych i po dewaluacji franka będą pan potrzebował twardych dewiz... Bo na pewno ich panu zabraknie, i to wkrótce!

- Ta cała historia jest wytworem pańskiej fantazji, panie Jackson.

Shulz postanowił zadać cios decydujący, który dotąd trzymał w rezerwie.

- Doskonale! Proszę nas wystawić na próbę. - Głos jego przybrał żartobliwy ton: - Przypuśćmy, że pański przyjaciel Johnny Settimano ulega fatalnemu wypadkowi. Jakiej śmierci pan by mu życzył? Wypadek samochodowy? Rurka gazowa, niedokładnie założona? Nieszczęśliwy upadek w wannie? Albo może winda, w której zerwały się kable?

Nagle jego głos stał się oschły, bezwzględny:

- Może pan wybierać. I gwarantuję, że umrze śmiercią, którą pan wybierze - nawet gdyby pan go ostrzegł zaraz, jak tylko pana pozęgnam.

Odwrócił się i pospiesznie skierował ku wyjściu. Kładł już rękę na klamce, gdy Massicaud-Vellard powiedział:

- Proszę zaczekać. Nikt stąd nie wychodzi bez mojego zezwolenia.

Shulz odwrócił się. W głosie gospodarza dźwięczała lekka groźba, ale Shulz nie należał do lękliwych.

— Czy ta organizacja, o której pan mówi, panie Jackson, jest aż tak potężna?

— Co najmniej tak potężna jak pańska. Powiedziałbym nawet, że potężniejsza, jeżeli weźmiemy pod uwagę obszar Stanów Zjednoczonych.

- Jedno pytanie. Czy chodzi o mafię?

- Doskonale pan wie, że nie, ponieważ właśnie Johnny Settimano pracuje dla mafii. To miało być pytanie-pułapka, nieprawdaż ?

- Niczego nie można przed panem ukryć, panie Jackson.

"A więc połknął haczyk - pomyślał Shulz. - Dał się złapać na tę samą przynętę co Emil Mascot. To zdumiewające, jak ci Francuzi uwielbiają amerykańskie dolary!"

- Niechże pan usiądzie, panie Jackson. Wprawdzie nie jestem przekonany w zupełności, ale muszę przyznać, że to, co pan mówi, brzmi dosyć szczerze, dlatego jestem skłonny panu uwierzyć. Mimo to miałbym jeszcze parę pytań.

Shulz usiadł z powrotem.

- Bardzo proszę.

- Przypuśćmy, że odnajdziemy te trzy osoby. Co mamy wtedy zrobić?

— Nic, po prostu zawiadomić mnie.

— Doskonale. I co się potem stanie z tymi osobami?

— Jeszcze jedno pytanie, na które nie mogę odpowiedzieć.

- A jednak będę nalegał. Czy one zostaną, hm... zlikwidowane?

Shulz potrząsnął głową.

- Bardzo żałuję, ale nie mogę odpowiedzieć.

- Dobrze. Wróćmy jeszcze do organizacji, którą pan reprezentuje. Czy zamierza ona rozszerzyć swoją działalność na tę samą... hm, co ten... jakże on się nazywa? Johnny Settimano?

Shulz uśmiechnął się.

- Absolutnie nie. Ta organizacja zajmuje się zupełnie czym innym i mogę pana zapewnić, że w momencie odnalezienia tych trzech osób zapomnimy nawet nazwisko Johnny'ego Settimano.

Massicaud-Vellard skinął głową i przechylił się do tyłu w swoim fotelu, na pół przymknąwszy oczy. Shulz uszanował zadumę, w jakiej zdawał się być pogrążony. Nagle gospodarz wyprostował się.

- Panie Jackson, podjąłem decyzję - rzekł sucho. - Pomożemy panu... Muszę mieć informacje o tych trzech osobach. Rzecz jasna, nic nie mogę gwarantować. Zobaczymy, co się da zrobić.

Harry Shulz bez słowa otworzył teczkę z krokodylej skóry, wyjął kopertę i położył na biurku. Massicaud otworzył kopertę i wyjął z niej dwie następne.

W każdej z nich znajdował się plik fotografii zawiniętych w kartkę papieru i przewiązanych gumką.

Po kilka zdjęć każdej z osób i kartka z informacjami o każdej z nich - z wyjątkiem Francuza Jacques'a Bergera - wyjaśnił Shulz. - Jeśli chodzi o niego, ma pan tylko kartkę z informacjami. Bez zdjęć. Radzę, żeby pan zrobił odbitki i rozesłał całej swojej siatce razem z kartą informacyjną.

- Wiem, co mam robić. Dziękuję. Shulz umilkł.

Massicaud-Vellard uważnie przeglądał zdjęcia, trzymając je ostrożnie między kciukiem a palcem wskazującym, by nie zostawić odcisków palców.

Fotografie pochodziły mniej więcej sprzed dwudziestu miesięcy, z okresu przygotowań do fazy numer 10 i 11. Wtedy Shulz uważał je za niepotrzebne. Teraz wieszował sobie, że je zachował. Przedstawiały na osobnych odbitkach Susan Bramovitz i Charlesa Cunninghama - idących ulicą, przywołujących taksówkę, wchodzących do restauracji, siedzących w samochodzie, przy stoliku w kawiarni w pobliżu redakcji, oglądających wystawy, maszerujących w tłumie Piątą Avenue. Zdjęcia były tak wyraźne, ukazywały te osoby w tak różnych sytuacjach, że na ich podstawie bezbłędne ich rozpoznanie - gdyby doszło do spotkania - nie przedstawiałoby najmniejszych trudności.

Massicaud-Vellard rzucił zdjęcia na biurko i równie uważnie przestudiował kartki z danymi osobistymi.

Przyjrząwszy się materiałom, podniósł wzrok na Shulza.

- Myślę, że nam to w zupełności wystarczy, panie Jackson - powiedział stanowczo. - Gdzie będę mógł pana znaleźć? - zapytał.

Shulz zatrzasnął teczkę. Nie odpowiedział od razu. Kto wie, czy facet nie udaje, że zgadza się na propozycję, a chce tylko zyskać na czasie i po prostu go zlikwidować? Nie może zatem podać mu swego adresu w Nowym Jorku, tam miałby do czynienia z Johnnym Settimano. — Skontaktuję się z panem telefonicznie - powiedział po namyśle. - Będę dzwonił raz w tygodniu.

— To znaczy, że w przypadku odnalezienia ich natychmiast po pańskim telefonie, trzeba będzie czekać na następny. A tymczasem mogą się nam wymknąć.

- Nie trzeba więc spuszczać ich z oka. Czy mam pana uczyć? Celowo przybrał ostry ton. Massicaud-Vellard zbladł. Zrobił ruch, jakby chciał nacisnąć guzik przy nodze biurka, ale nie zrobił tego, spuścił wzrok na zdjęcia, poskładał je i rzucił suchym tonem:

- Może pan odejść, panie Jackson.

Nie było najmniejszej wzmianki o kosztach, jakie pociągną za sobą poszukiwania, i Shulz bynajmniej nie miał zamiaru poruszać tej sprawy.

Bez słowa opuścił gabinet. W korytarzu otarł się o tych samych typów z ponurymi gębami - stanowili oni zapewne obstawę Massicaud-Vellarda.

Znalazłszy się na ulicy, pomyślał, że może być śledzony, przedsięwziął zatem odpowiednie środki ostrożności. Zapуścił się w ulicę o ruchu jednokierunkowym w stronę przeciwną niż kierunek jazdy, doszedł nią do połowy i wrócił do punktu wyjścia, by skrócić w inną uliczkę, gdzie ruch był również jednokierunkowy. To zatrzymywał się przed wystawami sklepów, to przyspieszał kroku, wpadł do jakiegoś sklepu, wyszedł drugim wejściem, wszedł do metra, potem do autobusu. Upewniwszy się, że nikt go nie śledzi, wrócił do swojego hotelu.

Lazurowe Wybrzeże, Francja.

Kwiecień 1968

Jacques nucił piosenkę "Po prostu spokojna dziewczyna", wyraźnie mając na myśli Susan. Fałszował niemiłosiernie i Susan z trudem orientowała się, co to za melodia. - Ty chyba nie jesteś jeszcze Sinatrą - zakpiła. - To dlatego, że trochę wypilem...

Możliwe, kiedy jednak rano w łazience śpiewasz "Filles de Camaret", brzmi to niewiele lepiej... - To moja własna aranżacja muzyczna. A poza tym Sinatra nigdy nie nagrywał na płytę "Filles de Camaret". Nie możesz więc robić porównań.

Wybuchnęła śmiechem. Czuła się szczęśliwa. Przyczyną tego była bez wątpienia olbrzymia ilość whisky, jaką wypiła na party, wydanym przez przyjaciół z Nicei, których poznali w czasie ostatnich świąt Bożego Narodzenia w Kirchbergu, znanym ośrodku sportów zimowych w Tyrolu. Powinna na siebie uważać. Od przyjazdu do Francji zauważyła u siebie niedobłą skłonność do picia stanowczo za dużo. A wszyscy wiedzą, że od alkoholu się tyje. Zauważyła już zresztą, że biodra jej się zaokrągliły, a brzuch też zaczął być widoczny. Nie, nie była w ciąży, zawsze pamiętała, by regularnie brać pigułki antykoncepcyjne. Ale może rację mają lekarze, którzy twierdzą, że od tych pigułek się tyje...

Zbliżali się do domu. Jeszcze jeden z ostatnich zakrętów przed Roquebrune-Cap-Martin, a potem już tylko ostry podjazd pod górę do willi. Albowiem Jacques ostatecznie nie doszedł do po-

rozumienia z właścicielem willi w Mentonie, którą zamierzał wynająć, i wybór jego padł na inną, w Roquebrune-Cap-Martin. Zresztą, zdaniem Susan, zrobił interes znacznie lepszy.

— Słuchaj, Jacques - przypomniała coś sobie i parsknęła śmiechem. - Ta mała ruda... Marie-France czy coś w tym rodzaju... Ależ się do ciebie kleiła, co?

— ...Po prostu spokojna dziewczyna... zanucił Jacques w odpowiedzi.

— Ależ to była...

— Jesteś zazdrosna?

— Na jej zaloty patrzyłeś, zdaje się, chętnym okiem.

- Niezły kąsek, ale za dużo wypila. Susan rzuciła z ironią:

— Na upartego mógłbyś pewnie namówić panią domu, żeby ci odstąpiła swoją sypialnię... Wiesz, w Ameryce tak się praktykuje...

— Pomyślałem o tym - odciął się Jacques - ale na liście przede mną było co najmniej pół tuzina parok i party dobiegłoby końca, zanim by przyszła moja kolejka. Zresztą...

- Co zresztą?...

- Zdawało mi się, że na liście zauważyłem twoje nazwisko obok nazwiska tego faceta z filmu. Może to miała być zaliczka dla niego na konto adaptacji filmowej twojej powieści? Udała, że wpada w złość.

— Zapłacisz mi za to, draniu...

— Chętnie, jeśli tak jak zwykle, tym, co...

Nagle zza zakrętu przed nimi wyskoczył wóz, jadący z ogromną szybkością lewą stroną drogi. Reflektory omiotły przednią szybę i oślepiły Susan. Otworzyła usta, by krzyknąć, ale już nie zdążyła. Poczula potworne uderzenie i w tym samym momencie uchyliła się instynktownie w bok. Jakiś chłodny wiatr uniósł ją w powietrze, a równocześnie gigantyczna prasa miażdżyła maskę samochodu... Twarda skała bezlitośnie zatrzymała ją w jej locie w dal. Poczula straszliwy ból w całym ciele, jak gdyby ktoś wyrwał z niej kość pacierzową, jeden kręg po drugim. Miliony igiełek wbijały się w ciało, torturowały...

Otworzyła się przed nią ogromna czarna czeluść, ale w jej głębi błyskały jakieś światełka.

Przywoływały ją jakieś głosy. Odbiła się od ściany skalnej i poleciała w przepaść ku światłu, ku tym przyjaznym głosom...

Przed nią rozciągała się ogromna biała ściana. Czyżby to właśnie była śmierć? Ogromna biała nieruchoma ściana, w którą człowiek wpatruje się przez całą wieczność? Czują, że jest słaba, odrętwiała. Wokół niej panowała absolutna cisza. Przez jakiś otwór gdzieś w górze, bardzo daleko, w sklepieniu, sączyło się mdłe żółtawe światło, z pewnością po to, aby mogła widzieć ścianę. Jakaś postać, również biała (anioł czy szatan?), prześliznęła się koło niej. Poczula w pobliżu obrzydliwy odór, który przyprawiał ją o mdłości. Wstrząsnęły ją konwulsyjnie wymioty, rozpętując fale bólu. Czy można mieć mdłości, kiedy człowiek nie żyje? I dlaczego właściwie miałyby się mieć? Mdły odór... Coś jej to przypominało. Ale bardzo niewyraźnie. Tak... biel. Inna biel... czy po śmierci człowiek nic nie czuje? A jeżeli nie czuje, to skąd ten nagły ból w ramieniu? Ból kojarzył się z tym białym kształtem. Z pewnością. Albowiem teraz ten kształt wtopił się w otaczającą biel i ból zniknął razem z nim. Lecz klucie w piersi nie ustało. Jakże trudno jest myśleć. To takie wyczerpujące. Nie chciała już dłużej patrzeć na tę ogromną białą nieruchomą ścianę. Zamknęła oczy. Tak będzie lepiej. Wszystko jest czarne, tak bardzo kojące. Nie ma już białej ściany, nie ma białego kształtu, nie ma światła, nie ma...

Kiedy w wiele godzin później znowu otworzyła oczy, ściana znajdowała się wciąż na tym samym miejscu, jeszcze bardziej biała. Znajdowała się tam także biała postać z pomarszczoną twarzą i z oczyma koloru tropikalnego nieba, które wpatrywały się w nią z niepokojem. Natomiast żółte światło znikło, a za-stąpiły je cudowne złote promienie słońca, które sączyły się do pokoju poprzez opuszczone rolety i powoli zamierały u stóp łóżka.

Wygląda jednak na to, że nie umarła. Trochę ją to rozczarowało. Śmierć jako olbrzymia biała ściana, w którą człowiek wpatruje się przez wieki - ten pomysł miał swój urok. Życie to był po prostu ten szpitalny pokój, te promienie słońca, to łóżko i ta stara pielęgniarka z oczyma koloru tropikalnego nieba, trochę wyblakłymi od czuwania przy wezłowiach chorych.

Czuła się nieskończenie zmęczona, niewrażliwa na ból. Myślenie ją wyczerpywało. A przy tym ten pokój oddychał bezpieczeństwem, zapraszał do odpoczynku. Zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła znowu, zapadał już zmierzch, zalewając pokój swoim brązowym cieniem. U wezłowia ogromna lampa z abażurem

o wymyślnych arabeskach sączyła delikatne światło.

Oczy koloru nieba znikły. Na ich miejscu znalazło się dwoje innych oczu, ciemnych, typu Barbara Romano, osadzonych w twarzy typowo śródziemnomorskiej, o policzkach młodych i świeżych. A oczy koloru tropikalnego nieba mogłyby być chyba oczami jej matki... Jak to się stało, że nie wpadła na to wcześniej ?

Czarne oczy wpatrywały się w nią, badały. Oczy czarne. Jakże to brzmi po rosyjsku? "Oczy czornyje". Rosyjskie kabarety w Paryżu i podstarzali Cyganie, jakby już nadgryzieni przez mole. "Oczy czornyje". Strogonoff i zakąski. Wódka i bałałajka - "oczy czornyje", matuszka Rosja carska i pułkownicy gwardii. Jakiś cień nagle zasłonił światło lampy i tuż nad nią pojawiły się "oczy czornyje". Ale skąd jeszcze ten mdły odór i ten ból w ramieniu?

I znowu biała ściana i tropikalne niebo, i promienie słońca,

i Cyganie, i "oczy czornyje". Eter. Jak zaczną zalewać ją tym świństwem, zrobią z niej eteromankę. A to drugie paskudztwo, cóż to takiego? Z pewnością morfina. Eter plus morfina równa się: Susan Bramovitz zanarkotyzowana na śmierć. Nic dziwnego, że ma te dziwne "podróże"...

A przy tym jeszcze to słońce... Lecz tym razem Susan miała ją świadomość, czuła się tak, jakby się obudziła po długim, bardzo długim śnie. Była nieco zmęczona, ale jednocześnie pragnęła wstać z łóżka, chodzić, biegać.

Koło okna stała kobieta, wysoka, o kanciastych rysach twarzy, przyglądała się jej bacznie.

Wreszcie podeszła do łóżka.

Jakże się pani czuje, moje dziecko? Susan była zdumiona dźwiękami, jakie wydobywały się z jej gardła, Rzekłbyś, kraczący kruk.

Nieźle, dziękuję! "Nie było to zbyt oryginalne" - pomyślała.

- Niech pani się nie rusza. Poszukam doktora Rousselier. Koniecznie chciał panią widzieć zaraz po pani przebudzeniu.

Zaszeleściła nakrochmalona spódnica, drzwi się otworzyły, zamknęły i znowu otworzyły.

Wszedł doktor Rousselier, jeden z tych otyłych, jowialnych Francuzów. Był zupełnie łysy i miał pokaźny brzusek. Za nim szła pielęgniarka. - Myślałem już, że ugryzła panią mucha tse-tse - powiedział z uśmiechem, podczas gdy jego skupione oczy badały ją z uwagą. -

Prawdziwa kuracja snem. Dobrze pani wykorzystała swój pobyt u nas.

- Co mi jest, panie doktorze?

- Chwileczkę... - udawał, że się namyśla - połamane żebra, złamanie kości promieniowej i kości łokcia prawego, zerwanie więzadeł, głębokie podskórne wylewy, wreszcie rana cięta na skórze głowy i uraz czaszki, którą zresztą trzeba jeszcze prześwietlić.

Hm... myślę, że to wszystko...

- Czy to poważne?

- To są rzeczy, które dziś się reperuje. Oczywiście, jeżeli ma pani dzisiaj po południu randkę, lepiej byłoby ją odwołać...

- Jak długo będę musiała tu zostać?

Zaledwie wymówiła te słowa, wróciła jej pamięć. Samochód na zakręcie. Reflektory.

Przednia szyba oświetlona jak w biały dzień. Jacques z rękami zaciśniętymi na kierownicy. Jacques!

- Jacques!

Krzyknęła i jednocześnie próbowała się unieść. Poczowała potworny ból, jakby ktoś przeszył jej ciało sztyłem. Zastygła z otwartymi ustami, usiłując przewyciężyć ból.

Z całą delikatnością ułożono jej głowę na poduszce, chłodnym wilgotnym ręcznikiem otarto pot z czoła. Bolało ją wszystko, jak gdyby ktoś połamał jej kości uderzeniami oskarda. Cóż jednak znaczy ból, ona chciała wiedzieć.

Jeszcze raz wymówiła jego imię - tym razem ledwie słyszalnym szeptem.

Pielęgniarka jednak usłyszała ją i jej wzrok, pełen trwogi, spoczął na doktorze Rousselier. A on obszedł łóżko dookoła, przysunął sobie metalowe krzesło i usiadł przy Susan. Ujął w swoje ręce jej lewą dłoń. "Ta ręka jest zdrowa" - pomyślała zakłopotana. Jego gest nappełnił ją niepokojem. Czekwała, aż zacznie mówić. A jednak jego widok działał na nią kojąco.

- Wydaje się - zaczął w końcu - że ma pani dość sił, by znieść złe wiadomości...

Zesztywniała. Poklepał ją po dłoni.

- Nie. Niech pani się nie lęka. To nie to, co pani myśli, ale nie mogę ukrywać, że jego rany są bardzo poważne.

— On żyje?! - zawołała zapominając o bólu.

— Spokojnie, moje dziecko - wtrąciła pielęgniarka.

— Tak, żyje. Nie odzyskał przytomności, ale żyje.

— Co mu jest, doktorze?

- Musiałbym długo wyjaśniać. Powiem pani tylko tyle, że walczyliśmy o jego życie, ale jesteśmy dobrej myśli.

- Będzie żył?

- Będzie żył. Wyzdrowienie oczywiście nie nastąpi szybko, ale zwrócimy go pani w dobrej formie. Będzie to jednak długa, bardzo długa sprawa...

Powiedział to z naciskiem. W jakim stanie oddadzą jej Ja-cques'a? Kaleką na całe życie?

Chciała jeszcze o coś zapytać, ale doktor Rousselier podniósł się, pożegnał ją krótkim gestem ręki i skierował ku drzwiom.

Zamknęła oczy. Gdzieś obok zabulgotała woda, po czym mocna i szorstka dłoń pielęgniarki wsunęła jej do ust proszki. - No, moje dziecko, niech pani to popije. To pani dobrze i. Lekarz kazał...

Kiedy opuszczała klinikę, był ranek, świeciło słońce. Zatrzymała się na progu, by przez chwilę rozkoszować się ciepłą, pieszczotą słonecznych promieni. Powietrze pełne woni zapraszało do życia. Pachniały kwiaty. W pobliżu bawiły się dzieci. W powietrzu unosił się przez chwilę kolorowy balon, potem zaplątał się w gałęziach drzewa. Dziewczęta i chłopcy rzucili się w jego stronę. Jakiś brzdąc w kostiumie piłkarskim, zachęcany okrzykami kolegów, wdrapywał się już na drzewo.

Ogarnęła ją dziwna ociężałość, ale szybko się z niej otrząsnęła, Zaręciło się jej w głowie jeszcze bardziej, więc ostrożnie zesłała po schodach do czekającej na nią taksówki. Doktor Rousselier zatroszczył się o wszystko. Dom zastała wysprzątany i przewietrzony, w wazonie

stało dwanaście róż. Usiadła w fotelu i natychmiast zebrało się jej na wymioty, Ten dom bez Jacques'a był grobem. Czy potrafi tu żyć sama, zanim on wróci ze szpitala? Przesiedziała w fotelu kilka godzin. W głowie kotłowały się myśli. Była przygnębiona i bezgranicznie smutna. Nie odczuwała i głodu, ani pragnienia, nie miała nawet ochoty na papierosa, Może whisky? Zdecydowała się na whisky i właśnie whisky prawda, że poczuła się sobą - Susan Bramovitz, dziennikarką, osobą pewną siebie, energiczną, upartą i pełną żywotności, która nie poddaje się zmartwieniom jak pierwsza naiwna. - Głowa do góry, Sue - powiedziała sobie. Kiedy wydarzył się wypadek, Susan miała do napisania już tylko jeden rozdział powieści. Ale teraz, po wyjściu z kliniki, zauważyła, że gdy pisze na maszynie, jej prawa ręka szybko się męczy - mimo iż zrosła się prawidłowo. Kupiła więc dyktafon, podyktowała końcową część książki i przekazała taśmę Beatrycze, sekretarce kliniki, władającej dwoma językami, która poza godzinami pracy przepisała na maszynie ostatni rozdział "Pioniera dwudziestego stulecia", taki bowiem tytuł ostatecznie dała Susan swojej powieści.

We wrześniu zapakowała cały maszynopis w dużą paczkę i wysłała do Barbary Romano. Barbara miała go przekazać Craigowi Greenwaldowi.

Na początku października Susan otrzymała od niego bardzo uprzejmy list, w którym donosił, że powieść została przyjęta. Przesyłał jednocześnie projekt umowy wydawniczej. Do listu dołączona była krótka notatka od Daniela Rosenkranza. Informował ją, że umowa jest sformułowana w sposób bardzo dla niej korzystny, i radził podpisać z zamkniętymi oczyma. Niemniej przeczytała uważnie tekst umowy, by upewnić się, czy prawa filmowe, radiowe i telewizyjne pozostają jej własnością. Wszystko było w porządku. Co więcej, umowa przewidywała prawa angielskie jedynie na Stany Zjednoczone, stany Alaska i Hawaje oraz na terytoria zamorskie. Oddzielna klauzula precyzowała, że osobne honoraria zastrzeżone są za publikacje w języku angielskim za granicą oraz za przekłady.

Zadowolona podpisała umowę.

W piętnaście dni potem otrzymała korektę. W pracy nad korektą pomagała jej Beatrycze. Na początku grudnia, właśnie przed świętami Bożego Narodzenia, powieść znalazła się w księgarniach. Susan otrzymała pierwszy egzemplarz drogą pocztową. Na tytułowej stronie Barbara Romano, Craig Greenwald, Daniel Rosenkranz i Pat O'Dwyer wpisali swoje dedykacje i życzenia sukcesu.

Okładka była luksusowa. U góry wielkimi czarnymi literami był wypisany pseudonim, jaki sobie Susan wybrała: Stella Garrett,

Natychmiast pobiegła do Jacques'a pokazać mu książkę. Od chwili opuszczenia kliniki, codziennie spędzała wiele godzin przy jego boku.

Trzy osoby, które znajdowały się w samochodzie, jaki zderzył się z mercedesem Jacques'a, zginęły w wypadku. Jacques omal nie

podzielił ich losu (a niewątpliwie i Susan, gdyby nie to - jak słusznie zauważył funkcjonariusz policji, który przesłuchiwał ją w klinice - że została w pewnym momencie zderzenia wyrzuciona na szczęście z samochodu).

Jacques uszedł z wypadku z życiem, ale odniósł bardzo poważne obrażenia. Złamanie prawej panewki uda, pogruchotane żebra, uraz czaszki, złamana szczęka, obcięte dwa palce lewej ręki, głębokie rany cięte na piersiach.

Trzeba było zrobić trepanację czaszki i powoli, jedno po drugim, reperować uszkodzenia. Po pewnym czasie przetransportowano chorego do kliniki specjalnej w Men tonie, by tam rehabilitować bezwładną nogę. Mijały długie miesiące cierpienia i niepokoju. Obecność Susan dodawała Jacques'owi odwagi i pogody ducha. Musiała jednak przyznać, że nawet bez jej opieki wykazałby taką samą niezłomną wolę powrotu do zdrowia, taką samą żelazną siłę charakteru.

Z książką w ręku podeszła w sali terapii do fotela, na którym odpoczywał. Z jej promieniającej twarzy od razu wyczytał wszystko.

- Oto czwarta z sióstr Bronte, nareszcie ukoronowana - zawołał otwierając ramiona. Rzuciła się w nie i delikatnie złożyła pocałunek na podbródku pokrytym bliznami.
- Pokaże to dzieło - niecierpliwiał się. Podała książkę.
- Brawo! Szkoda jednak - zauważył - że wydałaś pod pseudonimem. Mam wrażenie, że napisał ją ktoś obcy.
- Zrobiła minę nadąsaną.
- Lubisz przecież zmieniać kobiety, wyobraź więc sobie, że to twoja nowa zdobycz - zakpiła.
- Co piszą gazety? • - Na razie nic.
- Przeczytał dedykacje na pierwszej stronie, potem zamknął książkę i długo wpatrywał się w luksusową okładkę.
- Myślisz, że się szybko rozejdzie?
- Nie mam pojęcia, Jacques. Przeczytaj i powiedz, co o niej myślisz. Pamiętasz? Nigdy nie chciałeś przeczytać ani linijki, czekałeś, aż się ukaże.
- Tak, teraz przeczytam. Chcę zobaczyć, z jaką kobietą mam do czynienia. W książce zapewne odkryłaś swoją prawdziwą naturę. Podobno pierwsza powieść ma zawsze charakter autobiograficzny.
- A więc będziesz rozczarowany. Nie ma tu nic osobistego.
- To się jeszcze okaże.
- Jak twoja noga?
- Coraz lepiej. Zrobiła nadąsaną minę.
- Mówisz to co dzień. A ja tymczasem umrę! Zmarszczył brwi.
- Umrzesz? Dlaczego miałabyś umrzeć?
- Dlatego, że mam ochotę się kochać. Wyobraź sobie, to już osiem miesięcy...
- Znajdź sobie jakiegoś żigolaka. Nie brak ich na Lazurowym Wybrzeżu. Nie będzie to trudne dla powieściopisarki odnoszącej sukcesy, która właśnie podpisała fantastyczny kontrakt...
- Nie bądź uszczypliwy! - Podeszła do niego bardzo blisko i - tym razem po angielsku - szepnęła do ucha: - Jesteś przynajmniej pewny, że po tym wypadku będziesz mógł...
- Wybuchnął śmiechem.
- Precz stąd, wszeteczniczo!
- Ona zaś szeptała mu dalej do ucha:
- Czy w tej klinice nie ma jakiegoś ustronnego kącika, gdzie by można...?

New York City, USA.

Marzec 1968

Dławiąc się z wściekłości, Harry Shulz przemierzał swój nowo-jorski apartament wzdłuż i wszerz ogromnymi krokami. Pościg za Susan Bramovitz i Charlesem Deckerem Cunninghamem nagle utknął w miejscu. Jak gdyby oboje rozplynęli się we mgle. Pierwsze pęknięcie w pajęczej sieci, cierpliwie utkanej wokół obojga, to pożar domu przy ulicy

Monceau. Chyba rzeczywiście był to wypadek. Wydawało się mało prawdopodobne, by Susan Bramo-vitz czy Jacques Berger sami z premedytacją wywołali pożar dla zatarcia za nią za sobą śladów. Po prostu zwyczajny pech. Jeżeli chodzi o poszukiwania prowadzone przez siatkę Massicaud-Vellard, rezultaty równały się zeru. Najmniejszego śladu. Można by sądzić, że uciekinierów we Francji nie było. A więc gdzie się ukryli? Świat jest szeroki. Wobec tych niepowodzeń Harry Shulz ponownie zajął się panią Bramovitz.

Znowu intensywna obserwacja. Drobiazgowa rewizja całego mieszkania podczas jej nieobecności. I zupełna klęska. Kłapa również ze sprzedawcą koszerne mięsa. Pani Bramovitz nie używała go już jako skrzynki na listy. W jaki więc sposób kontaktowała się z córką? Miała inną skrzynkę, a może po prostu telefonowała?...

Sprawdził obie możliwości, niczego jednak nie wykrył. Barbara Romano i jej przyjaciele okazali się podobnym niewypałem. W ciągu minionych osiemnastu miesięcy kilkakrotnie odbywał podróż Nowy Jork - Paryż tam i z powrotem. Kłął, grzmiał

w gabinecie Massicaud-Vellarda - bez rezultatu. Podejrzewając jego złą wolę, zmontował nawet makiawelską intrygę przeciwko Johnny'emu Settimano. W jej wyniku Settimano stracił kilkaset tysięcy dolarów, co wywołało gwałtowną reakcję Massicaud-Vellarda, ale poszukiwań nie posunięto naprzód. W sumie absolutne ciemności.

A przecież, dopingowany ostrymi wymówkami Dixiego, wychodził po prostu z siebie. Czyżby się starzał? Ogarnęło go przerażenie. Swoje rzemiosło kochał nade wszystko w życiu, wydawało mu się, że przyszedł na świat po to, by je wykonywać. Gdyby mu zaproponowano rozpocząć życie od nowa, wybrałby tę samą drogę. Zawodowi przestępcy w ogromnej większości zabijają pod wpływem narkotyków. On nie. Zresztą nigdy nie próbował tego świństwa. Zabijał, ponieważ trzeba było wykonać robotę, był jak hydraulik, który przepycha rurę w zatkaney umywalce, bo na tym polega jego praca. Zabijał bez nienawiści, bez pasji, bez przyjemności. Nie był sadystą. Śmierć nie robiła na nim żadnego wrażenia. Choć był nieczuły na widok cierpienia, starał się nie zadawać niepotrzebnego bólu swoim ofiarom - chyba że miał inne rozkazy od swoich zleceńodawców.

I każdą robotę, jaką mu powierzano - w Ameryce czy gdzie indziej - wykonywał szybko i skutecznie, ku zadowoleniu obu stron. To pozwoliło mu osiągnąć w życiu wszystko, czego pragnął od czasów smutnego dzieciństwa spędzonego w ponurym piekle Hell's Kitchen, dzielnicy nędzy w New York City.

I oto teraz z powodu tej głupiej afery Dixie podawał w wątpliwość jego kwalifikacje zawodowe, zapominając nagle o wszystkich uprzednich sukcesach. Co więcej, od czterech miesięcy nie wypłacał mu poborów. Wprawdzie Shulzowi nie groziła katastrofa finansowa, ale żyjąc na szerokiej stopie, nadwreżył poważnie swój kapitał rezerwowy. Był to prawdziwy pech i z której strony by na to spojrział, nie widział wyjścia. Nic, tylko bić głową o ścianę.

Nawet podróże do Paryża nie sprawiały mu takiej przyjemności jak dawniej. Dręczyła go jedna tylko myśl - odnaleźć obiektnumer 10 i 11. I mimo wszystko był przekonany, chociaż nie umiałaby wytłumaczyć dlaczego, że oba cele znajdują się we Francji czyżby Massicaud-Vellard prowadził podwójną grę? Zacisnął pięści z wściekłości. Jeżeli ten łotr wyobraża sobie, że on... Ostry dzwonek telefonu wyrwał go z rozmyślań. Podniósł słuchawkę.

- Pan Shulz?

Wzdrygnął się. To był Dixie. Czego on znowu chce? - We własnej osobie. Dzień dobry panu.

- Dzień dobry. Czy może pan wpaść do mnie do hotelu? Hotel "Plaza", pokój 108. Jeżeli można, zaraz, Dixie powiesił już słuchawkę. Ton jego głosu był ostry, zwiastujący niedobre wiadomości; Shulz był poważnie zaniepokojony, Ubrał się ciepło, zima bowiem była jeszcze

sroga, i w pół godziny później pukał do drzwi pokoju nr 108. Usłyszał: "Wejść!" Dixie siedział wygodnie w dużym fotelu. W pokoju unosił się wonny dym z kubańskiego cygara. - Niech pan siada, panie Shulz. Ton głosu był tak samo nieprzyjazny jak przez telefon. Shulz usiadł w fotelu przy stoliku, który oddzielał go od Dixie'go. Stała na nim nie napoczęta butelka whisky, otoczona szklankami, obok wiaderko z lodem i woda sodowa. Dixie strząsnął popiół z cygara, dając znak Shulzowi, żeby nalał whisky, z czego ten nie omieszkiał skorzystać, bynajmniej sobie nie żałując. Jeżeli wypadnie przelknąć złe wiadomości, to lepiej nie na pusty żołądek.

- Spodziewam się, panie Shulz, że nie zrobił pan żadnych postępów w sprawie, którą się zajmujemy? - zaatakował Dixie. - Niestety, nie, proszę pana.

— Czy zdarza się panu czasem czytać gazety?

— Hm... tak... co dzień.

- Wiem, że lektura gazet w tym kraju jest dość nużąca, bowiem składają się z nieprawdopodobnej wprost ilości stron, i dlatego obawiam się, że uszła pańskiej uwagi pewna ważna wiadomość w przedwczorajszych gazetach.

ności demonstrował Brian McGurk, i gratulował sobie, że go zaangażował. Jego talent dorównywał jego reputacji.

Przez trzy kolejne noce obserwowali wartowników. Czwartej nocy przystąpili do akcji. Zapuscili się w małą uliczkę, prawie zupełnie nie uczęszczaną. Na tę uliczkę wychodziła ciężka stalowa brama, którą w dzień wpuszczano dostawców. Harry Shulz polecił Brianowi McGurkowi, żeby ją otworzył. Symulując atak kaszlu, Brian McGurk oparł się o nią i podczas kiedy lewą ręką przyciskał chusteczkę do ust, prawą manewrował przy zamku. Czternaście sekund. Fantastyczne!

Jeden rzut oka dokoła i zapuscili się do wnętrza budynku. Zamknawszy starannie drzwi, schodami dla służby zaczęli wchodzić na górę. Posuwali się bardzo ostrożnie, w obawie, że mogą wpaść na wartownika. Harry Shulz nie miał zamiaru uciekać się do siły. Przeprowadzić operację delikatnie - takie było jego założenie. Na szczęście biura wydawnictwa były położone na czwartym piętrze. Tym razem drzwi opierały się tylko osiem sekund.

Zostawiwszy Briana McGurka na klatce schodowej na czatach, Harry Shulz, przyświecając mikroskopijną latarką elektryczną, bardzo drobiazgowo przeszukał pokoje. Tabliczki na metalowych segregatorach wskazywały, co w nich się znajduje. Kawałkiem kredy Shulz nakreślił krzyżyki na tych, które go interesowały, po czym poszedł zmienić współnika. Brian McGurk z torbą z narzędziami w ręku - narzędzia te fabrykował z ogromnym upodobaniem - zajął się otwieraniem segregatorów. Kiedy skończył, zajął miejsce na schodach, a Shulz wrócił do biura i zaczął przeglądać zawartość segregatorów. Wydawnictwo było jednym z największych w Ameryce, stąd tak obfita korespondencja i akta. A ponieważ na pozór wyglądało na to, że nie ma tu systemu segregowania akt ani korespondencji według kolejności alfabetycznej, Harry Shulz musiał przerzucić ogromną liczbę teczek i listów, co mu zajęło parę godzin. Wreszcie musiał ustąpić wobec oczywistej prawdy, że nigdzie nie ma jakiegokolwiek wzmianki o Stelli Garrett czy Susan Bramovitz.

W pewnej chwili Brian McGurk ostrzegł, że zbliża się patrol.

Shulz w pośpiechu zamknął segregatory, zgasił latarkę i obaj szybko ukryli się w szafach w szatni. Nic się jednak nie wydarzyło i po dwudziestu minutach wyszli z kryjówki. Shulz skradając się poszedł do drzwi, przystawił ucho - kroki cichły w głębi korytarza. Patrol poszedł dalej.

Shulz wyprostował się i zastanawiał przez chwilę. Brian McGurk z obojętną miną palił papierosa. Drugą jego zaletą była umiejętność milczenia. Wreszcie Shulz zdecydował się

kontynuować poszukiwania w biurach dyrekcji. Powtórzył ten sam manewr. Na szufladach nakreślił krzyżyki i wrócił, by objąć warte i zmienić McGurka.

Kiedy szuflady zostały już otwarte, przetrząsnął je bardzo skrupulatnie - niestety rezultat był ten sam. Wtedy pomyślał, że poszukiwania potrwać znacznie dłużej i będą bardziej skomplikowane, niż sobie wyobrażał. Spojrzał na zegarek. Pierwsza godzina. Miał rację, że zabrał się do roboty tak wcześnie. Sprzątaczkę przychodzi chyba do pracy o bardzo ранней porze, miał więc przed sobą zaledwie jakieś cztery godziny.

Zapalił papierosa i zaczął intensywnie myśleć. Gdzieś powinien przecież istnieć jakiś ślad korespondencji prowadzonej z Susan Bramovitz, może książeczki czekowe czy coś w tym rodzaju. Cierpliwie obszedł raz jeszcze pomieszczenia i nagle stanął zamyślony. Zauważył trzy kasy ogniotrwałe. Dwie masywne w dużym pokoju, w którym zapewne mieścił się dział księgowości, oraz nieduży sejf w ścianie w eleganckim gabinecie zajmowanym przez jednego z dyrektorów wydawnictwa, jak przeczytał Shulz na tabliczce przybitej na drzwiach.

Zagwizdał z cicha, by przywołać Briana McGurka. Kiedy ten się zjawił, ujął go za ramię i wprowadził do biura, by rzucił fachowym okiem na kasy ogniotrwałe.

- Co o tym myślisz, Brian? - szepnął.

- Stary, to dwa potężne pudła - skrzywił się tamten. - Nie starczy nam czasu. A poza tym nie mam instrumentów. Zresztą nie wiadomo, czy tu nie ma systemu alarmowego. Chłopie, zostaw to, dobrze radzę.

- A sejf?

— Z tym może poszłoby łatwiej. Ale nic nie obiecuję, stary. Tego nie było w umowie, he?

— Nie traćmy czasu. Weź się do roboty, jeżeli uważasz, że jest jakaś szansa. Czeka cię przyzwoita premia.

- Spróbuj się, chłopie.

Shulz przez chwilę przyglądał się masie mięsa, nieruchomo stojącej przed sejfem w ścianie jak posąg, potem poszedł zająć posterunek na schodach. Nagle lodowaty dreszcz przebiegł mu po krzyżu. W korytarzu słychać było szmer oddalających się głosów. Przed chwilą przeszedł patrol. Gdyby strażnikom przyszło do głowy włożyć klucz w drzwi i zajrzeć do gabinetu, zaskoczyliby ich w czasie dyskusji przed kasami ogniotrwałymi.

Czas włókł się bez końca. Harry Shulz co chwilę spoglądał na zegarek. Wreszcie koło czwartej rano, zaraz po obchodzie drugiego patrolu, wyrósł przed nim McGurk.

- Miałem szczęście, chłopie - mruknął. Szeroki uśmiech wykwitł na ustach Shulza.

- Brawo, Brian. Jesteś prawdziwym mistrzem w swojej branży.

Kiedy wszedł do gabinetu, drzwiczki do sejfu były na oścież otwarte. Nie było na nich ani śladu włamania. W myśli nisko uchylił kapelusza przed McGurkiem, prawdziwym artystą. Latarką oświetlił wnętrze kasy. Sejf wypełniony był aktami. Wyłożył je na wspaniałe mahoniowe biurko, za którym w dzień urzędowała jakaś gruba ryba.

Gorączkowo zaczął przerzucać papiery. Za godzinę będą musieli opuścić lokal. I wreszcie znalazł to, czego szukał. W tekturowym skoroszycie leżała gruba koperta z szarego papieru, na której był odręczny napis: Stella Garrett. Koperta nie była zaklejona. Znajdował się w niej gruby plik kopii listów do Stelli Garrett, jak również wykaz sum przekazanych autorce oraz numery czeków.

Korespondencja była adresowana następująco:

Miss Susan Bramovitz

Villa Falbalas Roquebrune-Cap-Martin (Alpes-Maritimes), Francja

A więc Dixie nie mylił się, Stella Garrett i Susan Bramovitz to jedna i ta sama osoba. Starannie wpisał adres do małego kieszonkowego notatnika, następnie ułożył akta z powrotem w sejfie. Była za dziesięć piąta. Skończywszy robotę, wysłał Briana McGurka, żeby zamknął sejf i wytarł ślady kredy. O godzinie piątej dwadzieścia wymknęli się na ulicę. Shulz nie posiadał się z radości. Operacja powiodła się znakomicie. Udało mu się odnaleźć kryjówkę Susan Bramovitz, przy czym dokonał, tego nie zostawiając żadnych śladów. Dzięki temu nikt nie dowie się, jakie były przyczyny włamania do wydawnictwa. Na rogu ulicy rozstał się z McGurkiem. Żegnając się z nim, Shulz wsunął mu w dłoń kopertę z ustaloną sumą i dodatkową premią.

- Jesteś prawdziwym mistrzem, Brian - mruknął, nie ukrywając podziwu. McGurk szybko schował kopertę do kieszeni i mruknął:
- O key, stary. Cześć! I rozpląnął się w rannej mgle.

Kiedy Harry Shulz znalazł się przy odprawie paszportowej biura lotniczego TWA, był ledwie żywy. Głośniki zapowiadały już start samolotu nr 645 TWA do Paryża i prosiły pasażerów, by udali się do sali odlotów. Był spóźniony. Na ulicach Manhattanu jak zwykle były korki, i do tego jeszcze miał głupi wypadek drogowy na autostradzie Queens. Otarł chusteczką mokre czoło. Pot gryzł go w oczy. Rzucił walizkę na wagę i zamiast biletu wręczył urzędniczce czek. Dziewczyna za kontuarem podała mu paszport, bilet, odcinek na bagaż i kartę odlotu, uśmiechając się do niego złośliwie.

- TWA życzy panu dobrej podróży, panie Shulz, ale radzi też gorąco pobić rekord olimpijski w biegu do sali odlotów. Pasażerowie siedzą już pewnie w autobusie...

Harry Shulz nie dał sobie tego dwa razy powtarzać.

Mentona, Francja. Kwiecień 1970

W banku panował przyjemny półmrok, kojący dla oczu zmęczonych jaskrawym światłem dnia. Susan Bramovitz podeszła do okienka, by wymienić pieniądze. Wysoki mężczyzna, łokciami oparty o kontuar, stał odwrócony do niej plecami. Starannie wydeńbiał travellers cheki; wyglądało na to, że potrwa to jeszcze dolną chwilę. Wyjęła więc z torebki pięć studolarowych banknotów, które zabrała ze sobą z rana, i cierpliwie czekała na swoją kolejkę, utkwivszy bezmyślnie wzrok w plecach stojącego przed nią i mężczyzny. Krój garnituru był typowo amerykański. Wszelkie wątpliwości znikły całkowicie, kiedy odezwał się do urzędniczki. Ależ... Ten głos... Skąd ona go zna?...

Urzędniczka liczyła pieniądze w okienku. Nowe banknoty szeleściły w zręcznych palcach. Skończywszy liczenie, podsunęła gruby plik w stronę mężczyzny, przyglądając mu się z ciekawością zza okularów krótkowidza.

"Zwykła ciekawość czy specjalne zainteresowanie?" - zadała sobie pytanie Susan. Niedbałym mchem wsunął plik banknotów do wewnętrznej kieszeni marynarki. Odwracając się, potracił Susan. Oczy jego były ukryte za wielkimi czarnymi okularami, ale poznała go od razu. Mruknął pod nosem po angielsku jakąś formułkę przeprosin i miał już się oddalić, kiedy zatrzymała go ruchem ręki.

- Charles! - wykrzyknęła, wciąż jeszcze zaskoczona.

— Susan - powiedział po prostu, jak gdyby ostatni raz widzieli się wczoraj. - Świat jest mały, prawda?

— Charles, niech pan zaczeka minutkę. Wymienię pieniądze i jestem do pańskiej dyspozycji. Skinął głową.

Kiedy załatwiła wymianę, wyszli z banku i, jakby na komendę, stanęli oboje na chodniku, w pełnym słońcu. Stali tak twarzą zwróceną ku sobie i przyglądali się sobie długo bez słowa. Ona pierwsza przerwała milczenie.

— No tak! Nigdy nie przypuszczałam, że pana tu spotkam. Nigdzie człowiek nie może się ukryć, prawda, Charles?

— A ja myślałem, że dzięki tym czarnym okularom na zawsze zachowam incognito!

Roześmieli się oboje. Charles pociągnął ją za sobą w stronę pobliskiej kafejki.

- Chodźmy się czegoś napić.

Usiedli wewnątrz lokalu, kiedy zaś zdjął okulary, zaniemówiła ze zdumienia. Twarz nalana, z czerwonymi plamami, białka na-biegle krwią i worki pod matowymi oczami - oto czego dokonał alkohol. W ciągu trzydziestu miesięcy piękna, męska i energiczna twarz, na której widok drżały kobiety, postarzała się o lat piętnaście. Snob z Bostonu przypominał teraz wraki ludzkie, jakie spotyka się w osławionych norach Bowery, dzielnicy manhat-tańskich slumsów.

We wzroku jej wyczytał zdumienie i ze smutkiem pokiwał głową.

- Wiem, Susan, wiem...

Podeszła kelnerka. Spojrzał na Susan z zażenowaniem, jak gdyby chciał się usprawiedliwić, i zamówił dla siebie podwójną whisky, dla niej zaś kawę. Była godzina dziesiąta rano.

Kelnerka oddaliła się. Spuścił głowę i przez chwilę bawił się okularami.

- To niezbyt piękne, co, Susan? Tak sobie pani pomyślała? Było to raczej stwierdzenie niż pytanie. Nie odpowiedziała.

Ogarnął ją głęboki smutek.

- Widzi pani, Susan, cały mój dramat polega na tym, że nigdy nie potrafiłem przyzwyczać się do tego życia w wiecznej rejteradzie - mówił głosem niskim, napiętym. - Po kilku miesiącach spostrzegłem, że ziemia jest zbyt mała, że nigdy nie będę w stanie uciec dostatecznie daleko. Zresztą - uśmiechnął się słabo - nasze dzisiejsze spotkanie jest tego dowodem... Oczywiście spotkanie z panią to nic - dorzucił szybko. - Ale przypuśćmy, że spotkam kogoś innego...

Milczała. Niech się wygada, to mu dobrze zrobi. Z ilu ludźmi rozmawiał przez te trzydzieści miesięcy?

Kiedy na stole zjawiała się szklanka whisky, położył okulary i pociągnął długi łyk. Od razu się ożywił.

- Niech pani mnie zrozumie, Susan. Przez te ostatnie lata jedynym moim prawdziwym przyjacielem był alkohol.

Zaśmiał się szyderczo. - Stałem się prawdziwym globtrotterem. Przemierzyłem pięć kontynentów. Przenosiłem się z miejsca na miejsce statkiem, samolotem, samochodem, a nawet konno w Afganistanie i na wielbłądzie w Arabii Saudyjskiej. Byłem w Siem-Reap. Zwiedzałem ruiny Angkor Vat, kiedy właśnie Vietcong przeszedł do ataku, O mały włos mnie nie zabito. Co za ironia! Naturalnie - ciągnął dalej z goryczą - próbowałem wszystkich gatunków alkoholu, jakie tylko produkuje się na świecie. Aquavit w Szwecji, wód-ka w Warszawie i w Moskwie, grappa we Włoszech, koniak we Francji, rakija w Turcji, choum w Sajgonie, sake w Tokio, tequila w Meksyku, ale tę już znałem...

Opróżnił do końca szklankę i nie patrząc na Susan strzelił palcami w stronę kelnerki, kiedy zaś podeszła, zamówił następną podwójną whisky.

Susan nie odzywała się ani słowem. Umoczyła usta w kawie, w tej obrzydliwej kawie po włosku, gorzkiej i zbyt mocnej, z brązową pianką na wierzchu, jaką podaje się we Francji.

- Ale dość o sobie, Susan. Niech pani opowie, co się działo z panią.

Odstawiła filiżankę, serwetką otarła usta i zapaliła papierosa.

Cunningham wyjął z kieszeni marynarki jedno ze swoich nieodstępnych cygar. Opowiedziała mu wszystko. Zaczął prawie komplementy.

— Moje gratulacje, Stello Garrett. Widziałem tę książkę w witrynie w Kuala Lumpur.

Gdybym wiedział, że autorką jest pani, kupiłbym ją natychmiast. Ale jak tylko stąd wyjdziemy, zaraz popędzę do księgarni, żeby ją kupić, oczywiście po angielsku, bo pani wie, moja francuszczyzna się nie poprawiła.

— Niech się pan nie obawia, Charles. Książka nie została jeszcze przełożona na francuski. Przetłumaczono ją dopiero na niemiecki, hiszpański i japoński. A propos, mam na karku proces.

- Co?

Roześmiała się, otworzyła torebkę i podała mu list, jaki dostała właśnie tego ranka od wydawcy.

— Doskonała reklama - zawyrokował po przeczytaniu.

— Myśli pan, że będzie mógł mi czegoś dowieść?

- Pozwoli pani, że przeczytam to arcydzieło, zanim odpowiem na pytanie.

- Druga sprawa, Charles. Niebawem będę mogła panu zwrócić całą sumę, którą mi pan tak wspaniałomyślnie pożyczył.

Machnął niedbale ręką.

- Dajmy, temu spokój. To nieważne, załatwimy to przy okazji. Tak naprawdę, to ja w bardzo niewielkim stopniu przyczyniłem się do pani sukcesu. Niemniej jestem z pani dumny.

- Dziękuję, Charles.

Przez stół ciepłym gestem pogładziła go po dłoni. Odwrócił głowę, wzrokiem szukając kelnerki. Druga szklanka była już opróżniona.

Miała ochotę przywołać go do rozsądku, ale w końcu zrezygnowała.

Tym razem kelnerka nawet nie podeszła, by przyjąć zamówienie. Z unizonym uśmiechem przyniosła pełną szklankę. "Pewnie sobie w tej chwili kalkuluje, ile wynosi piętnaście procent za obsługę" - pomyślała Susan.

Cunningham wypił długi łyk. Oczy błyszczały mu z zadowolenia.

- Kiedyż spotkam tego sławetnego Jacques'a?

- Niebawem - zapewniła Susan.

- Świetnie. Zorganizujemy sobie małe święto.

Nagle popatrzył na zegarek. - Och, już prawie dwunasta! A może byśmy zjedli razem obiad ?

Bardzo mi przykro, Charles, ale dziś nie mogę. Może jutro, jeżeli pan chce.

- O key, niech będzie jutro. I proszę zabrać ze sobą Jacques'a.

- Niestety, jutro Jacques wybiera się do Nicei; wyjeżdża bardzo wcześnie i wróci dopiero wieczorem.

- Tym lepiej. Urządzimy sobie zatem obiad jak dla zakochanych. We dwoje, tylko pani i ja. Niech pani wpadnie do mnie koło dwunastej. Mieszkam na wzgórzu. Willa jest w tonacji różo-wej. Nazywa się zresztą "Villa Rose". Położona jest na uboczu, To chyba jeden z ważnych powodów, dla których ją właśnie wynajęłam. Pomyłka wykluczona.

Pożegnali się koło pół do pierwszej. Kelnerka z bardzo zadowoloną miną postawiła właśnie na stole piątą whisky, Susan wsiadła do swego forda mustanga, który kupiła okazji po opuszczeniu kliniki. Samochód był automatyczny i dlatego wybrała ten właśnie model. Nie mogła przyzwyczać się do skrzyń biegów, jakie miała większość wozów europejskich,

Starsza kobieta o uroczym akcencie prowansalskim, która sprzątała ich willę i od czasu do czasu gotowała obiady, nakryła do stołu. Pośrodku stołu parę paków róż wychylało się z chińskiej wazy. Susan przez chwilę żałowała, że nie zaprosiła Cunninghama, wiedziała jednak, że Jacques nie znosi niezapowiedzianych gości.

Kiedy rozkoszowali się smakiem soczystych barwen, opowiedziała mu o rannym spotkaniu z Charlesem Deckerem Cunninghame, ale pominęła niektóre szczegóły - nie wspomniała

o przyczynach, które skłoniły go do wyjazdu ze Stanów, ani o tym, że stał się nałogowym alkoholikiem.

— Wiesz, ta samotna willa na szczycie wzgórza, cała różowa? Tam on właśnie mieszka.

— To jakiś lubieżnik, ten twój przyjaciel - zażartował Jacques.

- A to dlaczego? - zapytała zdziwiona.

- Dlatego, że stamtąd można przez lornetkę obserwować wszystko, co się dzieje w sypialniach willi położonych niżej. Okna sypialni wychodzą na ogół na zbocze wzgórza.

— Kto by pomyślał, pan ma obsesję seksualną!

— Ludzie niekiedy zapominają zapuścić firanki...

Restauracja "La Baie de Naples" w Mentonie mogła zaspokoić gusty gości o wyjątkowo nawet delikatnych podniebieniach. Podawano tu specjalności morza, ryby w obfitym wyborze, złowione tego samego ranka i pachnące jeszcze wodą, do tego prawdziwe prowansalskie czerwone wino o odpowiedniej temperaturze.

- Wyśmienite! - oświadczyła Susan, odsuwając talerz.

- I ja tak myślę - przytaknął sentencjonalnie Cunningham. - Po moich peregrynacjach po całej kuli ziemskiej muszę zgodzić się z opinią, że tylko Francuzi potrafią gotować. Inne narody mają o tym mniej lub więcej mętne pojęcie albo też naśladują Francuzów. Jeżeli chodzi o Chińczyków... Wie pani, czym mnie chciano uraczyć w Taipei?

- Przypuszczam, że jakimś obrzydlistwem.

- Mózdzkiem małpy. Żywemu zwierzęciu obcina się cztery kończyny, żeby nie mogło się poruszać. Jednym cięciem noża ścina się wierzch czaszki i biesiadnik małą łyżeczką wybiera ciepły, żywy jeszcze mózdek...

Krzyknęła z obrzydzenia.

- Charles! Niech pan przestanie, bo zacznę wymiotować.

Skinął na kelnera, chcąc uregulować rachunek.

- Chodźmy, Susan, z tej restauracji. Mam w domu doskonałe trunki. To panią postawi na nogi.

Pojechali każde swoim samochodem, on peugeotem 504, ona za nim mustangiem, trochę niespokojna, gdyż miał już dobrze w czubie.

Budowniczy willi, w której mieszkał Charles Decker Cunningham, dał dowód bardzo złego gustu wyobrażając sobie, że cukierkowy różowy kolor odpowiada architekturze budowli.

Była ona po prostu okropna, kłóciła się z otaczającą ją wspaniałą przyrodą o mocnych kolorach.

Natomiast wewnątrz urządzone było z komfortem. Z ogromnej oszklonej werandy można było podziwiać całe piękno krajobrazu. Oszklone drzwi wychodziły na mały taras i tu właśnie zasieli w cieniu parasola. Choć był dopiero kwiecień, popołudnie było ciepłe jak w lecie.

Cunningham wszedł do mieszkania i po chwili wrócił, pchając przed sobą barek na kółkach, zastawiony butelkami, szklankami, kieliszkami. Wśród nich stał duży kubełek z lodem.

— Jaką truciznę pani wybiera, Susan?! - krzyknął wesoło. Chciało się jej pić, poprosiła więc o coś orzeźwiającego.

— Proszę Screwdriver z masą lodu.

Do szklanki wrzucił parę kostek lodu, nalał wódki i soku pomarańczowego i podał Susan. Obserwowała spod oka, jak nalewa sobie dużą porcję whisky z jedną kostką lodu. Jeżeli jest pijany, może odpowie wreszcie na pytanie, które tyle razy mu zadawała, nigdy nie otrzymując odpowiedzi. To pytanie, które stawiała sobie także i ostatniej nocy i które wciągnęło ją w taki wir przypuszczeń, że w końcu nie zmrzyna oka do świtu.

Udawiała zatem, że nie dostrzega, jak Cunningham ciągnie niby smok. Gawędzili o tym i owym, wspominali dawnych wspólnych przyjaciół, rozważali, czy Susan ma szansę, by stać się sławną pisarką. On opowiedział parę anegdot z podróży, które - mimo iż był dobrze podmuchą - świadczyły, że nie stracił poczucia humoru. Ona z kolei mówiła o wydarzeniach majowych we Francji w 1968 roku.

Śmieli się dużo. Cunningham nalewał sobie kieliszek za kieliszkiem. Nalegał, by ona również piła, ale do tej pory ograniczyła się do dwóch szklanek cocktailu z wódki i soku pomarańczowego. Spod wpeł przymkniętych powiek obserwowała go uważnie, kiedy zaś doszła do wniosku, że dojrzał, brutalnie rzuciła pytanie, które ją dręczyło:

- Charles, co właściwie wydarzyło się w Dallas? Zatrzymał się w pół zdania i popatrzył na nią, jak gdyby nagle stała się dlań zupełnie obcą osobą.

Potrząsnął głową, jakby chciał uwolnić się od jakiejś uprzykrzonej myśli.

- Susan, już tyle razy rozmawialiśmy... Odpaliła sucho:

- Charles, mam chyba prawo wiedzieć. Od trzydziestu miesięcy ukrywam się i nawet nie wiem dlaczego. To nie do zniesienia!

- Susan... - zaczął błagalnie.

W głębi serca odczuwała litość dla tego strzępka człowieka, jakim stał się Charles Decker Cunningham, dumny potomek jednej z najstarszych rodzin amerykańskich, dziedzic bajecznej fortuny, o którego względy rywalizowały kobiety z najlepszego towarzystwa. Ale postanowiła nie okazywać litości.

— To trwa już za długo. Jeżeli mam umrzeć, chcę przynajmniej wiedzieć dlaczego. A kiedy będę знаła przyczynę, może lepiej potrafię się obronić.

— Już tyle razy pani mówiłem. Nie można się obronić przed tymi ludźmi. Oni są od nas silniejsi.

— Niech pan pozwoli, że ja to osądzę, Charles - odparła zimno. - Mimo wszystko mnie również to dotyczy.

— Po co jednak ma pani wiedzieć, Susan? Jest pani szczęśliwa. Spójrzmy prawdzie w oczy. Pani i mnie jakoś się udało. Wciąż jeszcze żyjemy...

- Jak długo jeszcze, Charles? Kto wie, czy już nie wpadli pański ślad? Zgarbił się, opuścił głowę. - Nie powinna pani, Susan... - rzekł cicho. "Nie musisz być taka okrutna" - pomyślała, ale stłumiła zaraz odruch litości, który się w niej obudził. Musi być bezwzględna.

- A więc, Charles? - nalegała, uderzając niecierpliwie dłonią w stół.

Potrząsnął głową jak bokser, który otrzymał gwałtowny cios.

- Dobrze, Susan, wygrała pani... - powiedział znużonym głosem.

Susan odwróciła oczy, nie śmiała na niego spojrzeć. Usłyszała, jak butelka brzęknęła o szklankę.

- Nie muszę pani tłumaczyć, Susan, że wszystko zaczęło się w Dallas - zaczął głosem monotonnym, znużonym. - Pamięta pani, w związku z tym niesłychanym zamachem pojechaliśmy tam

we czwórkę - Tom Stewart, Bill Hunting, pani i ja. Być może tego pani nie pamięta - gdyż leżała pani chora na grype - któregoś wieczoru zgłosił się do nas jakiś nieznajomy i zaproponował kupno rewelacyjnych materiałów o zamachu. Gość nazywał się Jimmy Cairn.

Umówiliśmy się z nim na następny dzień. Nazajutrz pani dalej leżała w łóżku z grypą, podobnie zresztą jak przez następne trzy dni, a my udaliśmy się na spotkanie. Jimmy Cairn powiedział, że ma do sprzedania film. Dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów - oto cena, za jaką może go odstąpić. Roześmieliśmy mu się w nos i zaczęliśmy się zbierać do wyjścia, ale zatrzymał mnie i powiedział, że jego film jest wyjątkowy. Zobaczyć można na nim, że oprócz mordercy, którego wykryło śledztwo oficjalne, w zamachu brały udział inne jeszcze osoby. "Film - dodał Jimmy Cairn - pokazuje morderców w pełnej akcji, z bronią w ręku". Zaczynaliśmy z wolna wierzyć temu, co mówi, ale nie mieliśmy zamiaru dać się wciągnąć w ten interes, zanim nie obejrzymy towaru. Wtedy Jimmy Cairn zaprowadził nas do jakiegoś mieszkania.

Zastaliśmy tam goryla, który stanowił zapewne obstawę Jiminy'ego Cairna i miał bronić go, gdybyśmy czasem chcieli ukraść film. Jimmy nastawił rzutnik i, Susan... nie wierzyłem własnym oczom. Zorientowałem się, że Jimmy Cairn sam nakręcił ten film. Musiał siedzieć w samochodzie zaparkowanym tuż obok morderców.

Kamera najpierw prześlizguje się po orszaku, następnie, kiedy rozległy się pierwsze strzały, obraca się o 180 stopni i filmuje morderców. Obrazy, po większej części, były bardzo wyraźne. Morderców było dwóch. Twarze nieznajome. Ale za nimi stał, jak generał za swoją armią, jeden z najbardziej wpływowych ludzi w Stanach Zjednoczonych. Nie wymienię nazwiska, Susan. Za chwilę zobaczy go pani sama. Mam tu odbitki tego filmu, które zrobiłem w absolutnej tajemnicy, nikomu nie mówiąc ani słowa. Wożę je zawsze ze sobą. Nigdy nic nie wiadomo...

Kiedy z Billem i Tomem zobaczyliśmy te zdjęcia, zbledliśmy śmiertelnie. Ten film mógł wywołać największy skandal w historii Stanów Zjednoczonych.

Pożegnaliśmy się z Jimmy Cairnem, obiecując, że wrócimy nazajutrz. Pobiegłem szybko do telefonu i zadzwoniłem do starego Reginalda Smithsona. Opowiedziałem całą historię i usłyszałem odpowiedź: "Dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów to wcale niedrogo".

Jimmy Cairn mógł za ten film otrzymać co najmniej milion dolarów, ale moim zdaniem po prostu nie wiedział, kim jest ta ważna osobistość na ostatnich sekwencjach. Dla niego wartość filmu tkwiła w tym, że dowodził współudziału wielu morderców, a to było sprzeczne z wersją oficjalną.

Następnego dnia rano nadeszło dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

- Ze względu na wagę sprawy Tom, Bill i ja postanowiliśmy, że pani nie piśniemy o tym wszystkim ani słówka. Pani wciąż leżała chora w hotelu.

Wróciliśmy do Jimmy'ego Cairna. Interes został ubity, pod tym wszakże warunkiem, że nie ma innych kopii filmu. Zapewnił, że nie ma. Przeszukaliśmy mieszkanie, kazaliśmy jemu i jego gorytowi spakować się w naszej obecności. Zrewidowaliśmy ich bagaże, a następnie odwieźliśmy ich na lotnisko i załadowali do samolotu odlatującego do Panamy. To wszystko, co mogliśmy zrobić. Nigdy już zresztą więcej o nich nie słyszałem. I jeszcze raz obiecaliśmy sobie, że pani o niczym nie powiemy.

Bill został z panią w Dallas. Tom i ja wróciliśmy do Nowego Jorku. Film i kopia zostały przekazane Reginaldowi Smithsonowi. W dwa dni potem Bill przyjechał z panią do Nowego Jorku. Wtedy Smithson zaprosił Billa i Toma na małą konferencję. Konferencję, z której obaj wyszli z pokazną harmonią dolarów. I zapomnieli zupełnie, że kiedykolwiek oglądali ten film. Cóż pani chce, ludzka rzecz. Mieli na utrzymaniu rodziny.

Mnie nawet nie próbowali kupić za pieniądze. Taki numer by nie przeszedł. Zaapelowano do moich uczuć patriotycznych. Bagno, w jakim znajdzie się elita Stanów Zjednoczonych.

Skandal. Reperkusje międzynarodowe. Następnie zaproponowano mi stanowisko, o które

zabiegałem. Awans, o jakim marzyłem. Wie pani, Susan, że zawsze byłem zwariowany na punkcie dziennikarstwa.

Susan słuchała zafascynowana. Przez długą chwilę siedziała zamyślona. Cunningham skorzystał z milczenia, które się przedłużało, by nalać sobie kolejny kieliszek whisky. Uważał, że dobrze nań zasłużył.

— Jednego jeszcze nie rozumiem - powiedziała w końcu Susan - dlaczego Tom i Bill zostali zamordowani, jeżeli kupiono ich milczenie?

— Widzi pani - odrzekł Cunningham - na samym początku Smithson robił wszystko, żeby sprawę zatuszować. On sam uważał, że wystarczy kupić milczenie Toma i Billa, a mnie dać awans, którego tak bardzo pragnąłem. Był przekonany, że nam to wystarczy. I miał rację. Na nieszczęście osoba, której to bezpośrednio dotyczyło, uważała, że naraża się na olbrzymie ryzyko, pozostawiając przy życiu ludzi, którzy za dużo o niej wiedzą. Oczywiście, od tej chwili zaczynają się hipotezy.

- Wydam się może panu straszną egoistką - powiedziała

Susan - ale raz jeszcze zadam panu to samo pytanie. Dlaczego ja jestem zaplątana w tę sprawę, jeżeli nigdy nie widziałam tego filmu. Nie wiem nawet, kto na nim figuruje i... Cunningham przerwał jej:

- Bardzo długo nad tym myślałem. Przypomina sobie pani nasze dyskusje na ten temat. Oczywiście, mogę się mylić, ale moim zdaniem sprawy potoczyły się tak: Smithson nawiązał kontakt z osobą najbardziej zainteresowaną, pokazał jej film, opowiedział, jak dostał się do naszych rąk, j na pewno podał nazwiska członków naszej ekipy w Dallas, łącznie z nazwiskiem pani. Jest bardzo prawdopodobne, że nadmienił, iż pani o niczym nie wie. Ale później, kiedy tamten postanowił puścić w ruch całą maszynę, musiał zapewne sobie powiedzieć, że nie ma sensu przejmować się głupstwami. Moje przypuszczenia potwierdza fakt, że świadkowie, którzy zostali zlikwidowani, nie wiedzieli dużo, ale każdy znał jakiś ułamek prawdy, a te ułamki, zebrane razem, mogły doprowadzić do odkrycia całej prawdy.

- Co Smithson miał z tego, że zatuszował skandal?

- Szczerze mówiąc, nie wiem. Niech pani jednak nie zapomina, że w 1964 i 1965 roku stał się właścicielem kilku dzienników na południu Stanów... Przedtem były to bardzo solidne firmy, a przecież niemal z dnia na dzień poszły na licytację. I za każdym razem pierwszeństwo miał Smithson...

Mina Susan wyrażała powątpiewanie.

— To bardzo piękne rozumowanie, według wzorów z Harvard. Hipotezy dosyć logiczne, bez wątplenia, ale nie ma żadnego materialnego dowodu na potwierdzenie pańskiej teorii mówiącej o dalszym ciągu tej afery.

— Zgadzam się z panią, ale, jak powiadają prawnicy, można dopuścić wątpliwości umiarkowane.

— A gdyby tak pokazał mi pan te zdjęcia, Charles?

— Dobrze. Proszę ze mną.

Podniósł się z miejsca. Chwiał się lekko na nogach i niepewnie stawiał kroki. Susan szła za nim.

- Niech pani tu chwileczkę zaczeka, Susan.

Zniknął za drzwiami w głębi living-roomu i zaraz pojawił się z powrotem, trzymając w ręku grubą kopertę z brązowego papieru. Szerokie paski plastra zaklejały ją na krzyż we wszystkich kierunkach.

Uderzając niedbale kopertą o dłoń, podszedł do niewielkiego stolika, przy którym stała Susan. Otworzył jedną z szuflad i zaczął w niej czegoś szukać.

- Inny fakt powinien panią przekonać, że ci ludzie nie złożyli broni... - rzekł obojętnie i nagle zaśmiał się szyderczo. - ...Och! to tylko gra słów... - wyjaśnił. - Pamięta pani, co się wydarzyło w Los Angeles dwa lata temu... Oni nie cofają się przed niczym. Jeden brat po drugim...

Położył kopertę na stole.

- Psiakrew! Gdzież są te nożyczki! - zdenerwował się i dalej przerzucał stare listy, kłębki sznurka, gumki, które zawały szufladę.

Susan bezmyślnie patrzyła na ręce Cunninghama, próbujące znaleźć w tym bałaganie nożyczki, gdy nagle dostrzegła rewolwer, który Cunningham wsunął pod plik jakichś rachunków.

Odnalazł wreszcie to, czego szukał, przeciął paski plastra, rozerwał kopertę i wysypał na stolik odbitki. Rozrzucił je i zaczął segregować.

Susan, zaciekawiona, pochyliła się obok niego. Wreszcie wyprostował się; odbitki były ułożone kolejno jedne przy drugich, kilka zatrzymał w ręku. Odwrócił się do Susan i palcem pokazał na zdjęcia.

- Proszę popatrzeć od prawej strony ku lewej i przyjrzeć się, jak biegnie film.

Susan pochyliła się do przodu. Odbitki były bardzo wyraźne. Widać było asystę, eskortę, tłum. Doszedłszy do ostatniego zdjęcia, rozłożyła ręce, zdziwiona.

- Gdzie są mordercy?

Cunningham uśmiechnął się za jej plecami.

- Niech pani spojrzysz tu.

Wybrał jedno ze zdjęć, które trzymał w ręku, i położył na stoliku. Drugą odbitką zakrył dół błyszczącego papieru tak, że widoczna była tylko górna część fotografii.

- Proszę przyjrzeć się z bliska, Susan. Poznaje pani tego mężczyznę ?

Szeroko otwartymi oczami przyglądała się fotografii. Wskazujący palec Cunninghama wskazywał jedną z twarzy. Podskoczyła i cofnęła się do tyłu.

— To niemożliwe, Charles! - wykrzyknęła. Jej osłupienie ubawiło go.

— A co, nie mówiłem pani? - Kto by przypuszczał?!

- Hm... tak - westchnął Cunningham dorzucając do stosu zdjęć ostatnią odbitkę, którą trzymał w ręku.

- A kto jest tutaj, na dole zdjęcia?

— Mordercy w akcji. Nic ciekawego. Ci, którzy wykonują rozkazy.

— Nic z tego nie rozumiem, Charles. Po co człowiek na takim stanowisku zjawia się na miejscu zamachu? Czy nie boi się kompromitacji? Przecież mógł zostawić tę robotę mordercom, nie musiał być przy tym obecny!

Cunningham obojętnie wrzucił ramionami.

- Przypuszczam, że po prostu leży to w jego naturze. Jakies dwanaście lat temu pewne pismo opublikowało całą serię artykułów o nim. Myślę, że pani była jeszcze wtedy na uniwersytecie. Ich autorem był stary Jesse Malloy. Zdołał świetnie odmalować awanturniczy temperament tego miliardera, który wciąż szuka nowych wrażeń.

- Ale dlaczego tak postąpił?

Cunningham pokręcił głową na znak, że nie rozumie.

- Nie mam pojęcia. Ale mówi się, że wraz z paroma ludźmi jego pokroju założył organizację, którą nazwano Komitetem-cze-goś-tam. Swojego rodzaju tajne stowarzyszenie. Celem ich było przeciwstawienie się wzrostowi wpływów sił liberalnych i postępowych w kraju, walka z integracją rasową i wprowadzenie w Ameryce rządów odpowiadających tym założeniom.

Mówiąc szczerze, wcale bym się nie zdziwił, gdyby należał do nich mój ojciec. Poglądy tego komitetu odpowiadałyby mu w całej rozciągłości.

— Widać jednak, że im się to nie udało. Od tamtego czasu minęło już sześć lat i nie zdarzyło się nic, co by wskazywało na to, że osiągnęli swój cel.

— Osiągnięcie tego celu nie było dla nich łatwe. Ewolucji nic da się odwrócić. A poza tym po zamachu w Dallas musieli usunąć się w cień i zająć zacieraniem za sobą śladów. Moim zdaniem, mord w Los Angeles był raczej jeszcze jednym machnięciem miotłą dla zatarcia śladów aniżeli próbą realizowania ich celów. Po prostu ten człowiek był niebezpieczny - mógł przejrzeć ich plany. Trzeba więc było go zlikwidować.

- Charles, to potworne - wyszeptała Susan.

Jeszcze raz pochyliła się nad fotografiami, tym razem z większą uwagą. Oglądała bardzo szczegółowo każdą odbitkę. Wreszcie doszła do tych, które Cunningham trzymał przedtem w ręku, a które teraz zmieszały się z innymi.

Jedną z nich wzięła do ręki, podniosła do oczu, by lepiej przyjrzeć się trzem twarzom na błyszczącym papierze. W tle znajdował się ten, którego widziała już przedtem. Na pierwszym planie mordercy przyciskali do policzków karabiny z celownikami optycznymi: zaciśnięte usta, oczy utkwione w jeden punkt. Odbitka była trochę niewyraźna w miejscu, gdzie znajdowały się wyloty luf. Kiedy kamera filmowała tę scenę, z broni padały kule.

I nagle Susan zastygła bez ruchu. Ogarnęło ją przerażenie. Nie wierząc własnym oczom, przyglądała się twarzy jednego z morderców. Tego z lewej strony. Kwadratowa szczęka, twarz męska, energiczna, oczy, które poznała od razu, mimo że kapelusz zasłaniał prawie całe czoło i rzucał cień na górną część twarzy.

Oślupiała. Potem ogarnęła ją zgroza. Zdjęcie wysliznęło się z jej palców i upadło na podłogę. Zrobiło jej się niedobrze. W głowie zawirowało i wydało jej się, że cały living-room i ona sama tańczą jakąś potworną sarabandę. Nogi ugięły się pod nią i runęła na podłogę.

Jak przez mgłę słyszała krzyk Cunninghama:

- Susan!... Susan!... Su...

Kiedy się ocknęła, leżała wyciągnięta na tapczanie. Cunningham zwilżał jej skronie ręcznikiem zmoczonym w zimnej wodzie. Wydawało jej się, że ktoś uruchomił młot pneumatyczny, który raz po raz uderza bez litości w jej głowę.

Zamknęła na powrót oczy i nie czekając na pytania Cunninghama opowiedziała mu wszystko, niczego nie pomijając, urywanymi, bezładnymi zdaniami, przerywanymi łkaniem.

On zaś trzymał w dłoniach jej lodowatą rękę i ocierał jej łzy. Kiedy skończyła, powiedział głupkowato:

- Trzeba coś z tym zrobić, Susan.

Pewnego dnia budzisz się, bo mężczyzna, który leży u twego boku, pieści cię z czułością. Jesteś jeszcze odurzona snem. Otwierasz oczy. Wiesz, że na dworze świeci słońce, mimo że ciężkie kotary nie wpuszczają go do pokoju. Ogarnia cię cudowne uczucie. Czujesz mężczyznę w sobie. On wie, że lubisz kochać się niemal w momencie przebudzenia, kiedy nie opuściło cię jeszcze odurzenie snem. Czujesz rozkosz. Potem mężczyzna odchodzi.

Wyruszasz w słońce, by spotkać innego mężczyznę, który jest twoim starym przyjacielem. Oglądasz kilka zdjęć z zamachu, którego dokonano przed laty w Teksasie, i nagle odkrywasz, że pierwszy mężczyzna jest mordercą. Przez trzydzieści miesięcy żyłaś u jego boku i nigdy niczego nie zauważyłaś. Czujesz jeszcze ciężar jego ciała na swoim, ale wiesz już, że nigdy więcej nie pozwolisz się dotknąć. A jednak kochasz go każdym włóknem swego ciała... Tak, kochasz go...

Jesteś w rozpacz, szukasz argumentów, które by go mogły usprawiedliwić, ale ich nie znajdujesz. I nagle wszystko, co zbudowałaś, w co wierzyłaś, co kochałaś przez trzydzieści miesięcy, wali się w gruzy...

Ogarnia cię bezmierne obrzydzenie. Pragniesz umrzeć... Ale opamiętujesz się... Nie! Nie umrzesz. Przecież o to tylko im chodzi. Nie! Nie umrzesz! Będziesz walczyć! Uciekniesz! Wymkniesz się im! Ale czy masz dość odwagi? A potem przychodzi ci do głowy straszne przypuszczenie: może on usiłuje zabić i ciebie? Stanowi przecież jedno z ogniw spisku. Ten morderca, który czyha na ciebie na każdym kroku, to może właśnie on? Czy twoje pierwsze z nim spotkanie było naprawdę przypadkowe? Inni świadkowie zginęli w wiele lat po zamachu. Mordercy czekali na sprzyjającą okazję, przerwy między poszczególnymi zabójstwami były dość długie. Po cóż by on jednak czekał trzydzieści miesięcy? Grał tę potworną komedię miłości, aby cię uśpić...

Tak! Wszystko się zgadza. Rozumowanie Cunninghama jest logiczne. On ma rację. Zawsze miał rację. Ostrzegał cię, ty zaś głupio, niby mały Czerwony Kapturek, sama rzuciłaś się w paszczę wilka. Uciekłaś z Nowego Jorku, by wpaść prosto w szpony mordercy...

Susan płakała. Cichutko, jedna za drugą, łzy gromadziły się w kąciku oka, rosły i staczały się wzdłuż nosa, a Cunningham zbierał je machinalnie rogiem mokrego ręcznika, nim dotarły do ust.

Pochylił się nad nią i tak samo głupio jak za pierwszym razem głosem ochrypłym od nadużywania alkoholu powtórzył: - Trzeba coś z tym zrobić, Susan... -

Jacques trzymał w ręku paczuszkę z upominkiem, który kupił dla Susan w nicejskiej filii Cartiera. Był to wspaniały klips, wysadzany małymi diamentami. Kosztował go wprawdzie niebagatelną sumę, ale Susan uwielbiała klipsy, a poza tym przypomniał sobie, że ostatni prezent ofiarował jej przeszło rok temu, jeszcze przed wypadkiem, po powrocie z podróży do Bangkoku.

Wszedł do living-roomu i zawołał Susan. Ale jego wołania pozostały bez odpowiedzi. Teraz dopiero uświadomił sobie, że nie widział jej samochodu w wysypanej żwirem alei tuż obok dużego klombu kwiatów, gdzie miała zwyczaj parkować nawet w nocy, mimo że w willi były trzy garaże. Pomyślał, że na pewno pojechała do miasta.

Nagle coś niezwykłego kazało mu się zatrzymać. Stał w miejscu na środku pokoju. Atmosfera domu wydała mu się inna niż zwykle, czuł to niemal fizycznie. Gasnące światło dnia jeszcze oświetlało pokój, ale już bardzo słabo. Poczł, że bolą go oczy. Zdarzało mu się to od czasu, kiedy uległ wypadkowi. Machinalnie przekreślił kontakt.

Wchodzisz do umeblowanego domu, który chcesz obejrzeć, by ewentualnie wynająć, i odkrywasz, że jest smutny, pusty, bez charakteru, stylu, bezosobowy. Zimny i nieprzyjazny, jak ktoś nieznamy. Meble są obce, niemal wrogie. Nie ma kwiatka, nie ma żadnego przyjaznego przedmiotu, który by cię witał jak kogoś bliskiego. Takie wrażenie odniósł Jacques, gdy światło zalało living-room. Oczy jego przesunęły się po znanych przedmiotach, ale z trudem je rozpoznawał.

"Zostaliśmy obrabowani" - przemknęło mu przez myśl.

Wszystko niby było w porządku, ale różne rzeczy, części garderoby, które Susan zwykle zostawiała w nieładzie, znikły. Na małym stoliku tuż przy szerokim oknie, który służył jej za biurko, nie było dyktafonu i maszyny do pisania.

Podszedł bliżej. Jeszcze dziś rano na małej etażerze leżał gruby pakiet listów, które Susan dostała w ciągu ostatnich miesięcy. On również zniknął. Włamywacz nie zabrałby przecież listów...

Machinalnie położył paczuszkę z klipsem obok pudełka z kilką i resztką papieru przebitkowego - jedyne śladu, że Susan pracowała przy tym stoliczku - i nagle wbiegł na schody tak szybko, jak tylko pozwalała na to jego noga, jeszcze trochę sztywna po wypadku. Zatrzymał się na progu sypialni i przekręcił kontakt. Unosił się tu jeszcze zapach ulubionych perfum Susan.

Na turkusowej kapie leżały wszystkie klejnoty, które ofiarował jej w upominku, i mieniły się tysiącem ognia. Obok leżała ciężka złota zapalniczka firmy Dupont, także prezent od niego.

W obszernej szafie wisiały tylko jego ubrania. Ze stoliczka nocnego znikły grzebienie i szczotki do włosów. Lekkie pyłki kurzu obrysowały delikatną kreską ich kontury.

Znikły również słoiczki z kremem, szminkami, pudrem, flakoniki z perfumami, paczuszki papierowych chusteczek do nosa. W łazience zostały puste półki.

Pod tubką z kremem do golenia znalazł cztery studolarowe banknoty. Była to suma stanowiąca wkład Susan we wspólne koszty utrzymania.

Stał przy umywalce i z głupią miną przyglądał się pustym półeczkom, usiłując zrozumieć, co się stało.

Przebiegł wszystkie pokoje w nadziei, że w którymś znajdzie list z wyjaśnieniami, ale nic takiego nie było.

Co zaszło w ciągu dnia, dlaczego zniknęła?

Fantazja jego snuła najbardziej szalone przypuszczenia, by po chwili odrzucać jedno po drugim.

Ale być może nie jest jeszcze za późno. Trzeba szukać jej w mieście. Dokąd mogła się udać? Może to jakiś kryzys nerwowy? Jeżeli tak, to może spowodować wypadek. Przypomniał mu się wypadek, jaki przeżyli ostatniej wiosny; nieprzyjemny dreszcz przebiegł mu po plecach. Schodził już z powrotem do living-roomu, gdy nagle stanął jak wryty. Poczuł, jak coś ścisiska go za gardło.

Opony samochodu zazgrzytały na żwirze alei. Susan wraca! Radość wypełniła mu serce, postawił nogę na ostatnim stopniu schodów.

- Halo, Jacques! - odezwał się głos za jego plecami. Odwrócił się gwałtownie i nie wierząc własnym oczom przyglądał się postaci, która zbliżała się ku niemu.

— Nie jesteś zadowolony, że widzimy się znowu? - zdziwił się Harry Shulz.

— Ależ tak, oczywiście, Harry - tłumaczył się Jacques - tylko nie spodziewałem się ciebie tutaj.

- Chciałem ci zrobić niespodziankę...

W holu rozległy się kroki. Jacques odwrócił się w nadziei, że ujrzy Susan. Ale zobaczył tylko grubego faceta z rozbieganymi oczyma.

Był to Pioggia, jeden z dwóch ludzi wypożyczonych Shulzowi przez Dufoura, nicejskiego przedstawiciela Massicaud-Vellarda. Shulz nie uważał za stosowne przedstawiać go Jacques'owi. Dragi, niejaki Stefanini, pozostał na dworze i pilnował drogi. Obaj pochodzili z Nicei, a w swoim świątku znani byli ze szczególnego okrucieństwa.

Jacques kciukiem pokazał na Pioggię.

- Kto to jest?

Nie chcąc, żeby Pioggia i Stefanini rozumieli, o czym rozmawia z Jacques'em, Shulz przeszedł na angielski. Już wcześniej upewnił się, że żaden ze zbirów nie zna tego języka.

- Obstawa - odparł spokojnie.  
- Starzejesz się, Harry - zauważył Jacques ze słabym uśmiechem.  
— Tak myślisz? - zaśmiał się szyderczo Shulz. - Ale, ale, mam wrażenie, że ci przeszkadzam.  
— Hm... mam pewne kłopoty... zresztą spieszę się...  
— Siadaj. Nie biegaj po pokoju tam i z powrotem. Poczęstuj nas czymś mocniejszym i opowiedz o tych swoich kłopotach.  
— Szczerze mówiąc, Harry, nie mam czasu. Czy nie moglibyście tej przyjacielskiej wizyty odłożyć na jutro?  
- Kto mówi o przyjacielskiej wizycie? Jacques wyciągnął ręce do Shulza.  
- O key, Harry! Jeżeli nawet masz dla mnie jakąś propozycję, czy nie mógłbyś z tym poczekać do jutra?  
Harry Shulz zasiadł w fotelu. Nie raczył nawet odpowiedzieć. Odetchnął z ulgą i podniósł oczy na Jacques'a.  
— Jeszcze stoisz? Siądnij sobie. Jacques wybuchnął gniewnie.  
— Cóż ty sobie wyobrażasz, Harry? Powiedziałem ci... Shulz uspokoił go gestem.  
- Nie denerwuj się... Dalej! Otwórz przede mną serce. To ci dobrze zrobi. Cóż to za kłopoty?  
Jacques zacisnął pięści. Gotowało się w nim.  
- Dość tego, Harry. Spieprzaj stąd... Shulz udał zaszokowanego.  
- To nie w porządku, Jacques. Odwiedza cię stary przyjaciel, a ty wyrzucasz go za drzwi? A co właściwie słyhać u twojej narzeczonej? A może nawet u twojej żony, tyle przecież czasu upłynęło...  
Rozejrzał się naokoło.  
- Nie widzę jej tutaj... I jej samochodu nie ma przed domem...  
Spojrzał pytająco na Jacques'a.  
- Czy to są właśnie te twoje kłopoty?  
Jacques nie odpowiedział. Zacisnął pięści i wlepił wzrok w Shulza, usiłując odgadnąć przyczynę jego obecności w tym domu.  
Shulz pierwszy spuścił oczy. Dojrzał właśnie mały barek, więc wstał, długimi krokami przemierzył pokój i nalał sobie pół szklanki whisky. Pociągnął długi łyk i zwrócił się do Jacques'a.  
- Zniknęła, co?  
Nie czekając na odpowiedź, wrócił na fotel i rozsiadł się wygodnie ze szklanką w ręku.  
- Przez jakiś czas sądziłem, że jesteś z nią w konszachtach. Ale już od dawna tak nie myślę. W tej aferze byłeś po prostu jeleniem.  
- Mówisz zagadkami, Harry. O co chodzi? Shulz westchnął.  
- Zawsze miałem do ciebie szacunek, Jacques. Ale tym razem nic nie rozumiem. Dałeś się nabrać jak szczeniak.  
— Co chcesz przez to powiedzieć, Harry? Shulz postawił szklankę na oparciu fotela.  
— Ta dziewczyna była w Dallas... To dziennikarka i...  
— Wiem, że to dziennikarka.  
  
— Napisała już jedną książkę, która wywołała skandal. Notabene ściągnęła sobie na kark proces. Jednocześnie przygotowywała drugą powieść z kluczem, by wywołać skandal znacznie poważniejszy, zresztą ty występujesz tam jako jedna z drugorzędnych postaci. Ona wie o tobie wszystko, Jacques. Muszę przyznać, że babka ma cierpliwość. Żyć z tobą przez trzydzieści miesięcy i wyciągać, słówko po słówku, informacje o tym, co się wydarzyło w Dallas!  
— Zwariowałeś, Harry! Absolutnie niczego ze mnie nie wyciągnęła.

— Co ty jej konkretnego powiedziałaś o Dallas?

— Ależ absolutnie nic! Usiłuję ci to właśnie wytłumaczyć.

- To niemożliwe, Jacques. Jeżeli nic, to po co ona z tobą mieszka? Słuchaj, to przecież nie może być przypadek. Dziewczyna była w Dallas. Wywęszyła całą historię. Nie znam wszystkich szczegółów, ale tego jestem pewny... Zresztą Jacques...

Wstał i stanął przed nim.

- ...mam kontrakt, żeby ją zlikwidować.

Przerażenie sparaliżowało Jacques'a. Nie mógł wymówić słowa.

- Dla ciebie to fatalny cios - zauważył Shulz. - Ale może to cię przekona, że jest ona świadkiem kłopotliwym. Już na długo przedtem, zanim przyjechała do Paryża, deptaliśmy jej po piętach. Blisko trzy lata. Wymykała się nam z rąk. Trwało to długo, ale widzisz... ostatecznie jestem tu.

Roześmiał się wesoło.

— Nikt się nie wymknie Harry'emu Shulzowi... Nagle w oczach Jacques'a błysnął gniew.

— Zostaw ją w spokoju... - powiedział twardo.

Shulz wzruszył ramionami i głową wskazał Pioggie, który wciąż stał w drzwiach z nieszczęśliwą miną i łypał w kierunku baru z trunkami.

— Przed domem stoi drugi. Jest nas trzech na jednego. Nie masz żadnych szans. W każdym razie w strzelaniu na czas nie jesteś tak dobry, jak z karabinu z lunetą. Pamiętasz nasze zawody? Zresztą, to nie leży w twoim interesie.

— Jak to nie leży w moim interesie? - zapytał Jacques głosem wciąż jeszcze pełnym gniewu.

— No tak! Odwalamy czarną robotę za ciebie - odparł cynicznie Shulz. - Ta dziewczyna zakpiła sobie z ciebie, to niebezpieczna sztuka. No i teraz ktoś chce cię od niej uwolnić.

Wierz mi, przybyłem w samą porę.

Usiadł w fotelu i wychylił resztę whisky. Jacques wolnym krokiem zbliżył się do baru i nalał sobie kieliszek. Zastanawiał się nad tym, co powiedział Shulz. Oczywiście, Shulz mógł mieć rację. Ten dziwny telefon Susan z Nowego Jorku i jej pytanie, czy może przyjechać do Paryża i zamieszkać z nim. Miała wprawdzie pisać powieść, ale to mógł być tylko pretekst. Pisała ją zresztą dwa lata! I to jej dziwaczne zachowanie od czasu do czasu. Te irracjonalne stany lęku bez powodu... Na przykład incydent z czarnym samochodem, kiedy wychodzili z kabaretu. Te objawy niepokoju i trwogi, które tak często u niej obserwował. I to, że nigdy nie otrzymywał odpowiedzi na dyskretne pytania, które jej zadawał. Wiele takich i innych myśli przelatywało teraz przez jego skołataną głowę.

Mcnde. To naleganie Susan, aby z nią mówił o bracie. Susan wstrząśnięta ponad zwykłą miarę. Ten atak płaczu. To uporczywe dopytywanie, co Jacques myśli o morderstwie... Czyż to wszystko nie przemawia za tezą Shulza?

Pieniądze. Susan, niewzruszona w sprawach finansowych, domagająca się, by wydatki dzielić po połowie. I nawet dzisiaj, zanim odeszła, uregulowała swój miesięczny wkład i zostawiła upominki kupione przez Jacques'a za pieniądze, które według niej są zapewne srebrnikami za zbrodnię.

A czy któregoś dnia nie zrobiła uwagi, że Jacques mówi po angielsku z lekkim akcentem z Teksasu, a przecie on na ogół spotykał się z twierdzeniem, że w jego angielszczyźnie można dopatrywać się akcentu nowojorskiego. Dallas, jak każdy wie, leży w Teksasie. Czy chciała go wypróbować? Czy była to zwykła uwaga bez znaczenia? Rozumowanie Shulza było dość przekonujące, ale miało dwa słabe punkty.

Po pierwsze, Susan jako kochanka. Trudno przypuszczać, że zachowywałaby się tak, gdyby wiedziała, że jest on mordercą. Komedia? Niemożliwe. Nikt nie gra takiej komedii przez dwa i pół roku. A może wpadła we własne sieci i zakochała się w mordercy? To zbyt melodramatyczne - uznał.

Po drugie, kompletna kłapa planu, z jakim przyjechała Susan. Jeżeli chciała dowiedzieć się czegoś na jego temat, nic przecież nie wskórała. Ale, prawdę mówiąc, ona nie próbowała nawet dowiedzieć się czegokolwiek, jeżeli pominąć incydent w Mendę i ten akcent z Teksasu, a przecież w końcu nie miało to większego znaczenia.

Były zatem tylko te dwa punkty słabe w rozumowaniu Shulza, ale trzeba przyznać, że pozory przemawiały za argumentacją Harry'ego. A to, że Susan zniknęła, przechylało szalę na jego stronę i ostatecznie przekonało Jacques'a.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa, była to ucieczka z premedytacją. Susan nie zostawiła żadnego listu z wyjaśnieniem. To przemawiało za teorią Shulza. Gdyby tak nie było, czemuż by działała z taką bezczelnością? W jej zachowaniu się dziś tano nie było nic, co pozwalałoby przypuszczać, że wieczorem zniknie.

Jacques wychylił do dna drugi kieliszek szkockiej i zwrócił się w stronę Shulza, który przyglądał się mu z zaciekawieniem. Jacques skrzywił usta i skinął głową.

- Przekonałeś mnie chyba, Harry.

- Brawo! - pochwalił go Shulz. - Wiedziałem, że wszystko zrozumiesz. Teraz do rzeczy. Gdzie ona może być?

Jacques rozłożył ręce.

— Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, Harry. Rano wyjechałem do Nicei. Kiedy się z nią żegnałem, zachowywała się zupełnie zwyczajnie. Kiedy wróciłem wieczorem, tuż przed twoim przyjściem, stwierdziłem, że zniknęła, a wraz z nią wszystkie jej rzeczy - z wyjątkiem upominków, które dostała ode mnie.

— Zastanów się - nalegał Shulz. - Dokąd mogła pojechać? Czy ma tutaj jakichś znajomych?

Jacques pokręcił głową.

— Nikogo szczególnie bliskiego. I do tego nie tutaj. W Nicei.

— To może być jakiś ślad. Kim są ci znajomi?

- Poznaliśmy ich w zeszłym roku w zimie. Shulz zastanawiał się przez chwilę.

- Nie. To mało prawdopodobne. Ona wie, że od razu wpadniesz na myśl, żeby jej szukać u nich. A zatem tam jej nie ma. Ale mimo wszystko można sprawdzić. Mają telefon?

— Oczywiście.

— Zadzwoń do nich, Jacques.

Jacques bez słowa podszedł do telefonu i zamówił numer w Nicei. Shulz przyłożył do ucha drugą słuchawkę.

- To pan, Jacques? - odezwała się Christine. - Co słychać? Tak dawno nie widzieliśmy ani Susan, ani pana.

Głos jej brzmiał normalnie.

- Właśnie dzwonię w związku z Susan. Czy przypadkiem nie ma jej u państwa?

- Nie. A co się stało?

— Pojechała dziś rano do Nicei i jeszcze nie wróciła. Jest już późno i myślałem, że...

— Nie, Jacques. Ale przecież nie jest jeszcze tak późno. Dopiero ósma. To wcale nie późno. Niech pan się nie niepokoi, Jacques. Na pewno niedługo wróci. Ale, mimo wszystko, niech pan zatelefonuje, jak tylko się zjawi, bo będę niespokojna.

- Dziękuję, Christine.

Powiesił słuchawkę. Shulz odłożył swoją.

- Mówiła prawdę - stwierdził z przekonaniem. - Nie ma innych przyjaciół?

— Nie.

— A więc wyruszyła przed siebie, bez celu?

— To nieprawdopodobne - rzekł Jacques.

- Powiedz mi, Jacques - zaczął od niechcenia Shulz, jak gdyby nie przywiązywał do swego pytania żadnego znaczenia - jesteś pewny, że niczego przede mną nie ukrywasz? Nie próbujesz mnie nabrać, przyznając mi rację? Może chcesz ją ratować?

Jacques uśmiechnął się lekko na pół z podziwem, na pół z ironią.

- Zawsze tak samo podejrzliwy, Harry?

- Życie mnie tego nauczyło - mruknął Shulz. - Pamiętasz tę historię, którą ci opowiadałem, kiedy ćwiczyliśmy strzelanie do celu w Górach Skalistych? W tej zgniłej budzie, gdzie człowiek zdychał z zimna... Historię o starym Andy Carlsonie, który sprzedawał jabłka na Elizabeth Street, i o bandzie jego dzieciaków, które...

Nagle Jacques położył rękę na ramieniu Shulza i zmarszczył brwi.

— Harry, coś mi przyszło na myśl.

— No?

- Wczoraj ona spotkała jakiegoś Amerykanina, jednego ze swoich przyjaciół.

Shulz zamarł. - Amerykanina?

- Tak. Swojego dawnego szefa, jeżeli dobrze zrozumiałem. Harry Shulz wybuchnął gromkim śmiechem, Jacques i Pioggia przyglądali mu się zdziwieni.

- Co się stało, Harry? - zaniepokoił się Jacques.

Ale Shulz śmiał się jeszcze chyba z pięć minut. Wreszcie poklepał Jacques'a po ramieniu.

- Kapitalny Jacques! Przecież odpowiedź miałeś tu... - palcem wskazującym pokazał na czoło - ...i rezerwowałeś ją dla siebie! Powiem ci coś w sekrecie: ja mam kontrakt także na zlikwidowanie tego faceta. Widzisz, wszystko gra. Miałem rację. Ja zawsze byłem przekonany, że oni oboje są we Francji. Spiknęli się przeciwko tobie we dwójkę, Jacques. Nagle twarz jego stała się poważna.

- Wiesz, gdzie jest ten facet?

— Ona coś wspominała, że mieszka w jakiejś różowej willi. Na odludziu, na samym szczycie wzgórza. Stąd jej nie widać. Zresztą teraz jest noc...

— Nic więcej nie mówiła o tym typie? - niecierpliwiał się Shulz.

— Nie. A może zapomniałem. Nie zwracałem uwagi na to, co mówi. Jedliśmy śniadanie.

— Niewielką mamy szansę, żeby ich tam zastać. Musieli już nawiać. Ona wiedziała, że przypominasz sobie rozmowę o tej willi. Ale mimo wszystko spróbujemy.

Wielkimi krokami podszedł do drzwi, wypchnął Pioggię na dwór, lecz zanim wyszedł, zwrócił się do Jacques'a.

- Nie ruszaj się stąd ani krokiem. Lepiej, żebyś nie maczał w tym palców. Jeżeli ich znajdzie, wszystko się potem zatuszuje. Nie będziesz miał żadnych kłopotów. Zastanawiał się przez parę sekund.

- Odwiozę ci jej rzeczy. Umieścisz je na swoim miejscu. A jeżeli cię będą przesłuchiwać, a będą z pewnością, to powiesz, że rano wyjechaliście do Nicei, każde swoim samochodem, i od tej

pory nie miałeś od niej żadnych wiadomości. Ten telefon do Christine był kapitalny. Dobra podpórka dla całej historyjki... Przerwał. Głos jego nabrał ciepła.

— Jacques...

— Tak?

- Robię to wszystko przez pamięć tych pięknych czasów, jakie spędziliśmy razem w tej przekłętej budzie w Górach Skalistych. Jesteś starym kumplem.

Wyszedł. Trzasnęły drzwi

Kiedy Jacques został sam, zaczął rozpaczliwie szukać wyjścia z sytuacji. Ale jego umysł pozostał bierny, niezdolny do refleksji. Tylko jedna jedyna myśl świadczyła, że jeszcze istnieje: myśl o Susan...

Nic nie rozumiał. Dlaczego? Dlaczego? To pytanie nękało go bezustannie, ale nie znajdował na nie żadnej odpowiedzi. Czy to możliwe, że mogła się tak długo maskować? A może Shulz się mylił? Cóż więc było przyczyną jej zniknięcia? Przypuszczenie, że uciekła do tego Amerykanina z powodów uczuciowych (a może to dawny jej kochanek?), wydało mu się bezsensowne.

Nie. Shulz miał rację.

I nagle, nalewając sobie porządną porcję whisky, uświadomił sobie, że już nigdy nie uzyska odpowiedzi na to pytanie. Susan za chwilę umrze. Za kilka minut... To straszne. Shulz nigdy nie chybia celu. Nigdy... A on nigdy nie uzyska odpowiedzi... Nigdy... A Susan za chwilę umrze... Za kilka minut...

Serce mu zamarło. Ta myśl była dlań nie do zniesienia i usiłował ją od siebie odpędzić wychylając duszkiem whisky. Rozum nakazywał mu usiąść spokojnie w fotelu, popijać i czekać, jak to radził Shulz. Najdalej za pół godziny, kiedy tylko Shulz odnajdzie ją w różowej willi, wszystko się dokona. Śmierć Susan stanie się faktem i niebezpieczeństwo zostanie zażegnane. Ale nagle pomyślał o czymś, co wstrząsnęło nim do głębi. Wyobraził sobie ciało Susan podziurawione kulami. To ciało, które kochał. Shulz nie był sadystą, po prostu miał do wykonania robotę. Gdzie będzie celował? W serce? Na tę myśl Jacques'a ogarnęły mdłości. Nieudolnie próbował przekonać siebie, że sama przecież szukała guza. Dlaczego grała tę niktzemną rolę szpiega? Tę podłą komedię... Czy jednak była to komedia? To jej oddanie... To szalone pragnienie kochania się z nim... Ta czułość...

Nie. Nigdy już nie uzyska odpowiedzi... A przecież musi wiedzieć! Do diabła z Shulzem i z jego kontraktami, i z jego natrętną przyjaźnią!

Wypuścił z ręki szklanekę, która stłukła się na podłodze. Poczul się nagle jak maszyna, którą wprawiono w ruch. Teraz mózg funkcjonował jak dobrze uregulowany mechanizm.

Precyzyjnie, jak gdyby on sam miał kontrakt do wykonania. Noga bolała go, ale nie przeszkadzało mu to wbiec po schodach na górę. Przeskakiwał po cztery stopnie na raz. Po kilku susach znalazł się w małym pokoiku, w którym trzymał swoje rzeczy. Odryglował ciężkie drzwi metalowej szafy, wyciągnął swój stary P. 38, który wciąż jeszcze stanowił doskonałą broń. Pistolet był starannie naoliwiony. Zamek funkcjonował doskonale. Jednym gwałtownym ruchem załadował pełny magazynek, wprowadził kulę do lufy, zabezpieczył i wypadł z pokoju.

Na dworze noc była jasna i chłodna. Na niebie migotały gwiazdy. Ale on niczego nie widział. Wiosną chłód sphywał na wzgórza wraz z nocą. Ale on nawet nie czuł zimna. Mercedes, który kupił po opuszczeniu kliniki, stał ukryty w cieniu. Skoczył ku niemu i usiadł za kierownicą. Kiedy jednak chciał ruszyć z miejsca, silnik odmówił posłuszeństwa. Ze wściekłością przekręcał kluczyk w stacyjce, z furią naciskał pedał przyspiesznika, lecz bez rezultatu. W końcu zrezygnował. Zrozumiał. Harry Shulz był prawdziwym zawodowcem. Pamiętał o tym, by zastosować środki ostrożności, które wyłącza Jacques'a z akcji. To na pewno palec rozdzielacza. Odwiezie go potem, razem z bagażem Susan.

To wszystko takie głupie. Zniechęcony, oparł czoło na kierownicy. Na Susan wyrok zapadł. Nic już nie może dla niej zrobić. Nagle wyprostował się; przypomniał sobie, że w garażu jest przecież samochód.

Właściciel willi mieszkał w Paryżu. W czasie ostatnich ferii wielkanocnych miał wypadek na szosie do Mentony. Reperację samochodu zlecił jednej z tutejszych stacji obsługi, musiał jednak wyjechać, zanim robota została ukończona. Poprosił więc Jacques'a, by odebrał wóz po reperacji, ponieważ zakład naprawczy nie godził się na przechowywanie samochodu do czasu powrotu właściciela. Susan zawiozła Jacques'a do Mentony, on zaś sprowadził samochód do willi i wstawił do garażu.

Mimo panującego chłodu z czoła lał mu się pot. Dobiegł do garażu, otworzył drzwi i wskoczył do samochodu. Gdzież jest kluczyk do stacyjki? Ach prawda, w przegródce na rękawiczki.

Silnik przez moment nie chciał się zapalić i Jacques zaczął się denerwować. Wreszcie zawarczał i samochód wyprysnął jak strzała. Tylko dzięki przytomności umysłu Jacques nie wpadł na mercedesa, ale o mało nie rozbił bramy wjazdowej.

Jacques miał opóźnienie w stosunku do Shulza, jakieś piętnaście minut. Ale mógł to opóźnienie nadrobić i przed nim przybyć do różowej willi.

By się do niej dostać, Shulz musiał zjechać na szosę, dotrzeć do drogi wiodącej z Mentony i wjechać na serpentynę prowadzącą na sam szczyt wzgórza. Wjazd ten był prawie niewidoczny, jeśli się jechało szosą z Mentony. Poza tym, zanim dojedzie do tej drogi, musi minąć dwa wjazdy na inne dróżki, które nie dochodziły na szczyt wzgórza. Można więc przypuszczać, że Shulz zatrzyma się, by zapytać o drogę na wzgórze, może nawet w którymś momencie pomyli trasę - w każdym razie się spóźni.

Shulz nie wiedział przecież, że tuż za domem Jacques'a jest kamienista dróżka, która właśnie prowadzi do różowej willi. Żywopłot z tarniny tworzył wąski tunel, tak że samochód z trudem mógł się tędy przecisnąć.

Jacques wjechał na dróżkę na pierwszym biegu, przyspieszył, szybko zmienił bieg na drugi. Kamienie przyskały spod kół.

Zgasił reflektory i orientował się jedynie po dywaniku dróżki z białych kamieni.

Skulony za kierownicą, tworzył z pojazdem jeden organizm. Gałęzie tarniny drapały karoserię, kamyki uderzały o blachę wozu, wydając dźwięczny stukot. Modlił się, by nie pękły szyby.

Oczy, zranione w wypadku ubiegłej wiosny, bolały go od intensywnego wpatrywania się w białą taśmę drogi. Bolesne skurcze przebiegały po lewym ramieniu i ręce, na której brakowało kciuka i palca wskazującego.

Jazda trwała całą wieczność. Wreszcie dojrzał jasny masyw willi na tle ciemnego wzgórza. W oknach paliły się światła. Czyżby przyjechał za późno?

Motor zakasłał. Jacques rzucił okiem na licznik paliwa i stwierdził, że wskazówka stoi na zerze. Ale samochód już wjeżdżał na drogę. Przed Jacques'em wznosił się mur otaczający willę. Jak woltażer wyskoczył z wozu i natychmiast poczuł, że straszliwy ból niby sztylet przeszywa mu prawe udo. "Ach, ci łajdacy chirurdzy, spece od mechanoterapii i fizykoterapii - przemknęło mu przez głowę - za taką kupę forsy, jaką w nich wpakowałem, nie naprawili mi tej cholernej nogi".

Ból zapierał mu oddech. Przeniósłszy ciężar ciała na lewą nogę, stał nieruchomo przez parę sekund i powoli odzyskiwał przytomność. Jedną ręką chwycił za brzeg muru i chciwie wpatrywał się w światła willi.

Czyżby przyjechał za późno?

Po raz drugi stawiał sobie to pytanie. Nasłuchiwał intensywnie, usiłując uchwycić jakiś szmer, ale dźwięki doń tylko szelest liści, poruszanych przez lekki nocny wietrzyk.

Wzdrynął się z zimna i dopiero teraz zauważył, że ma na sobie tylko bawełnianą koszulkę polo, którą włożył rano wyjeżdżając do Nicei.

Ból łagodniał, ale serce ścisnęła straszliwa trwoga. Czyżby przyjechał za późno? Oczywiście Shulza ani śladu. Nie zauważył żadnego samochodu - ani na cementowej alei, ani obok garażu, ani przed domem. Mogło to oznaczać, że albo Susan i Amerykanin opuścili willę przed przyjazdem Shulza, albo Shulz, przybywszy wcześniej, niż obliczał Jacques, zdążył wykonać już swoją robotę. A może samochody stoją wciąż jeszcze po prostu w garażu, a Susan i Amerykanin znajdują się w willi? Jeśli tak, to zapewne słyszeli samochód Jacques'a i mają się na baczności.

W tym momencie posłyszał warkot samochodu, mozolnie wspinającego się pod górę. Odwrócił się pospiesznie, ale nie dostrzegł świateł. Shulz pamiętał o środkach ostrożności i wygasił reflektory.

Sądząc po warkocie, wóz jechał pod górę bardzo wolno. Kierowca z pewnością prowadził po ciemku.

Jacques doszedł już do siebie. Szybko przesadził mur, starając się, by po drugiej stronie spaść na zdrową nogę. Następnie, utykając nieco, pobiegł w stronę willi. Minął główne wejście, które było zamknięte, i skierował kroki ku oszklonym drzwiom wychodzącym na taras.

W biegu wydobył zza pasa broń i odbezpieczył.

Zatrzymał się u stóp schodków prowadzących na taras. Oszklone drzwi były lekko uchylone, ale pokój wydawał się pusty.

Z tyłu za sobą słyszał coraz wyraźniej warkot silnika.

Zachowując środki ostrożności, wszedł na schodki, przeszedł przez taras i pchnął oszklone drzwi.

Cunningham postawił właśnie w living-roomie swoje bagaże obok walizek Susan, gdy oboje usłyszeli warkot samochodu. Susan rzuciła okiem na Cunninghama. Stał między dwoma kufkami, opuściwszy ręce, tępo patrząc przed siebie. Pot spływał mu po czole poprzecinanym zmarszczkami. Widać było, że myśli intensywnie. Chwiał się lekko na nogach. Samo zapakowanie bagaży kosztowało go wiele wysiłku i, mimo że Susan bardzo mu pomagała, musiał wypić ogromne ilości whisky, zanim - z wielkim trudem - udało mu się zamknąć kufry.

Teraz był kompletnie pijany. Susan nie mogła na niego liczyć.

Podeszła do stołu, zgarnęła zdjęcia, które leżały tam, gdzie je zostawili, i szybkim ruchem wsunęła do torebki.

Dopiero wtedy przypomniała sobie o rewolwerze, który zauważyła w szufladzie, kiedy Cunningham szukał nożyczek.

Szybkim ruchem wyciągnęła szufladę i odgarnęła papiery, którymi była wypełniona.

Palce natrafiły na twardą kolbę rewolweru. Chwyciła go do ręki, torebkę położyła na stoliku i przyjrzała się uważnie broni. Był to rewolwer bębnekowy kaliber 32. Końcem kciuka obróciła bębenek. W każdym z sześciu otworów tkwił jeden nabój. Ze wzruszeniem i wdzięcznością pomyślała o nieżyjącym ojcu, Samie Bramovitzu, poruczniku policji w dzielnicy Canarsie w New York City, który ją nauczył posługiwać się bronią. Z powrotem zabezpieczyła broń, odciągnęła kurek bezpiecznika, drugą ręką zgarnęła ze stołu torebkę.

Potem odwróciła się do Cunninghama. Nie ruszył się z miejsca. Oczy miał utkwione w drzwiach na taras. Spojrzała w tym kierunku, ale nic nie zauważyła. Tylko tiulowe firanki poruszały się lekko, muskane nocnym wietrzykiem.

Dobre pięć minut upłynęło od momentu, kiedy ustał warkot silnika samochodu. Ale nic się nie działo. Z zewnątrz nie dochodził najmniejszy szmer. Słyszała jedynie chrapliwy oddech Cunninghama i trzaskanie polan, które dogasały w palenisku wielkiego kominka. Gdy zapadł

zmierzch, zrobiło jej się zimno, pozbierała więc gałązki i polana porozrzucane koło kominka i rozpałała ogień. Jasne i żywe płomienie rozgrzały ją i dodały trochę odwagi. Ale ogień wygasł. Zostało jeszcze kilka bierwion, lecz co z nich teraz?

Nagle usłyszała daleki warkot motoru, a po chwili szybkie kroki za oknem. Zastygła w oczekiwaniu i podniosła rewolwer. Ręka jej nie drżała. Czekwała. Wiedziała, że przyszła chwila, kiedy obie strony odkryć muszą karty.

Oszklone drzwi, pchnięte przez kogoś z zewnątrz, otwarły się gwałtownie i trzasnęły o ścianę. Na progu stanął Jacques. Jego prawa ręka była opuszczona. Trzymał w niej pistolet. Usta miał zaciśnięte, niespokojne oczy omiotły pokój. Kiedy ujrzał Susan, stojącą obok stolika, uśmiechnął się słabo.

Nie była zaskoczona. Od południa wiedziała już wszystko. Czuła w sobie pustkę, strasliwą pustkę. I potworny smutek.

- Susan! - zawołał.

W tym momencie ona nacisnęła spust. Kula trafiła go w prawe ramię, ale pistoletu nie wypuścił z ręki. Obrócił się naokoło własnej osi i runął na ścianę. Druga kula utkwiała w piersiach i odwróciła go z powrotem w jej stronę. W jego oczach wyczytała zdumienie, spotęgowane przez ból. Przerażona do ostatnich granic, bezwiednie naciskała spust. Pistolet wysliznął się z rąk Jacques'a i głucho stuknął o podłogę. Jacques padał... Nie przestawał padać... Jej rewolwer był pusty... Wystrzelała sześć nabojęw...

Jacques wciąż padał... Nie zamknął oczu i wpatrywał się w nią...

W jego wzroku było niedowierzanie, przerażenie... Poczowała, że coś ją ściska za gardło, oczy zasnuły się łzami.

Potem usłyszała jakieś inne szmery i wierzchem dłoni otarła łzy, które przesłaniały jej widok. Wszedł Harry Shulz, za nim Pioggia i Stefanini.

Rozpoznała go natychmiast. Był to morderca ze zdjęcia. Symbol śmierci. Wszyscy trzej trzymali w ręku pistolety. Ze zdumieniem wpatrywali się w broń, którą wciąż jeszcze trzymała wycelowaną w kierunku oszklonych drzwi.

- Rzuć to! - polecił Shulz. Mówił po angielsku. Rewolwer i tak był pusty. Upuściła go na ziemię.

Shulz odwrócił wzrok i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w zwłoki Jacques'a. Potem pokręcił głową mrużąc:

- Idioto... Powiedziałem ci, żebyś się nie ruszał z domu...

Wtedy nagle Susan zrozumiała wszystko... Zrozumiała, że popełniła strasliwy błąd. Jacques przybył tu nie po to, żeby ją zabić, lecz bronić.

Z krzykiem rozpaczy rzuciła się na zwłoki Jacques'a, ale pierwsza kula Shulza trafiła ją w podbrzusze i odrzuciła do tyłu.

"Niech cierpi, dziwka - myślał Shulz - ona nie żałowała Jacques'a". Już wcześniej, zanim Susan ruszyła się z miejsca, przyklęknął na podłodze przy zwłokach Jacques'a, starannie omijając kałużę krwi, która rosła szybko, i pospiesznie podniósł pistolet, który Jacques wypuścił z ręki.

Kiedy Susan rzuciła się ku Jacques'owi, strzelał już do niej z tej właśnie broni, trzymając ją na wysokości dziesięciu centymetrów od ziemi. Kolba była jeszcze mokra od potu Jacques'a i gorąca od jego ręki, ale Shulz poprzez skórzane rękawiczki niczego nie czuł.

Za sobą posłyszał krzyk. To ostrzegał go Stefanini. Cunningham, korzystając z zamieszania, próbował uciec w głąb living--roomu.

Shulz spokojnie podniósł broń i posłał mu kulkę w kark. Cunningham upadł na nos i zwałił się ciężko między walizy.

Teraz Shulz przeniósł wzrok na Susan. Oparta plecami o jakiś mebel, stała z rękami skrzyżowanymi na brzuchu. Spomiędzy palców sączyła się krew. Z piersi wydobywała się długa skarga. Nie celując niemal, Shulz wpakował jej kulę w samo serce.

Zdawała się wahać przez moment, potem rozkrzyżowała ręce i runęła na podłogę. Zadowolony z siebie, Shulz położył pistolet przy prawej ręce Jacques'a i podniósł się. "Scenariusz jest niezły - rzekł do siebie wesoło. - Klasyczna historia, Susan rzuca Jacques'a dla innego mężczyzny. Jacques, wściekły z zazdrości, zjawia się tu, aby ją zabić. Ale ona przeczuwa, że jest w niebezpieczeństwie. Ma broń. On wchodzi, ona otwiera ogień. On pada. Ale padając strzela. Dwie kule dla niej, jedna dla rywala. Spakowane bagaże świadczą, że chciała uciekać z nowym amantem. Całość bez zarzutu". No, tym razem nie znajdzie się nikt, kto by mógł podać w wątpliwość jego technikę zawodowca. Zanim opuścił mieszkanie, chciał się jeszcze upewnić, czy wszystko gra. Cunningham nie żył, nie ulegało wątpliwości. Susan również. By przejść suchą stopą pomiędzy kałużami krwi, Shulz nogą odsunął torebkę, którą Susan wypuściła z ręki. Jej zawartość rozsypała się na podłodze. Między papierowymi chusteczkami do nosa, szminkami, kluczami, rozrzuconymi banknotami, zauważył duży plik zdjęć. Niektóre były poplamione krwią. Schylił się i kilka z nich ostrożnie wziął w palce, by im się przyjrzeć. To, co zobaczył, było tak nieoczekiwane, że aż podskoczył. Tam, na tych zdjęciach, Dixie, Jacques i on sam... Tak więc nie mylił się, ta dziewczyna od dawna wiedziała wszystko o Jacques'u. Przedstawiała zatem dla nich realne niebezpieczeństwo! Dixie na zdjęciu! I on sam!... Przeszył go zimny dreszcz. Szybko pobierał wszystkie zdjęcia i podniósł się. Na palenisku kominka dogasał ogień. Pogrzebaczem rozgarnął czerwieniejące popioły i na dopalające się polana rzucił fotografie, które szybko ogarnął i pochłonął ogień, wydzielając mdlący zapach. Końcem pogrzebacza starannie rozduł czarne poskręcane kształty, zamieniając je w proch i mieszając z popiołem. Kilka dogorywających polan tliło się jeszcze. Ułożył na krzyż cztery bierwiona, które znalazł obok. Z dogasających popiołów strzeliły w górę ogromne jasne płomienie. Wtedy oddalił się wielkimi krokami, dając znak Pioggi i Stefaniniemu, aby szli za nim. Przez cały czas obaj ani drgnęli. Widzieli gorsze rzeczy. "Wprawdzie - mówił do siebie Shulz - willa leży zupełnie na uboczu, ale ktoś mógł posłyszeć strzały. Nie ma sensu tu wiekować". Kiedy usiadł na tylnym siedzeniu samochodu, jego ręka natknęła się na palec rozdzielacza, który Stefanini wyjął z mercedesa Jacques'a. Przez drzwiczki podał go Pioggi. - Zostaw to w willi. I wracaj natychmiast. Potem uśmiechnął się z satysfakcją. "Jeszcze jeden ważny szczegół" - pomyślał. Łatwo domyślić się, że zabrała go Susan, żeby Jacques nie mógł jej doścignąć. "Cóż za kutas z tego Jacques'a - wściekał się w myśli, gdy tymczasem Pioggia wrócił, usiadł za kierownicą i ruszył. - Dać się zaciukać tak głupio. I do tego dziewczynie! Zawsze czułem do niego sympatię. Co za kutas!" I skąd, u diabła, wytrzasnął ten samochód, którym dojechał do różowej willi?

Samochód zjechał w dół drogą wiodącą, do skrzyżowania z szosą z Mentony.

Za kierownicą siedział Pioggia. Prowadził zręcznie, miał lekką rękę. Obok niego wesoło pogwizdywał Stefanini. Harry Shulz czuł się trochę zmęczony, ale był zadowolony. W pełni zadowolony. Kontrakt został zrealizowany do końca. Wszystkie fazy, bez wyjątku - oprócz tych, rzecz jasna, z których zrezygnował Dixie. Dixie będzie kontent. Trzeba do niego zatelefonować zaraz z Mediolanu. Oczywiście, przez ostatnie osiemnaście miesięcy trochę się guzdrał, ale w ostateczności nikt nie będzie mógł powiedzieć, że Harry Shulz nie dotrzymuje kontraktu. Taki rodzaj antyreklamy może zawodowego mordercę bardzo szybko skazać na bezrobocie.

I tak kończyła się długa droga, która zaczęła się pewnego listopadowego dnia w Dallas w momencie śmierci prezydenta. Koło się zamknęło, świadkowie zostali zlikwidowani... Jeżeli już mowa o świadkach... Shulz z namysłem wpatrywał się w dwa karki przed nim. W tym momencie Stefanini odwrócił się ku niemu i rzekł z błyskiem podziwu w oczach:

- Nie ma co mówić, wy, Amerloki, potraficie działać. Niech ja skonam.

Pioggia, siedzący za kierownicą, kiwnął głową z uznaniem. - Dużo pan już w ten sposób załatwił? - zapytał z zainteresowaniem.

Shulz w odpowiedzi tylko się uśmiechnął. Stefanini odwrócił się do swego towarzysza i powiedział poważnie:

- Zostaw to, Laurent, takich pytań się nie zadaje. Gdzieś ty się nauczył tych manier?

Tamten bąknął coś pod nosem i pochylił się nad kierownicą wozu. Trzeba coś z nimi zrobić. Rzecz jasna, zwali mu się potem na kark ta cała hałastra z siatki Massicaud-Vellarda, a gdyby jeszcze kiedyś dostał kontrakt na Francję, byłoby lepiej nie wpaść w ich łapy.

Z drugiej strony zostawić tych dwóch typów przy życiu to poważne ryzyko i Dixie na pewno by go za to nie pochwalił. Sprawa jest więc jasna.

Dojeżdżali już do Mentony. Samochód, który wynajął dla siebie, był zaparkowany na samym dole, tuż przy zboczu sąsiadującym prawie z granicą. Pioggia wiedział bardzo dobrze, gdzie go ma wysadzić. Będą tam za dziesięć minut.

Shulz udawał, że patrzy przez okno, ale jego ręka myszkowała po siedzeniu samochodu, trafiła na teczkę z krokodylej skóry i otworzyła zatrask. Palce bardzo ostrożnie zapuściły się do wnętrza, prześliznęły po kolbie rewolweru i zatrzymały dopiero w ostatniej przegródce teczek. Shulz chwycił w palce pudełko zapalek i wydobyl je na wierzch.

Nie było to pudełko zwyczajne. Był to jeden z tych zwariowanych gadżetów, jakie fabrykował genialny Mike O'Flaherty, ten sam, który przefasonował jego zwykły P. 38 na demontowany.

Była to maszyna piekielna o niezwykłej sile wybuchu - zważywszy jej niewielkie rozmiary. Niestety, system zegarowy działał tylko w granicach piętnastu minut. Shulz przycisnął mały guziczek, po czym niby od niechcienia opuścił oparcie na tylnym siedzeniu. We wgłębienie, jakie powstało w ten sposób, delikatnie wsunął pudełeczko.

Przybyli na miejsce. Pioggia zatrzymał wóz tuż za Citroenem. Shulz uściśnął im dłonie, zabrał swoją teczkę i wysiadł.

Podszedł jeszcze do przedniej szyby i pochylił się do Stefaniniego.

- Gdybym był na waszym miejscu, jak najszybciej wracałbym do Nicei. Czeka tam na was gruba premia, jaką zdeponowałem u pana Dufoura. Jeżeli się pospieszycie, może nawet jeszcze zdążycie przed zamknięciem kabaretów...

Mrugnął do nich porozumiewawczo, po czym wsiadł do swojego Citroena. Był przekonany, że faceci nigdzie nie zatrzymają się po drodze.

Przekroczył już granicę włoską, kiedy samochód, w którym znajdowali się Pioggia i Stefanini, wyleciał w powietrze. Eksplozja była potężna.

??

??

